

JAMES
FOLLETT

U700

JAMES FOLLETT

“U700”

Przełożył: Rafał Śmietana

Mojej żonie Christine

CZEŚĆ PIERWSZA

1.

Samotny okręt, wlokący się w ogonie konwoju był zgubiony.

Szary, milczący kadłub, poorany śladami rdzy, wynurzał się powoli na powierzchnię. Z peryskopu i metalowej liny, łączącej kiosk z dziobem, kapąła woda ciężkim rytmem silników zbliżającego się statku. Po obu stronach kiosku przymocowane były dwie złote podkowy. W środku, w przedziale torpedowym czekało w gotowości kilku mężczyzn. Do odpalenia została przedostatnia torpeda. Ze swego ciasnego pomieszczenia operator hydrofonu ze słuchawkami na uszach podawał beznamyślnym głosem kurs skazanej na zagładę jednostki. Jeżeli był świadom ciężkiego spojrzenia stalowych oczu swego dowódcy, które z twarzy o nieprzeniknionym wyrazie wwiercały mu się w kark, nie dawał tego po sobie poznać.

Nagle na stanowisku dowodzenia dał się słyszeć metaliczny stukot, co oznaczało, że dowódca wspiał się po stalowych stopniach do wnętrza wieżyczki obserwacyjnej. Operator hydrofonu wyczuł, że nastrój w środku od razu staje się swobodniejszy, a któryś z marynarzy pozwolił sobie nawet na żart.

Czterech obserwatorów na mostku łodzi jak jeden mąż przyciskało do oczu lornetki, próbując tak uzbrojonym wzrokiem przebić gęstą jak mleko mgłę. Ostry zapach dymu cygara potwierdził tylko, że nowo przybyłym jest kapitan. Jeden z marynarzy, nieco śmielszy od swych kolegów, zaryzykował spojrzenie na wysoką sylwetkę mężczyzny, co spowodowało, że nieprzemakalny kombinezon zaszeleścił. Twarz dowódcy zmarszczyła się, ale nic nie powiedział. Obserwatorzy wyczuli jego niezadowolenie i bardzo starali się stać bez ruchu. Stopniowo zanikał i tak cichy szum silników elektrycznych, których niemiecka łódź podwodna używała w zanurzeniu. Przez chwilę jedynym dźwiękiem, który docierał do nich, był plusk wody, przelewającej się przez kanały ściekowe na pokładzie.

Wszyscy usłyszeli melodię w tej samej chwili: chór dziecięcych głosów, rozbrzmiewający pośród nocy. Cicha noc, święta noc.

Stara, niemiecka kolęda, która należała teraz do całego świata. Pokój niesie ludziom wszem.

Mgła czasami płata figle rozchodzącym się dźwiękom, więc odgłos silników statku doszedł do U-boota dopiero po pierwszych dźwiękach kolędy.

Dowódca podniósł do oczu lornetkę Zeissa z wygrawerowanym na niej swym monogramem i wycelował ją w kierunku, skąd dochodził śpiew. Otrzymał ją w prezencie od admirała Karla Doenitza, z dedykacją - "od wdzięcznego dowódcy marynarki dla najlepszego dowódcy łodzi podwodnych." A u źróbka Matka Święta, czuwa sama uśmiechnięta.

Dowódca opuścił lornetkę i wbił oczy w mgłę, jakby chciał zmusić spowity nią okręt, by się zmaterializował. Wypowiedział jakiś rozkaz do rury głosowej. Po chwili, napędzany silnikiem elektrycznym złowrogi cień zaczął się przemieszczać do przodu, rozbijając niewielkie fale swym dziobem w kształcie paszczy rekina.

Atak nastąpił bez ostrzeżenia.

W mgnieniu oka wesoła scena przyjęcia, z rozradowanymi dziećmi, które właśnie zaczynały otwierać prezenty gwiazdkowe, przeobraziła się w koszmar zniszczenia i śmierci, gdy podłoga największej kabiny uniosła się do góry i pękła, jak gigantyczna bańka mydlana.

Statek przechylił się na bok, raptownie tracąc prędkość. Prawy silnik, zerwany ze swego zawieszenia, z łatwością przebił burtę statku. Zaskoczony nagle zapadłą ciemnością radiooperator rozpaczliwie trzymał się swego stolika. Instykt podpowiadał mu, że czym prędzej powinien opuścić kajutę, lecz gdy tylko zdołał uciszyć dzieci, które dwie pielęgniarki wyprowadziły na pokład, wrócił, nastawił radiostację na nadawanie i wystukał szybko starodawnym Morse'em: SSS... SSS... SSS..., co oznaczało łódź podwodną.

Kilkanaście razy podawał wezwanie i pozycję "Walvis Bay", lecz od strony reszty konwoju, oddalonego o pięćdziesiąt mil, nie nadeszła żadna odpowiedź. Z podobnym skutkiem próbował wywołać stację na Nowej Funlandii. Bezużyteczna antena ciągnęła się za kilwaterem szybko idącego pod wodę statku.

Po oleistoczarnej powierzchni wody poruszał się promień światła, w którego snopie kłębiła się mgła. Nad całością dominował miękki pomruk elektrycznych silników. W świetle reflektora przesuwały się makabryczne dowody niespodziewanego ataku U-boota: pluszowy miś, na wpeł otwarta paczka z prezentami, ludzka noga.

Bosman obsługujący reflektor chciał w tym momencie wyłączyć światło, by nie patrzeć na budzące grozę widowisko, lecz osoba dowódcy, znajdującego się na pokładzie, paraliżowała jego ruchy. Kapitan w milczeniu wpatrywał się w wodę.

Nagle we mgle rozległ się płacz dziecka. Dowódca odwrócił się, by zlokalizować kierunek, skąd dochodzi dźwięk, i warknął krótki rozkaz w rurę głosową.

Na mostku pojawił się marynarz. Przeszedł na ogrodzony pokład rufowy i odsłoniwszy 20-mm działo przeciwlotnicze, skierował jego lufę na wodę.

Dowódca wydał kolejny rozkaz.

U99 wzięła kurs na płaczące dziecko.

Kapitan "Walvis Bay", jeszcze w kostiumie Świętego Mikołaja, teraz przemoczonym i przesiąkniętym olejem, poprosił pielęgniarkę, by uciszyła płaczące dziecko. Ta wzięła je na ręce i zaczęła coś do niego szeptać. Strumień łez wysechł i na przestraszonej twarzyczce wykwił ślad uśmiechu. Starsze dzieci, wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, siedziały cicho, spoglądając szeroko rozwartymi oczyma w kłębiącą się mgłę. W szalupie ratunkowej znajdowało się piętnaście osób: kapitan, pielęgniarka i trzynaścioro dzieci, które po bombardowaniach Londynu chciano ewakuować do Kanady.

Stłumiony pomruk silników łodzi stawał się coraz donośniej szy.

Kapitan zauważył światło reflektora i zaklął siarczyście. Zadrżał z przestachu, próbując obrócić szalupę, by przedstawiała sobą mniejszy cel. Było już jednak za późno: z mgły wynurzył się długi, wąski kadłub i przesunął się wzdłuż szalupy. Łódź podwodna dała całą wstecz.

U99 zatrzymała się obok szalupy i skapała jej zawartość w świetle reflektora. Z mostka przemówił głos. Po angielsku, prawie bez śladu obcego akcentu.

- Jaki statek?

Kapitan ścisnął wiosło, jakby miało mu posłużyć za broń. Nagle poczuł się głupio w strzępach swego kostiumu. Przysłonił dłonią oczy i wydało mu się, że dostrzega zarys sylwetki mężczyzny za strumieniem oślepiającego światła.

- Jaki statek? - powtórzył głos, tym razem ze śladem zniecierpliwienia.

- "Walvis Bay".

- Ładunek?

Odpowiedź padła krótka i beznamiętna:

- Dzieci.

Światło przebiegło po skurczonych, zmarzniętych twarzach dzieci i zatrzymało się na pielęgniarce. Wyczuła, że oczy za reflektorem dokładnie wpatrują się w każdy szczegół jej munduru Korpusu Sanitarnego Królowej Aleksandry.

Na pokładzie łodzi podwodnej zrobił się ruch. Coś miękkiego wylądowało u stóp kobiety. Koc. Potem drugi. Zorientowała się, że dwóch marynarzy z łodzi spuszcza na linie małe, drewniane pudełko. Siedzący w szalupie kapitan posłanego na dno statku wziął je niechętnie. Jedna ze starszych dziewczynek, przełamawszy strach, włożyła dłoń do skrzynki. Gdy wyciągnęła stamtąd butelkę brandy i karton papierosów, wyglądała na bardzo zawiedzioną.

Reflektor zgasł. Głos na mostku wydał rozkaz po niemiecku. W chwilę później jęk rozruszników obudził do życia potężne silniki dieslowskie łodzi. Straszliwy ryk wstrząsnął nocą. Kapitan "Walvis Bay" sięgnął po ocalałą jakimś cudem latarkę i puścił snop światła na mostek U-boota. Oczy mężczyzn spotkały się na chwilę. Anglik widział tę twarz wielokrotnie w gazetach - poważne, groźne oczy i skupiony wyraz twarzy, na której górował orli nos. Twarz ta przypominała mu trochę innego orła godło Trzeciej Rzeszy.

Szalupa doznała lekkiego wstrząsu, gdy marynarze odepchnęli ją od ruszającego w drogę U-boota. Kapitan wyprostował się. W świetle latarki na mostku znikającej we mgle łodzi dostrzegł odwróconą złotą podkowę. Wiedział już, kto był jego przeciwnikiem. Nie mógł oderwać wzroku od samotnej sylwetki stojącej na mostku.

- O Boże - wyszeptał. - To był Otto Kretschmer.

Jeszcze przez chwilę patrzył we mgłę, nim otworzył skrzynkę, otrzymaną od marynarzy U-boota. W środku znalazł kompas, którego igła dokładnie wskazywała miejsce, gdzie mgła wchłonęła niemiecką łódź.

Na U99 marynarz, który wracał z posterunku przy dziale przeciwlotniczym miał właśnie zamiar zamknąć właz, gdy zobaczył kawałek mokrego papieru, owinięty wokół jednego z drążków relingu. Ostrożnie rozprostował go i rozłożył na pokładzie. Była to lista dzieci i ich opiekunów z “Walvis Bay”. Po drugiej stronie widniał trochę koślawy napis, wykonany niewprawną, dziecięcą dłonią: *Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku 1941.*

2.

Wiekowy citroen, podskakując na wypolerowanych deszczem kocich łbach, zatrzymał się ze straszliwym piskiem hamulców przed bramą bazy niemieckich łodzi podwodnych w Loriencie. Znudzony sztabfeldfelbel z błyszczącym na piersiach metalowym emblematem policji wojskowej podszedł do samochodu i wziął do ręki papiery pasażera.

Porucznik Bernard Anders - zdjęcie odpowiadało jego twarzy: zadumany wzrok, jasne włosy, blada cera. Zauważył, że jego długie nogi znajdują się prawie pod samym podbródkiem w zatłoczonym wnętrzu taksówki.

Strażnik odsunął się, by przepuścić samochód przez bramę, po czym skwapliwie wśliznął się do swej budki, której szpary poutykane były strzępami gazet, by uszczelnić ją choć trochę przed lutowym wiatrem znad Atlantyku, wdmuchującym lodowato zimne powietrze wprost w szpik kostny człowieka.

Ledwo usadowił się wygodnie w budce, gdy pojawiła się następna taksówka.

Typowe dla nich, pomyślał. Za bardzo się cenią, żeby przyjechać razem.

Jeszcze jeden oficer, może nawet młodszy niż ten pierwszy. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Jego mundur leżał wprost nienagannie - sztywny, wykrochmalony kołnierzyk i czapka, którą nawet w samochodzie potrafił nosić pod właściwym kątem. Wszystko w wyglądzie podporucznika Richarda Steina miało swoje miejsce. Z wyjątkiem szerokiej blizny po cięciu szablą na jego prawym policzku.

Bernard Anders znalazł przystań numer 6 i spojrzał z dumą na swą nową łódź. Przynajmniej dwukrotnie przekraczała rozmiarami bałtyckie "kajaki", na których odbywał szkolenie wstępne. Dwóch mechaników przygotowywało łódź do walki, usuwając z jej pokładu reling rufowy. Trzeci sprawdzał działko 88-mm, które górowało nad pokładem dziobowym. Anders zapomniał o całym świecie, spoglądając z radością na każdy detal łodzi, która na wiele dni miała się stać jego domem. Z zamyślenia wyrwał go miły głos za plecami.

- Dobry wieczór.

Anders odwrócił się i ujrzał przystojnego, elegancko ubranego oficera, którego zauważył jeszcze w pociągu.

- Jestem podporucznik Richard Stein - przedstawił się z uśmiechem, podczas którego blizna zgięła się w zygzak. Ostre jak brzytwy kantki spodni bieły jak dwie linie wprost na wypolerowane na wysoki połysk buty. Nawet marynarskie torby podróżne były zapakowane z zachowaniem doskonałej symetrii. Anders z pewnym skrepowaniem przypomniał sobie o własnej sylwetce, na którą wygadywała matka, ilekroć przychodziło jej przeszywać mu mundur, by lepiej pasował. Uścisnął podaną dłoń i zauważył, że paznokcie Steina są starannie przycięte.

- Porucznik Bernard Anders - powiedział, odpowiadając uśmiechem na uśmiech.

Stein wskazał gestem na łódź i strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa.

- Pańska nowa łódź?

- Tak. - Andersowi nie spodobała się pewność siebie Steina.

- Która?

- U700.

- Nie ma pan szczęścia - powiedział, spoglądając na wypolerowane czubki butów.

- Doprawdy? - Anders zjeżył się.

- Słyszał pan chyba. Niedawno w "Das Reich" był o niej artykuł.

- Moi rodzice nie prenumerują tej gazety - natychmiast zareagował Anders, niemal w tej samej chwili żałując odpowiedzi, bo zabrzmiała obcesowo, czego nie chciał.

Uśmiech zniknął z twarzy Steina. Wziął swe torby podróżne i oznajmił chłodno:

- Podczas prób morskich koło Trondheim miała wypadek. Nie pamiętam szczegółów, ale zdaje się, że kapitan zachował się dosyć przytomnie. Dostał nawet jakieś wyróżnienie, czy coś podobnego. Ale sam panu chyba o tym opowie.

- Na jaką łódź pan dostał przydział? - zapytał Anders zbierającego się do odejścia oficera. - Nie chciałem być nieuprzejmy, po prostu tak wyszło.

- U99 - powiedział z udawaną obojętnością Stein, lecz w jego głosie zabrzmiała nutka dumy. - Łódź kapitana Kretschmera. Jutro wraca z patrolu.

Anders nie odezwał się. Stein rzucił mu na odchodnym jeszcze jedno spojrzenie, po czym z lekkim uśmiechem powiedział:

- Życzę powodzenia, poruczniku Anders. Miejmy nadzieję, że nie okaże się pechową łodzią.

Kapitan Hans Weiner, wielki, postawny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, do 1939 roku był kapitanem treningowych łodzi podwodnych typu II na Bałtyku. Pogodził się już z faktem, że całą wojnę spędzi na ćwiczeniu rekrutów, domyślając się, że jego wiek nie pozwala na otrzymanie komendy frontowej. Dlatego był mile zaskoczony i pełen wdzięczności, gdy dowódca flotylli poinformował go, że będzie odbierał U700 ze stoczni i zostanie jej dowódcą. Wypadek, który pozbawił U700 prawie jednej czwartej załogi z czterdziestu ludzi zdarzył się w drugim tygodniu prób pełnomorskich. Po koniecznych naprawach i przeróbkach, otrzymał rozkaz przybycia do nowo zdobytego francuskiego portu Lorient w zachodniej Francji i tam czekać na uzupełnienie załogi. Z doświadczenia wiedział, że zbyt wielu młodych marynarzy nie kończy kursu przygotowawczego, i nie miał złudzeń co do tego, że raczej nie może liczyć na gromadę starych wilków morskich.

Siedział przy stole tuż obok kwatery starszych oficerów i podpisywał zamówienia prowiantowe, gdy usłyszał kroki schodzące po metalowej drabince na stanowisko dowodzenia. Odsunął na bok zieloną kotarę, jedyną namiastkę prywatności dowódcy łodzi klasy VIIC i wyjrzał na zewnątrz. Oficer o obcej, niezgrabnej sylwetce usadowił się za peryskopem.

Weiner ubrał sweter i wszedł do pomieszczenia. Minęło ładnych kilka chwil, nim nowo przybyły zauważył jego obecność. Nagle odwrócił się i na jego widok uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Nie wiedziałem, że ktoś jest na pokładzie.

Weiner przyjrzał się oficerowi i zauważył dwa złote paski na rękawie munduru. - Porucznik Bernard Anders?

- Tak, tu są moje papiery.

Weiner wziął podane sobie dokumenty i zaklął w myśli. Obiecano mu doświadczonego oficera, takiego, który ma za sobą przynajmniej dwa patrole bojowe, nie zaś młodzika świeżo po szkole, który nigdy nie wytknął nosa za Bałtyk.

- Jestem przydzielony do kapitana Weinerja.

- Ja jestem Weiner.

Wysoka sylwetka Andersa wyprostowała się na baczność. Zasalutował niezgrabnie.

- Przepraszam, panie kapitanie. Weiner machnął ręką i wskazał gestem na wnętrze łodzi.

- I co pan o niej myśli?

Anders uśmiechnął się. Czuł, że polubi Weinerja.

- Robi wrażenie, panie kapitanie. Jest dużo większa od łodzi ćwiczebnych. Weiner mruknął:

- Po kilku tygodniach patrolu nawet panu wyda się ciasna. Więc to pan jest moim nowym zastępcą?

- Tak jest. Mam już trochę doświadczenia. Przez trzy miesiące byłem pierwszym oficerem. Weiner uśmiechnął się.

- Na typie II, prawda? Na Bałtyku. Chodźmy, pokażę panu teraz prawdziwą łódź. Zaczniemy od jej zębów.

Olbrzymia dłoń Weinerja pogładziła z lubością jeden z pocisków w dziobowym przedziale torpedowym.

- Ta jest specjalna, panie Anders. Poznaje pan, co to za jedna?

Anders przykucnął pod górnymi przewodnicami ładującymi i spojrzął na długi czarny kształt. Torpeda wyglądała tak samo jak inne, z wyjątkiem numeru wypisanego białymi cyframi na półkolistej głowicy. Wyprostował się z zaskoczeniem i omal nie uderzył głową w prowadnice.

- Głowica G7e, panie kapitanie.

- Znakomicie - ucieszył się Weiner. - Ale dlaczego pan taki zdziwiony?

Anders spojrzął na złowrogi odbłask pocisku w słabym świetle żarówek. Z całej długości torpedy właśnie czarna głowica najbardziej przykuła jego uwagę. W odróżnieniu od reszty, powierzchnia jej była gładka i wypolerowana.

- Myślałem, że głowice magnetyczne wycofano z użytku.

- To jest wersja Mark II - odparł Weiner, poklepując pocisk jak łagodne zwierzę domowe. - Mówią, że usunęli już wszystkie usterki, a Kretschmer, Schepke i Prien topią każdą z tych ślicznotek po jednym statku. Ma napęd elektryczny, nie na sprężone powietrze, więc nie zostawia za sobą żadnych śladów.

- Głowica jest chyba zrobiona z innej stali - zauważył Anders, nie mogąc oderwać wzroku od torpedy.

- Zupełnie nowy gatunek stali bojowej, opracowany w zakładach Kruppa. Nazywa się Wotan i pozwala ładunkowi przed eksplozją sprężyć się do dwa razy większego ciśnienia, niż w zwykłych głowicach. W ten sposób z tej samej ilości materiału wybuchowego można uzyskać podwójną siłę eksplozji. Ale największe szkody robi wybuch dokładnie pod samym celem.

Anders poczuł, że lubi starszego, o prawie ojcowskim wyglądzie mężczyznę, i ośmielił się zadać pytanie, które niepokoiło go od chwili rozmowy ze Steinem.

- Panie kapitanie, jaki wypadek zdarzył się na tej łodzi?

Weiner odwrócił się, a z twarzy zniknął mu dobroduszny uśmiech.

- Jaki wypadek? - warknął.

- Przepraszam, panie kapitanie, ale ktoś mi powiedział, że podczas prób...

- Aha, o to chodzi - przerwał mu Weiner, pokazując skinieniem głowy na czworo drzwi przedziałów torpedowych. - Mieliśmy kłopot z trójką. Źle zespawane zawiasy.

Anders dobrze wiedział, co to oznaczało.

- To znaczy, że przy odpaleniu wyrwało klapę? zapytał z niedowierzaniem.

- Coś w tym rodzaju - odparł Weiner. - Ale nie chce pan chyba przejmować się tym, co minęło. Obaj powinniśmy się zająć przyszłymi sukcesami naszej U700.

Wziął Andersa za ramię.

- Po pierwsze, musimy się zająć pana mundurem. Wygląda jakby pan w nim spał. Nie może pan pójść cały wymięty na spotkanie z admirałem.

- Z admirałem? - zadrzał Anders.

- Tak.

- A admirałem Doenitzem? Weiner roześmiał się.

- Oczywiście. Chyba, że Raeder mianował dziś rano kogoś innego na to stanowisko. - Weiner zauważył niepewność, malującą się na twarzy swojego oficera, i uśmiechnął się, dodając mu otuchy.

- Niech się pan nie przejmuj, parę lat temu w Wilhelmshaven czułem się dokładnie tak samo. Dzisiaj wieczorem mamy przyjęcie z okazji przyjęcia naszej łodzi na służbę. Dowództwo flotyli okrętów podwodnych na Atlantyk mieści się właśnie tutaj, więc z pewnością admirał się pokaże.

3.

Torpeda magnetyczna eksplodowała dokładnie pod kadłubem wyładowanego rudą masowca.

Kretschmer i marynarze pełniący wachtę na mostku U99 zauważyli, jak oślepiający snop płomieni uderzył w nocne niebo. Była to ostatnia torpeda U99, a odpalono ją z wyrzutni rufowej.

Łódź zawróciła, mierząc z działa w okręt, żeby w razie potrzeby wykończyć go mieszaniną pocisków zapalających i odłamkowych, ale nie było trzeba. Gdy światło księżycy przedarło się przez szparę w chmurach, zaskoczeni marynarze patrzyli, jak dwa maszty statku zbliżają się ku sobie i powoli krzyżują, jak szermierze na początku pojedynku. Widzieli nawet podwójne stery i śruby, gdy rufa wyłoniła się z wody. Dziób również powstał do góry i zdawał się tak trwać przez nie kończącą się sekundę.

- Nawet nie zdążyli spuścić szalup - powiedział szeptem jeden z obserwatorów.

Kretschmer nie odezwał się ani słowem.

Po chwili ich uszu doszedł ryk wody, wdzierającej się na statek i obie jego połowy pogrążyły się w odmętach. Po okręcie nie zostało nawet śladu. Miał spocząć dopiero pięć mil poniżej, na dnie Oceanu Atlantyckiego.

Mniej niż pięćdziesiąt sekund minęło od wybuchu torpedy do zatonięcia statku. Żaden z członków załogi U99 nie widział jeszcze tak szybko tonącego okrętu.

Drugi oficer, Jupp Kassel, siedzący na nasłuchu, dostroił radio na międzynarodową częstotliwość, którą wysyłało się sygnały o pomoc, chcąc zanotować przynajmniej nazwę statku, ale nie usłyszał nic. Był to dowód, że torpeda magnetyczna ze swą zdolnością łamania kadłuba statku, i taktyka Kretschmera - nocnego ataku powierzchniowego z bliskiej odległości, czyniły z U99 najbardziej śmiertelnością broń w wojnie na Atlantyku.

Zakończył się kolejny patrol U99. Pozostało jej tylko skierować się na wschód, do bazy łodzi podwodnych w Lorient.

4.

Tego wieczoru, podczas przyjęcia w hotelu "Beau Sejour", podporucznik Richard Stein starał się wspiąć na szczyt niestabilnej piramidy z krzeseł i foteli. Broniąc się przed ciosami poduszką, zadawanymi przez chichoczącą stenotypistkę, zdołał chwycić ją za kibić. Zgodnie z regułami gry, oddała mu długi, namięty pocałunek, a marynarze klaskali z podziwem. Po dziesięciu sekundach miała prawo zepchnąć go z piramidy i szczęścia mógł próbować następny. Dwóch oficerów SS, których Stein poznał tego dnia w Loriencie, obrzucało ich papierowymi taśmami.

Weiner i Anders stali przy bufecie i patrzyli, jak Stein, mimo protestów dziewczyny, rozpina guziki jej bluzki.

- Co sądzisz o naszej załodze? - zapytał Weiner, dolewając Andersowi wina.

- Wydają się w porządku - odparł Anders, nie spuszczać wzroku ze Steina i zastanawiając się, jak ten, w ferworze walki z dziewczyną, potrafi utrzymać w porządku fryzurę.

- Kim, do cholery, jest ten typek? - Weiner wskazał kieliszkiem w stronę oficera.

- Nazywa się Stein. Przyjechaliśmy razem tym samym pociągiem - odpowiadając, Anders zorientował się, że czuje się znakomicie w towarzystwie Weinerja. Przynajmniej tutaj znalazł się ktoś, kto nie traktuje go z góry.

- Niech go diabli. - wymamrotał Weiner do kieliszka.

- Mówi, że przydzielili go na U99. Weiner roześmiał się krótko.

- Kretschmer go nie zechce.

Anders wychylił szklanekę. Zwykle jeden drink wystarczał mu na cały wieczór, lecz tutaj czuł odprężenie. Postanowił wykorzystać przyjacielską atmosferę i cieszyć się rozmową z kapitanem.

- Dlaczego nie, panie kapitanie?

Nagle dziewczyna krzyknęła głośno. Stein rozerwał jej bluzkę. Paznokciami podrapała mu twarz, a on w zemście uderzył ją na odlew, a potem złapał za włosy i pociągnął jej głowę do tyłu. Wolną ręką zerwał jej biustonosz. Brinkler, lekarz i główny mechanik U700 zorientował się, że Stein posuwa się za daleko i próbował wspiąć się na piramidę, by go powstrzymać, lecz odciągnęło go dwóch oficerów SS.

Weiner odłożył kieliszek i spojrzał na przestraszoną dziewczynę. Anders czuł, że zaraz wybuchnie.

- Nie pozwolę, żeby ten bubek zepsuł mi przyjęcie, Anders. Powstrzymaj go.

Anders roześmiał się nerwowo, mając nadzieję, że Weiner potraktuje to jako żart. Lecz jego twarz była śmiertelnie poważna. Jeden z oficerów SS dołączył do Steina i ciągnął za halkę

dziewczyny. Zaczęło się robić nieprzyjemnie i inne dziewczęta ponaglały swoich towarzyszy do interwencji.

- Przerwij to natychmiast! - powiedział Weiner z ledwo hamowanym gniewem.

Olbrzymi mercedes zatrzymał się przed hotelem, a kierowca szybko wyskoczył otworzyć drzwi pasażerowi. Admirał Karl Doenitz wysiadł i przystanął, nasłuchując odgłosów przyjęcia. Odwrócił się do Johanna Knellera, swego adiutanta, i uśmiechnął się.

- Są takie chwile, Johann, kiedy żałuję, że nie jestem dowódcą łodzi podwodnej.

Doenitz, dowódca flotyli okrętów podwodnych Kriegsmarine, miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Jego ostre, typowo pruskie rysy i przedwcześnie posiwiałe włosy sprawiały, że załogi wszystkich łodzi nazywały go Siwym Lwem. Nie zawracał sobie tym głowy. Mogli go nazywać jak chcieli, byle zatapiali dużo okrętów wroga. Po każdym patrolu słowo po słowie analizował każdy raport dowódcy okrętu i bezlitośnie rugał każdego oficera, który wykazywał choćby najmniejszą słabość czy wahanie w czasie ataku. W zamian za to, Doenitz bronił swoich marynarzy przed zakusami propagandystów z Berlina. W swej kwaterze głównej tolerował kilku esesmanów, o ile zajmowali się sprawami bezpieczeństwa i nie wtykali nosa w sprawy łodzi podwodnych.

Wielu w Berlinie nie przepadało za nim. Podejrzewali, że zorganizował penetrację bazy Scapa Flow w Szkocji i kazał zatopić "The Royal Oak", by przekonać Hitlera o konieczności inwestowania w rozwój łodzi podwodnych, gdy on nie miał specjalnej na to ochoty. Z kolei Goering nienawidził go serdecznie, bo musiał wypożyczyć mu szwadron "Kondorów" dalekiego zasięgu w celu rozpoznawania konwojów. Od tego czasu bez przerwy, chociaż i bez powodzenia starał się o ich zwrot, by wreszcie nabrało prawdy jego powiedzenie, że "wszystko co lata, należy do mnie". Wchodząc do hotelu, Doenitz zapytał swego adiutanta:

- Powiedziałeś Weinerowi, że zjawię się na jego przyjęciu?

- Tak jest, panie admirale.

Doenitz nie chciał, żeby jego podkomendni czuli na plecach oddech zwierzchnika, nawet gdy się bawią.

Anders niechętnie odłożył kieliszek i przepchnął się przez tłum, otaczający piramidę. Stein i oficer SS nie zaprzestali swej pijackiej zabawy.

- Dosyć tego, Stein. Zostaw ją w spokoju.

Tłum zamilkł. Anders poczuł jakąś dłoń na swym rękawie, lecz strząsnął ją niecierpliwie. Stein roześmiał się dzikim śmiechem i wylał zawartość butelki na brzuch dziewczyny.

- Ona to lubi, Anders. Chodź, napijesz się z jej pępka.

Anders podszedł bliżej i wpatrzył się w oczy Steina. Twarz miał na wysokości wypolerowanego czubka jego buta.

- Powiedziałem, że wystarczy! Dziewczyna zaczęła się bronić, gdy esesman próbował rozchylić jej nogi.

- Spróbuj nas powstrzymać! - zawołał ironicznie Stein i zamachnął się nogą. Anders przewidział to i Stein kopnął powietrze. W tej samej chwili dwie potężne dłonie chwyciły jego łydkę i gwałtownie wykręciły. Wrzask bólu Steina utonął w hałasie rozlatującej się piramidy, lecących na wszystkie strony poduszek i machających bezładnie rąk i nóg. Ze strony bawiących się rozległ się aplauz. Gdy Anders pomagał stanąć na nogi łkającej dziewczynie, kątem oka dostrzegł, że do sali wchodzi Doenitz. Nie można było z niczym pomylić jego siwych włosów wystających spod wysokiej czapki z złotym otokiem.

Dyrygent też zauważył wejście admirała i powitał go szybkim tańcem na wejście.

Stein nie zauważył nowo przybyłego. Żądny zemsty odwrócił się nagle i uderzył Andersa w brzuch, lecz cios nie był zbyt silny, bowiem odciągali go koledzy z SS. Dwie kobiety wyprowadziły stenotypistkę z sali.

Brinkler i jeden z marynarzy U700 trzymali Andersa, by uspokoił się na tyle, by mógł dołączyć do Weinera, który nalewał właśnie Doenitzowi wina. Obsługa, odziana w jasne fraki, układała meble na miejscu, i pary znów zaczęły pojawiać się na parkiecie.

Weiner poklepał Andersa przyjaźnie po plecach i przedstawił go Doenitzowi, który odwrócił się do niego z uśmiechem i skinął głową w stronę wciąż skurczonej z gniewu twarzy Steina po drugiej stronie parkietu.

- Podczas walki ani na chwilę nie należy spuszczać oka z przeciwnika - powiedział. - Ale cieszę się, widząc zdecydowany atak.

Anders wziął kieliszek podany mu przez Weinera i zmusił się do zdania sobie sprawy, że mówi doń sam admirał floty podwodnej Kriegsmarine.

- Chwilowe niedopatrzenie, panie admirale. - powiedział niepewnie Anders, lecz Doenitz nie słuchał podekscytowany Kneller mówił mu coś do ucha. Admirał położył kieliszek na stoliku, pospiesznie przeprosił Weinera i wyszedł z Knellerem do holu.

Kapitan U700 patrzył spod zmarszczonych brwi na wychodzącego.

- No cóż - zaczął smutno. - Lepiej tyle niż nic.

Anders odwrócił się i zauważył, jak Stein uwalnia się z objęć swych kolegów, nie spuszczając oka z Andersa. W jakiś sposób udało mu się przy tym zachować nienaganny wygląd.

- Zbliżają się kłopoty - mruknął Weiner, gdy Stein zaczął zmierzać w ich kierunku niepewnym krokiem.

Lecz Stein był już spokojny. Uśmiechnął się do Andersa i powiedział:

- Widzę, że się zaprzyjaźniłeś z wujkiem Karlem powiedział, z trudnością wymawiając sylaby. - Na twoim miejscu wykorzystałbym to do przeniesienia na przyzwoitą łódkę.

Zażenowany, Anders odparł:

- To jest kapitan Hans Weiner, dowódca U700.

Stein uśmiechnął się szerzej. Udawał, że widzi Weinerja po raz pierwszy.

- Przepraszam, panie kapitanie. To tylko niewinny żarcik.

- Szkoda, żeśmy go nie zrozumieli - zauważył Weiner chłodno. - Niech pan spróbuje nim rozśmieszyć swoich kolegów z SS.

Stein skłonił się ironicznie i wycofał w stronę swojego stolika.

- Kawał drania - skomentował kapitan.

- Kapitanie Weiner?

Weiner odwrócił się. Za nim stał Kneller, cały w uśmiechach.

- Pan admirał bardzo przepraszam, ale przynajmniej przez godzinę nie będzie mógł uczestniczyć w bankiecie.

- Dlaczego?

- W tej chwili otrzymaliśmy wiadomość, że z patrolu powraca nasza łódź.

- Która? - zapytał z niechęcią w głosie Weiner, wyczuwając zagrożenie dla bankietu.

- U99 - powiedział z jeszcze większą radością Kneller, widząc minę kapitana. - Wracą Kretschmer.

Odwrócił się, stanął na krześle i klasnął w dłonie dla zwrócenia uwagi.

- U99 wchodzi do portu! - oznajmił. Wiadomość ta spowodowała masowy eksodus zaproszonych.

Na nabrzeżu trzecim zebrało się dobrze ponad sto osób. Niektóre z dziewcząt wspięły się na mostek U700, inne skłębiły się na tylnym, wyższym nieco pokładzie rufowym, obok działa.

Anders stał na nabrzeżu obok Weinerja, zaś Doenitz, w swym długim płaszczu, powolnym krokiem zbliżył się do marynarzy, przygotowujących trap. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było lekkie pluskanie wody i szczekanie zębów co mniej wytrzymałych dam, którym było zimno w wieczorowych sukniach. Stein, z błyszczącymi oczyma, stał razem ze swymi kolegami z SS. Wszyscy spoglądali na światła sygnalizacyjne, poruszające się przez zatokę w stronę rżęsiście oświetlonej oazy - nabrzeża

numer trzy.

Nocna mgła unosiła się nisko nad cichą, czarną powierzchnią wody. Wreszcie Anders dostrzegł ciemny kształt pomiędzy światłami. Tłum poruszył się na widok nieruchomej sylwetki, stojącej na mostku, która jakby unosiła się we mgle niczym duch zemsty.

Dziób okrętu z idealną precyzją przeciął snop światła otaczający basen nabrzeża. Dano wstecz i z wody wyłoniła się na całą długość tajemnicza i groźna broń Niemiec w wojnie na Atlantyku.

Uwagę Andersa przykuł przedmiot z boku wieżyczki obserwacyjnej. Był częścią legendy, którą, jak sądził, wymyśliły gazety i kroniki filmowe, ale nie. Złota podkowa była tam naprawdę i lśniła w światłach nabrzeża.

- Niech pan spojrzy na proporczyki - wymamrotał Weiner do ucha Andersa.

Ze wsporników peryskopu zwisała smętnie cała nitka mokrych proporców. Każdy symbolizował jeden zatopiony statek i miał na sobie wypisany jego tonaż.

Elektryczne silniki łodzi umilkły.

Nagle ciszę przerwały oklaski jednej z kobiet. Dołączyła do niej druga i po chwili wszyscy zebrani na nabrzeżu klaskali i wznosili okrzyki. Nawet Doenitz dołączył się, lecz nie krzyczał, nie chcąc naruszyć powagi swego urzędu. Natomiast Stein robił jedno i drugie z wielkim zapałem. Jego oczy lśniły dumą, gdy patrzył na łódź, na której miał służyć.

Sprawne dłonie pochwytyły rzucone cumy i szybko zainstalowano trap, który łączył się z przednim pokładem łodzi. Kretschmer nie poruszył się, zanim cała czterdziestoosobowa załoga nie znalazła się na brzegu. Dopiero gdy zniesiono na brzeg ranego na noszach, zszedł z pokładu, witając się z Doenitzem.

Mężczyznę na noszach niesiono obok Andersa i Weinerja. Koc, którym był przykryty, pokrywała w okolicy brzucha zakrzepła krew, co zadawało kłam historii propagandowej o niezwyciężoności niemieckich łodzi podwodnych. Nagle poczuł na ramieniu dłoń, dodającą mu otuchy.

- Chodźmy - powiedział cicho Weiner. - Czas wracać na bankiet.

Mniej niż dwadzieścia pięć par wróciło do sali. Stein siedział przy stoliku z dwoma esesmanami i zastanawiał się, czy zaprzyjaźnienie się z nimi nie było przypadkiem pomyłką. Z pijaną zazdrością patrzył na grupę mężczyzn, stojącą wokół bufetu. Kretschmer, Kneller, Anders i Doenitz rozmawiali ze sobą swobodnie, a śmiech kapitana U700 było wyraźnie słychać ponad brzmieniem orkiestry, grającej powolnego walca.

- Niech to szlag trafi - mruknął Stein do kufla z piwem. - Powinien mnie zaprosić. Przecież Kretschmer jest teraz moim dowódcą.

Taniec skończył się. Rzadkie oklaski nagrodziły starania orkiestry i większość tancerzy powróciła na swoje miejsca. Dochodziła trzecia rano.

Dłoń Steina powędrowała ku krawatowi, wyrównać węzeł. Wstał, mając zamiar podejść do grupy przy barze, lecz kolega z SS z powrotem posadził go na krześle.

- Nie wygłupiaj się.

Tymczasem Kretschmer częstował wszystkich zebranych swymi cygarami. Doenitz podziękował i ostrzegł

Andersa, który przyjął jedno z opakowanych w folię cygar.

- Uważaj na nie. Są bardziej niebezpieczne niż jego torpedy.

- Trzy niewypały - powiedział Kretschmer. - Ale poprawiają się.

Doenitz zmarszczył brwi. Nie miał jeszcze okazji przejrzeć dziennika pokładowego. Przeprosił na chwilę Weinerja i Andersa, zabierając Kretschmera na stronę.

- Trzy niewypały?

- Lepiej niż ostatnim razem - skinął głową Kretschmer. - Ale brakuje im jeszcze trochę do doskonałości. Zgubiłem przez to trzy okręty, w tym jeden tankowiec.

Doenitz zaklął pod nosem. Torpeda magnetyczna, choć w zamyśle była znakomitym urządzeniem, przeżywała nadal kłopoty wieku dziecięcego. We wczesnych dniach problemy były tak poważne, że Doenitz przyrzekł, że nigdy nie wyśle swoich ludzi do walki z tak bezużyteczną bronią. Grupę techników i inżynierów, odpowiedzialnych za rozwój broni, postawiono nawet przed sądem. Lecz trzeba było przyznać, że niemieckiej produkcji torped, które nie zatapiały statków, odpowiadała brytyjska produkcja bomb głębinowych, które nie zatapiały okrętów podwodnych, chociaż od pewnego czasu nadchodziły wiadomości, że RAF udoskonala bomby zrzucające z samolotu.

- Jednak o trzy za dużo - powiedział Doenitz. Mam dla ciebie nowego drugiego oficera, który ukończył kurs obsługi głowic G7e w Kilonii i potrafi je skontrolować przed odpaleniem.

Kretschmer zainteresował się.

- Jak się nazywa?

- Richard Stein, podporucznik. Ten, przy stoliku po drugiej stronie.

Twarz Kretschmera pozbawiona była wyrazu, kiedy przyglądał się Steinowi, który nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Gdy jeden z esesmanów opowiedział jakiś dowcip, wszyscy przy stoliku wybuchnęli rykliwym śmiechem.

Kretschmer położył ostrożnie szklankę na kontuarze i powiedział:

- Proszę o małą przysługę, admirale.

- Cokolwiek zechcesz, Otto - odparł zaskoczony Doenitz.

- Proszę mi znaleźć kogoś innego.

- Powód?

- Nic takiego, co mógłbym wyrazić słowami - kapitan pozwolił sobie na cień uśmiechu.

Stein musiał wyczuć, że właśnie o nim mowa i spoważniał, patrząc na oficerów.

Doenitz pokiwał głową ze zrozumieniem.

- U700 nie ma jeszcze pełnego składu. Poproszę Knellera, żeby jutro z samego rana przekazał rozkaz Steinowi.

W chłodny, nieprzyjemny lutowy dzień w Londynie, komandor Ian Lancaster Fleming z Marynarki Wojennej, niegdyś dziennikarz i makler giełdowy, a teraz osobisty asystent Dyrektora Biura Wywiadu Morskiego, spoglądał na leżące przed nim zdjęcia trzech asów niemieckich łodzi podwodnych: Otto Kretschmera z U99, Gunthera Priena z U47 i Joachima Schepke z U100. Dokładnie przyglądał się zdjęciom, wchłaniając każdy ich szczegół.

Przystojny, dobroduszny, lecz przykuty do biurka Fleming żywił dla tych mężczyzn coś więcej niż przelotną sympatię, choć wątpił, czy ten fakt znalazłby poparcie w kręgach Admiralicji.

Schepke był wysokim blondynem, na zdjęciu otoczonym przez krąg rozradowanych dziewcząt. Rysy twarzy Kretschmera, pewne siebie i groźne, uchwycił fotograf w studio, zaś Prien śmiał się wyzywająco w obiektyw na zdjęciu zrobionym przez reportera CBS tuż przed zatopieniem angielskiego pancernika "The Royal Oak" na, jak mówiono, bezpiecznym kotwicowisku Scapa Flow u wybrzeży Szkocji.

Fleming czytał wszystkie raporty wywiadu na ich temat i westchnął. Kombinacja charakterów tych trzech mężczyzn stworzyłaby idealnego bohatera książki. Odsunął zdjęcia na skraj biurka i przyłożył je kawałkiem stali. Powierzchnia metalu lśniła złowrogą czernią. Przyjrzał się jej w zamyśleniu i wezwał do siebie stenotypistkę. Dyktował jej przez dziesięć minut. Słowa przychodziły mu z łatwością.

Admirał Godfrey, Dyrektor Biura Wywiadu Morskiego, miał zwyczaj czytać raporty Fleminga przed wszystkimi innymi, bo wiedział, że aż roi się w nich od obrazowych, dosadnych wyrażen, co było dla niego odmianą, której wyczekiwał po stosach cywilnej prozy, codziennie lądującej na jego biurku.

Pierwszy raz przeczytał raport dla rozrywki. Najbardziej spodobał mu się w nich opis trzech asów niemieckiej Kriegsmarine jako "tępych narzędzi głęboko przemyślanej strategii Doenitza". Po raz drugi przeczytał go, by zastanowić się nad wnioskami z niego płynącymi. Jak zwykle u Fleminga, pełno w nim było niesamowitych pomysłów, zdradzających wielką wyobraźnię idącą w parze z przenikliwością, jednak nic takiego, czego nie dałoby się wprowadzić w życie. Poza tym raport dotyczył politycznie niepewnego pola neutralności Stanów Zjednoczonych.

Fleming kończył swój raport słowami: "Jeżeli my, myszy, mamy czasem szczęście i jakimś cudem udaje nam się złapać kota, powinniśmy zaprosić naszych kuzynów, żeby spojrzeli sobie na jego zęby i pazury, w zamian za trochę sera."

Admirał Godfrey uśmiechnął się i u dołu strony napisał, że się zgadza. Potem usiadł wygodnie i przeczytał raport po raz trzeci.

Ian Fleming, pomyślał, jest naprawdę doskonałym pisarzem.

6.

Nadszedł pierwszy dzień służby U700.

Twarz Steina była czerwona z wściekłości, gdy stał na baczność na nabrzeżu portowym w Lorient. Wraz z innymi członkami załogi U700 trzymał wyciągniętą w pozdrowieniu dłoń, podczas gdy orkiestra wojskowa grała hymn Rzeszy. Nagle zmoczona deszczem partytura, wyrwana ostrym wschodnim wiatrem sprzed nosa flecisty, owinęła się koło jego nogi. Kolejne upokorzenie z całej serii, która zaczęła się poprzedniego dnia wieczorem i osiągnęła teraz swój punkt kulminacyjny. Musiał teraz stać u boku Weinerja, Andersa i innych członków załogi U700, na których nie tak dawno patrzył z góry.

Orkiestra skończyła grać i Doenitz wystąpił o krok do przodu. Odchrząknął i w krótkich, prostych słowach zaczął mówić na swój ulubiony temat - o konieczności atakowania konwojów i niszczenia jak największej ilości okrętów wroga.

Stein nie zwracał uwagi na słowa admirała, patrząc na noszącą ślady walki U99, zacumowaną obok U700. Kretschmer stał na pokładzie swej łodzi zajęty ożywioną rozmową ze swym pierwszym oficerem. Stein zastanawiał się, o czym rozmawiają - możliwe, że o taktyce łodzi na kolejnym patrolu. Bynajmniej nie poprawiło mu to humoru.

Doenitz skończył. Weiner podszedł do niego, by odebrać dziennik pokładowy i banderę, po czym znów wstąpił do szeregu. Tak zakończyła się prosta ceremonia przyjęcia na służbę. U700 była teraz łodzią frontową w pełnym tego słowa znaczeniu. Po dwóch rejsach ćwiczebnych, koniecznych, by jej załoga zgrała się w jeden organizm, miała się stać pełnowartościową jednostką.

7.

Weiner postukał wskaźnikiem po mapie, opisał okrąg wokół Islandii i odwrócił się, stając twarzą w twarz z załogą. Anders siedział w pierwszym rzędzie, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie na wypolerowanej podłodze. Jeżeli nie brać pod uwagę zmarszczonej twarzy Steina, atmosfera w sali była odprężona i przyjacielska. Stein siedział przy oknie, spoglądając w dół na U99. Zahartowana w bojach jednostka poddana została błyskawicznemu remontowi i pomalowana, dorównując teraz urodą U700.

- Nie mogę wam podać dokładnych danych - powiedział Weiner, a głos jego odbił się echem po sali. Jednak muszę wam powiedzieć, że będziemy w zasięgu hudsonów z jednostek obrony przybrzeżnej RAF-u, które stacjonują na Islandii. Mamy rozkaz: "czterech obserwatorów na mostku i całodobowa obserwacja nieba przez peryskop". Pamiętajcie panowie - samoloty są śmiertelnym wrogiem łodzi podwodnych.

Na zewnątrz orkiestra zaczęła grać marsza Kretschmera - utwór specjalnie skomponowany przez dyrygenta orkiestry na cześć kapitana. Weiner zauważył, że Stein wystukuje swym nienagannie wypolerowanym butem rytm muzyki. Dwóch mechaników podsunęło się bliżej okna i spojrzęło na dół. Żegnający machali dłońmi, gdy okręt wychodził w morze.

- A może skupilibyśmy się na U700, panowie? powiedział Weiner z wilczym uśmiechem. - U99 da sobie radę sama.

Rozległ się śmiech marynarzy. Weiner podniósł do góry wielki obraz, przedstawiający torpedę, eksplodującą o burtę statku.

- Konwencjonalna głowica wybucha, gdy jej zapalnik uderzy w kadłub statku - połowa energii rozprasza się, nie czyniąc mu nic złego, poza tym eskorta konwoju od razu wie, gdzie szukać łodzi, która odpaliła torpedę.

Podniósł kolejny obrazek.

- A to potrafi działać głowica magnetyczna.

Anders z zainteresowaniem przyglądał się rycinie. Przedstawiała torpedę eksplodującą dokładnie pod stępką statku. Weiner wskazał na nią.

- Ucieszcie się, jak wam powiem, że U99 używa od pewnego czasu nowego typu torpedy i informuje o wzroście jej niezawodności. Jak widzicie, siła wybuchu zamiast rozpraszać się, koncentruje się na stępce okrętu. Nowa stal Kruppa o nazwie Wotan umożliwia podwojenie siły wybuchu, tak, że jedna torpeda w zupełności wystarcza, by przełamać statek o wyporności dwudziestu tysięcy ton na pół.

Wszyscy prócz Steina słuchali uważnie Weinerja.

- Kolejnym plusem jest brak błysku eksplozji, gdy torpeda wybucha. Wiemy, że U47 udało się uciec ze Scapa Flow po zatopieniu "The Royal Oak" dlatego, że Brytyjczykom wydawało się, że to w

ich własnym magazynie amunicji nastąpił wybuch. U700 dostała na swój pierwszy patrol jedną taką głowicę. Kiedy wyruszymy na drugi, jestem pewien, że będzie ich na tyle, że starczy dla wszystkich czternastu torped. Wtedy będziemy mogli skorzystać z zasady kapitana Kretschmera.

Weiner uśmiechnął się chłodno w kierunku Steina.

- Mamy szczęście, że w naszej załodze znalazł się podporucznik Richard Stein. Nie tylko ukończył kurs teoretyczny na temat nowej głowicy, lecz jest także autorem studium taktyki U99. Może zechce nam pan go przypomnieć.

Stein odwrócił twarz od okna i z niewinnym wyrazem twarzy spojrzął na chłodny uśmiech Weinerja.

- Tak, panie kapitanie? - zapytał przymilnym głosem.

Weiner nie przestawał się uśmiechać.

- Czy wie pan, o jaką zasadę mi chodzi?

- Tak, panie kapitanie.

Weiner z wysiłkiem podtrzymywał uśmiech.

- Chcielibyśmy ją usłyszeć, panie Stein.

- Od kogo, panie kapitanie? Ktoś z tyłu sali roześmiał się.

- Od pana, panie poruczniku. Stein spojrzął bez wyrazu.

- Kiedy, panie kapitanie?

Tym razem nikt się nie odezwał. Weiner zrobił krok w stronę Steina i zajrzał w oczy bez wyrazu. Tak, pomyślał, chciałbyś, żebym stracił nerwy przy całej załodze, prawda?

- Proszę wstać, panie Stein - powiedział spokojnie. Stein wstał i poprawił krawat.

- Niech pan się nie martwi o krawat, panie Stein. Jak zwykle, pod względem stroju świeci nam pan przykładem. Proszę nam teraz powiedzieć, jakie stanowisko reprezentuje dowództwo i załoga U99 co do ekonomiczności zużycia torped.

Stein uśmiechnął się i przemówił, wyraźnie akcentując słowa:

- Jedna torpeda - jeden zatopiony okręt.

8.

- Jedna torpeda, jeden statek - powiedział Fleming ze zmarszczonymi brwiami. Pchnął w kierunku Brice'a zawartość teczki. Tutaj masz następny, "Convallarię". Zatonęła w niecałą minutę. I jeszcze jeden - "Beatus". Też jedna torpeda. Razem wzięwszy pięćdziesiąt statków, każdy zatopiony jedną torpedą.

Alan Brice zagłębił się w lekturze sprawozdań osób, które przeżyły kolejne katastrofy.

Był w każdym calu zrównoważonym człowiekiem począwszy od niespiesznego, bostońskiego akcentu, zdradzającego opanowanie, a skończywszy na stylu ubioru. Jako naukowiec, jeden z najlepszych na świecie inżynierów projektujących torpedy, Brice rozczarował Fleminga, który wołał, by przedstawiciele tej profesji mieli cechy na pierwszy rzut oka odróżniające ich od innych ludzi: błędne spojrzenie, naturę ekscentryka, krzywo zawiązany, niemodny krawat i może jeszcze piękną córkę na dodatek. Wysoki blondyn z Ameryki przypominał raczej młodego intelektualistę z Harvardu niż inżyniera z Massachusetts Institute of Technology. Oczekiwaniom Anglika odpowiadał tylko w jednym - rzeczywiście mógł pochwalić się piękną córką, pokazał nawet Flemingowi jej zdjęcie. Miała trzy lata.

Fleming odchrząknął.

- Wszystkie raporty mają jedną wspólną cechę, panie Brice. Ci, co przeżyli, opowiadają o wybuchu nie z boku statku, lecz spod jego kadłuba. Eskorty konwojów skarżyły się, że zupełnie nie widać błysku eksplozji, co uniemożliwia stwierdzenie, gdzie znajduje się łódź podwodna, która wystrzeliła pocisk. Jeżeli wasze centrum w Newport chce jakiegoś dowodu na to, że Niemcom udało się udoskonalić starą torpedę, to nie wiem, czego więcej trzeba.

Brice odłożył raport na biurko Fleminga.

- Rzeczywiście, tak to wygląda. Ale jak się domyślam, nadal tracie sporo statków starą metodą - cztery torpedy kontaktowe wystrzelone w biały dzień do jednego statku.

Fleming uśmiechnął się. Mimo wolno cedzonych słów, Brice nie był głupi.

- Podejrzewamy, że głowice tego typu nie zostały jeszcze wdrożone do masowej produkcji. Tylko asy, tacy jak Kretschmer, dostają je poza kolejnością.

- To ten ze złotą podkową?

Odrobiłeś zadanie domowe, pomyślał Fleming.

- Kretschmer specjalizuje się w ataku nocnym na powierzchni morza. Widywano go dość często, jak wynurzał się i odpalał po torpedzie do statków konwoju z bliskiej odległości. Czasami wydaje nam się, że zapomniał, jakim okrętem pływa. - Głos Fleminga stał się nagle poważny.

- Ale nawet torpeda z głowicą magnetyczną potrzebuje cholernej siły ładunku, żeby zatopić statek - zauważył Brice.

Fleming gestem wskazał mu przycisk do papierów leżący na biurku.

- Ten i parę innych kawałków tego samego gatunku stali znaleziono w kadłubie "Royal Oak", kiedy Prien już z nim skończył. Nowy typ stali Kruppa. Nazywa się Wotan i wytrzymuje ciśnienie stu ton na cal. Nasi chłopcy idą o zakład, że Niemcy używają jej jako opakowania dla głowic magnetycznych.

Brice wziął do ręki kawałek ciężkiego metalu.

- Powiedziałbym, że mają rację. Czy jest to wasza wstępna oferta w zamian za nasze informacje o pracach nad torpedami?

Fleming uśmiechnął się. Stwierdził, że targowanie się z Amerykaninem sprawi mu dużą przyjemność.

- Powiedzmy, że traktujemy to jako pierwszą ratę. Brice odłożył kawałek metalu na biurko Fleminga.

- Admirał Swaffer będzie chciał zobaczyć coś więcej, nim zgodzi się na udostępnienie naszych informacji.

- Admiralicja wydała wszystkim jednostkom rozkaz, żeby w miarę możliwości próbowały zdobyć nietkniętego U-boota. Proszę przekazać admirałowi Swafferowi, że pokażemy wam tę głowicę prędej, niż myślicie.

Po wyjściu Brice'a Fleming wziął z biurka dwa raporty. Agent z Lorientu w Bretanii donosił, że U47, U100 i U99 wypłynęły w tym tygodniu na patrol. Trzy asy Prien, Schepke i Kretschmer byli razem na morzu.

Drugi raport był jeszcze ciekawszy. Potwierdzał, że nowe urządzenie, zwane radarem, zamontowane na niszczycielu "Walker" w jednej z grup eskortujących konwoje, zostało sprawdzone w boju i zdało egzamin. Z tego, co Fleming wiedział na temat radarów, wynikało, że będzie narzędziem zguby niemieckich okrętów podwodnych. Nie był to już nieporęczny sprzęt, pracujący na długich falach, jakiego używali Niemcy, lecz radio korzystające z bardzo krótkich fal, które dawało łatwe do odczytania echa, możliwe do pokazania na ekranie.

Fleming otworzył swą prywatną teczkę ze zdjęciami niemieckich asów. Zdjęcie Kretschmera znajdowało się na wierzchu.

- Już niedługo, draniu - wymamrotał Fleming pod nosem. - Już niedługo.

26 lutego 1941, trzy minuty po północy, stacja nasłuchowa w Lorientie otrzymała meldunek od dowódcy U47 Gunthera Priena o dużym konwoju, płynącym na wschód.

Admirał Doenitz wstał z fotela, górującego nad olbrzymią mapą Atlantyku i zawołał oficera dyżurnego.

Pięć minut później przekazano Prienowi rozkaz płynięcia w ślad za konwojem i przesyłania częstych meldunków o jego kursie i prędkości, by pozostałe niemieckie łodzie mogły skierować się w jego kierunku i zorganizować zmasowany atak powierzchniowy. Technikę tę wykorzystano z wielkim powodzeniem przeciwko konwojowi SC7 w październiku zeszłego roku. Z trzydziestu sześciu statków, które wypłynęły z Nowej Szkocji, tylko połowie udało się zawinąć do Liverpoolu.

Nocny atak w wynurzeniu był pomysłem samego Doenitza, opartym na jego doświadczeniach z lat dowodzenia łodziami podwodnymi podczas pierwszej wojny światowej, kiedy to zauważył, że ich niski profil praktycznie uniemożliwia ich dostrzeżenie przez jednostki atakowanego konwoju, bez względu na to, w jaki sprzęt był wyposażony. Przed wojną Doenitz napisał o tym nawet książkę, w której nakreślił przyszłe zasady wojny z użyciem łodzi podwodnych. Jak dotąd, jego słowa potwierdzały się w praktyce. Sprzęt do wykrywania łodzi podwodnych w dyspozycji Królewskiej Marynarki Wojennej okazywał się zupełnie nieprzydatny przeciwko wynurzonym łodziom podwodnym. Zdarzały się przypadki, że niemieccy dowódcy wynurzali się w zasięgu wzroku eskortującego konwój okrętu wojennego, dokonywali śmiałego ataku, po czym korzystając ze swej przewagi w prędkości powierzchniowej najzwyczajniej w świecie uciekali.

Kneller przerwał rozmyślenia Doenitza.

- U47 została zmuszona do zaprzestania pościgu, panie admirale - brzmiał najnowszy meldunek.

Brwi Doenitza powędrowały w górę. Prien, jeden z niewielu dowódców łodzi podwodnych, będących członkami partii, nie poddałby się tak łatwo. Zawsze kurczowo trzymał się konwojów, póki nie otrzymał rozkazu do ataku.

- Powiedział, dlaczego?

- Twierdzi, że odegnał go niszczyciel, który wziął kurs wprost na niego - odparł Kneller.

- W nocy? - zapytał admirał z niedowierzaniem.

Pół godziny później Prien odnowił kontakt z konwojem, lecz tak jak poprzednio przegonił go niszczyciel.

Prien otrzymał rozkaz ponownego wejścia w kontakt, lecz po raz trzeci został odpędzony. Tym razem udało mu się zdobyć numer niszczyciela, który wywiad wojskowy zidentyfikował jako HMS "Walker".

- Wygląda na to, że Anglicy widzą w ciemnościach skomentował Kneller.

Doenitz poszedł do łóżka o trzeciej nad ranem. Komentarz Knellera wzbudził w nim niepewność, która nie dała mu zasnąć do brzasku.

10.

Pierwszy rejs próbny U700 zmienił się w koszmar. Po raz trzeci tego dnia Bernard Anders naciskał przycisk syreny alarmowej i wrzeszczał:

- Uwaga! Samoloty! Kryć się! Tym razem nie na żarty zdenerwował się na zbyt powolną załogę.

- Szybciej! Ruszajcie się!

Rura wydechowa silników diesla wypuściła nagle kłąb czarnego dymu. Gdy potężne silniki MAN-a osiągnęły pełne obroty, stalowy pokład pod stopami Andersa zaczął wibrować. Obsada działa przeciwlotniczego ustawiła je w neutralnej pozycji środkowej i pędem ruszyła w stronę włazu. Poniżej, na stanowisku dowodzenia, Stein z zegarkiem w ręku mierzył czas od chwili ogłoszenia alarmu. Brinkler kłął na któregoś z młodszych oficerów za to, że tamten o ułamek sekundy spóźnił się z zamknięciem drzwi wodoszczelnych. Jeden z obserwatorów potknął się na drabince i spadł. Po chwili usiadł ogłuszony na podłodze.

- Uciekaj! Już! - krzyknął Stein.

Chwycił marynarza za mundur i prawie wrzucił go do przedziału rufowego przez okrągły właz. Kłębzący się gąszcz rąk i nóg w pomieszczeniu kontrolnym, spowodowany zbyt powolnym przemieszczaniem się marynarzy, mógł oznaczać zgubę w czasie awaryjnego zejścia pod wodę.

U700 przechyliła się do przodu, gdy Anders w ślad za obsadą działa schronił się w środku. Łódź zanurzała się korzystając z rozpędu nadanego przez silniki diesla. Brinkler zwykle czekał do ostatniej chwili przed zamknięciem włazu i przełączał napęd na słabsze silniki elektryczne. Woda z rykiem napełniała już zbiorniki balastowe, gdy Anders zamknął właz i przekręcił kołem zamka. Miał zamiar krzyknąć na mostek, że wszystko w porządku, kiedy nagle poczuł, że wybuch rozsada mu czaszkę na kawałki. Jęknął i spadł na sam środek stanowiska dowodzenia. Dopiero za kilka sekund usłyszał wokół siebie ruch.

- Moje uszy - mamrotał Stein, jedną ręką trzymając się za jakąś rurę, a drugą przyciskając ucho.

Anders stanął niepewnie na nogach. Zapomniał na chwilę o swych rozmiarach i uderzył głową w manometr. Weiner zniknął, lecz jego mocny głos dawał się słyszeć z rufy. Chwilę później wtoczył swe ciało na mostek i z z troskaniem spojrział na swych oficerów.

- Nic wam nie jest?

Anders, nie chcąc okazać słabości przed swym dowódcą, stanął na baczność. Stein zrobił to samo, a Anders z radością zauważył, że przedziałek w jego włosach nie układa się tak gładko jak poprzednio.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział Anders.

- Cholerny mechanik nie wyłączył silników na czas warczał Weiner, wpatrując się w głębokościomierz, który wskazywał prawie czterdzieści metrów.

Dwa silniki po tysiąc pięćset koni każdy działały jeszcze przez ułamek sekundy po zamknięciu włazów, stąd prawie całe powietrze w łodzi wessane zostało do potężnych cylindrów.

- Czterdzieści metrów - zameldował Brinkler. Kciuk Steina zatrzymał stoper.

- I co? - zapytał Weiner. Stein poprawił fryzurę.

- Minuta dwadzieścia, panie kapitanie.

Weiner zaklął pod nosem. Anders wiedział, jak się czuje. Tym razem schodzenie zajęło im ponad dwanaście sekund więcej niż poprzednio.

Weiner oparł się o stół z mapami.

- Anders, wie pan, ile Kretschmerowi zabiera zejście na taką głębokość?

Stein otworzył usta do odpowiedzi.

- Pytam pana Andersa - powiedział sucho Weiner.

Stein uśmiechnął się kwaśno i spojrzał na swego kolegę, który miał teraz okazję poznać swego dowódcę z zupełnie innej strony.

- No? - przynaglał kapitan.

- Przepraszam, panie kapitanie, lecz nie - powiedział Anders, desperacko przetrząsając zakamarki pamięci.

- Stein?

- Trzydzieści sekund - powiedział zadowolony Stein.

- Weiner skinął głową.

- Trzydzieści sekund - powtórzył ze smutkiem. U700 nie zostanie wysłana na wojenny patrol, jeżeli nie zejdzie poniżej minuty przez dziesięć kolejnych zanurzeń. Wiedział pan o tym, Anders?

- Nie, panie kapitanie - Anders pokręcił głową, unikając wzroku kapitana. Czuł, że zawiódł Weinerja, i że słaby wynik U700 był całkowicie jego winą.

Weiner zorientował się, że Anders czuje się odpowiedzialny za słaby wynik załogi. Kusiło go, by dodać mu otuchy, lecz zdecydował, że lepiej nie. Do cholery, jest przecież jego zwierzchnikiem, nie jego niańką. Jeżeli czuje, że ma sobie coś do zarzucenia, to jego sprawa.

- Spróbujemy jeszcze raz - powiedział złowrogo. Do wynurzenia!

Podciągnął się po drabince do kiosku i usiadł przy peryskopie. Patrząc na jaśniejącą zieloną

poświatę, zwiastującą bliskość powierzchni morza, zdecydował, że jego głównymi problemami w czasie rejsów będą niepewność Andersa i zbyt duża pewność siebie Steina. Zastanawiał się, jak długo U700 będzie dochodzić do pełnej gotowości bojowej, i czy zostaną jeszcze dla nich jakieś statki wroga. Kretschmer, Schepke i Prien zatopili razem grubo ponad milion ton.

11.

10 marca Anglicy dokonali zemsty na Prienie za "The Royal Oak" i 786 ludzi, którzy wraz z nim stracili życie.

Doenitz siedział na swoim fotelu w kwaterze głównej w Lorientie i spoglądał w zadumie na pozycję U47 na wielkim stole. Czekał.

Radiotelegrafista ustawił radiostację na nadawanie i po raz dziesiąty tej godziny wystukał: "DBU do U47. Podajcie swoją pozycję".

Ustawił maszynę na odbiór i usiadł. Zapanowała cisza. Klawisze pozostawały martwe.

Kneller postawił przy admirale filiżankę kawy, lecz Doenitz pozwolił, by wystygła. Nie mieściło mu się w głowie, że Anglikom udało się dopaść pewnego siebie, lecz bardzo sprytnego dowódcę. Choć Prien był chyba jednym z najbardziej nie lubianych spośród jego podwładnych, był mimo wszystko odważnym człowiekiem i jego brak oznaczał dotkliwą stratę.

Miało nadejść jeszcze wiele takich dni, bo w marcu 1941 roku brytyjska grupa eskortująca z HMS „Walkerem” na czele operowała cały czas na morzu. Była pierwszym zespołem niszczycieli łodzi podwodnych wyposażonym w broń, która potem okazała się mieć decydujące znaczenie podczas bitwy o Atlantyk. Tą bronią był radar.

17 marca, dzień św. Patryka, miał dopiero dziesięć minut, gdy Patrick Gallagher wyszedł z pubu przez otwarte okno, bo wydawało mu się, że bójka zaczyna wymykać się spod kontroli. Po Anglikach największą nienawiścią darzył bijatyki, a początkowe oznaki gwałtownych sporów w pubach stanowiły dla niego nieomylny sygnał, że trzeba zniknąć z horyzontu. Odkąd jako młody chłopak był świadkiem starć policji ze strajkującymi robotnikami, przemoc wszelkiego rodzaju sprawiała, że robiło mu się niedobrze. Wielu z jego przyjaciół i kolegów telegrafistów, którzy stanowili załogę transatlantyckiej stacji przekaźnikowej w Valentia Bay, uważało Gallaghera za tchórza. On zaś, zamiast wyprowadzić ich z błędu, z uśmiechem przyznawał im rację.

Od strony Atlantyku wiał zimny wiatr. Gallagher postawił kołnierz, przeszedł na drugą stronę ulicy i przystanął na chwilę, zaciągając się dymem papierosa i słuchając morza, z łoskotem odbijającego się o skały. Znakomite warunki do łowienia ryb. Od dawna ostrzył sobie zęby na jednego węgorza, który kręcił się po zatoce nic sobie nie robiąc z jego zakusów. Trzeba by spróbować jeszcze raz.

Odgłos tłuczonego szkła wdarł się w jego myśli. Drzwi pubu otwarły się nagle, wypuszczając w noc snop światła i całą masę przekleństw. Pojawienie się policji było tylko kwestią czasu. Gallagher podszedł do swego motocykla, który prócz łowienia ryb był jedyną radością jego samotnego życia. Spojrzał z dumą na wspaniałego dwucylindrowca firmy Douglas na ulsterskich numerach.

Jak zwykle, zadbana maszyna zapaliła za pierwszym razem. Samochód, załadowany policjantami zatrzymał się z piskiem hamulców przed pubem, gdy właśnie wyprowadzał maszynę na ulicę. Nim chłopcy w mundurach zdążyli dokonać pierwszych aresztowań w dniu św. Patryka, był już daleko i wciąż dodawał gazu. Lodowaty wiatr zmienił jego uśmiech w grymas bólu.

Gdy znalazł się już o milę od pubu Tomleya, zwolnił. Płacono mu za to, żeby nie pchał się w kłopoty. Przy obecnym kursie marki niemieckiej do funta zarabiał bardzo dobrze. Zaczął nucić melodię, której nauczył się od swych niemieckich kolegów podczas letnich wycieczek motocyklem do Schwarzwaldu w późnych latach trzydziestych. Nie pamiętał już słów oryginału, ale tłumaczenie doskonale oddawało treść oryginału. Idziemy na wojnę z Anglią!

Gdy Patrick Gallagher wracał do domu, o jakieś pięćset mil na północny zachód na Atlantyku bardzo nieprzyjemną śmiercią umierał kapitan Joachim Schepke z U100, drugi po Kretschmerze co do tonażu zatopionych okrętów. Jego łódź została przed chwilą staranowana przez niszczyciel, który nagle wyszedł na niego z ciemności, jak gdyby Anglicy, wiedzeni szóstym zmysłem, wiedzieli, gdzie go znaleźć. Schepke patrzył na kołyszącą się na falach górę stali - dziób szarżującego niszczyciela. Był pewien, że U100 pozostała niezauważona, że okręt podążał w kierunku płonącego tankowca, który Kretschmer storpedował niecałe pół godziny wcześniej. Przez chwilę wydawało się, że niszczyciel ominie o centymetry łódź podwodną. Lecz w ostatniej chwili wykonał zwrot.

Ostrzeżenie, które miał zamiar wykrzyknąć przez rurę głosową na dół, zamarło mu na ustach. Przerażony patrzył, jak stalowoszary duch, pchany mocą trzydziestu tysięcy koni mechanicznych zbliża się nieubłaganie, otoczony gigantyczną kurtyną piany morskiej. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, nie potrafił ocalić okrętu. Metal zaskrzypiał o metal, gdy ostry dziób niszczyciela wbił się w mostek łodzi. Schepke, rzucony na celownik torped poczuł, że dziwnie ścierpły mu nogi. Przerażony chwycił za peryskop. Walcząc o to, by nie utonąć, miał wrażenie, że jest bardzo lekki. Coś powtarzało mu, że powinien trzymać się z dala od śrub niszczyciela. Tymczasem płaski kadłub niszczyciela przesuwiał się powoli obok.

Peryskop leżał teraz prawie poziomo na powierzchni morza w wirze skłębionej piany. Dopiero gdy spróbował odepchnąć się stopami od pordzewiałej burty szarżującego okrętu, Schepke zdał sobie sprawę, dlaczego jest tak lekki. Jego nogi zostały odcięte od tułowia. Od bioder w dół nie było już nic.

Tonąca U100 wciągała go w głębinę. Wystarczyło puścić peryskop, by jego ciało jak piłka wyskoczyło na powierzchnię morza. Lecz nagle wydało mu się, że nie ma sensu.

Kretschmer nie wiedział nic o losie Schepkego. Tej nocy wystrzelił wszystkie torpedy i zatopił pięć statków. Dwa od razu poszły pod wodę, zaś resztki trzech tankowców płonęły jak pochodnie w ciemności. Właśnie je najbardziej sobie cenił.

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wziąć kurs na Lorient, przekazać dowództwo pierwszemu oficerowi i posilić się kawą i kanapkami.

W tym samym czasie wyposażony w radar niszczyciel z eskorty "Walkera" odkrył obecność U99 na powierzchni i zbliżał się do nie podejrzewającej niczego łodzi z dużą prędkością.

W chwili, gdy resztki łodzi Kretschmera znikwały w odmętach Atlantyku, w Lorientie zaczął padać lekki deszcz, uderzając w zaciemnione szyby kwatery głównej dowództwa floty atlantyckiej.

Doenitz siedział na swym zwykłym miejscu i zastanawiał się. Weiner, Anders i Stein znajdowali się na galeryjce, obiegającej centrum dowodzenia. U700 zakończyła niedawno swój rejs próbny i zawinęła do portu. Doenitz chciał, by jego oficerowie dokładnie wiedzieli, co dzieje się za sceną, i by poznali, jak rozgrywa się bitwy morskie. Trzej mężczyźni milczeli, próbując usłyszeć coś z szeptanej wymiany słów między Doenitzem a kontrolerem, zmieniającym pozycje statków na planie.

Na tablicy wiszącej na ścianie pojawiła się nazwa "J.B. White". Był to ostatni statek, o którego zatopieniu zameldowano tej nocy. Skrzywienie kredy słycać było w całej sali. Asystent przejrzał katalog statków Lloyda i podał tonaż okrętu.

Radiotelegrafistka hipnotyzowała wzrokiem głowicę drukarki. Ta nie poruszała się. Na ponawiane przez ostatnią godzinę rozkazy do U99 i U100, by podały swoją pozycję, odpowiadała cisza.

Anders dotknął rękawa Steina i wyszeptał:

- Może zesli pod wodę i nie mogą użyć radia? Stein potrząsnął głową.

- Kretschmer nigdy nie schodzi pod wodę w czasie akcji. Ani Schepke. Pamiętasz, jakie rozkazy dawali załogom? Zawsze na powierzchni, chyba, że jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Anders zamilkł. Stein miał rację. Łódź podwodna nie była niczym więcej jak jednostką posiadającą zdolność zanurzenia, konieczną by zainicjować atak lub uciec przed atakiem z powietrza. Nic więcej. Większość czasu miała spędzać na powierzchniowych patrolach. Wszak wiele łodzi powracało z patroli nie mając na koncie ani jednego zanurzenia, bo zanurzona łódź była bezbronna. Wszystko wtedy zależało od umiejętności kapitana.

Nagły stukot maszyny cyfrowej przerwał myśli Andersa. Ten dźwięk zaczął ostatnio traktować jako mechaniczny odpowiednik odchrząkiwania. Radiotelegrafistka i wszyscy ludzie w pomieszczeniu spojrzeli z nadzieją na maszynę. Głowica przez chwilę zaczęła drukować i zatrzymała się. Dziewczyna oddała raport i podała asyście, która z kolei przekazała ją koordynatorowi. Ten przeczytał go i spojrzął na Doenitza, którego twarz wyrażała znak zapytania.

- Od U37, panie admirale. Melduje przerwanie ataku i utratę kontaktu z U99 i U100.

Spojrzenia Andersa i Weinerja skrzyżowały się. Wiedzieli, co w tej chwili myśli admirał. Najpierw Prien, potem Schepke i Kretschmer, wszyscy jednej nocy. Niemożliwe. A jeżeli wróg dał rady zmieść je wszystkie, jaki los czekał U700 i jej niedoświadczoną załogę?

Dwa długie podajniki sięgnęły na stół, przesuwając symbole U99 i U100 na kwadrat oznaczony "spóźnione nawiązanie łączności." Jeżeli nie zgłoszą się przez najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny, symbole zostaną usunięte i admirał Doenitz będzie zmuszony podpisać listy do krewnych

załóg, które zaczynać się będą od słów: “Z najgłębszym żalem zawiadamiam...”

Gdy Anders patrzył z góry na mapę, wydało mu się, że przygląda się grze planszowej, grze bez żadnych reguł, z chwilowym zwycięzcą i z wieloma, bardzo wieloma przegranymi.

Stein siedział z wzrokiem wbitym w symbol U99. Anders dotknął jego ramienia.

- Jest późno. Mamy jutro ćwiczenia strzeleckie.

Stein skinął głową. Spojrzał jeszcze raz na symbol z jego dwoma małymi podkownikami i dziwnym zbiegiem okoliczności powiedział to samo, co angielski marynarz na pokładzie HMS “Walker”, gdy U99, skapana w światłach niszczyciela zniknęła mu z oczu pod wodą.

- Podkowniki były odwrócone. Nic dziwnego, że opuściło go szczęście.

15.

Komandor Ian Fleming był tego dnia w doskonałym humorze. Niemały wpływ na to miała słoneczna pogoda na zewnątrz i śniadanie z Brice'em u Scotta.

- Czuję, że przynosi pan dobre wieści - powiedział Brice, gdy kelner oddalił się od ich stolika.

- Najlepsze z możliwych - powiedział radośnie Fleming. - Zatopiliśmy wczoraj dwa niemieckie U-booty. I to wcale nie były jakie: U99 i U100. Co ty na to?

- Lepiej byłoby, gdybyście je złapali żywcem. Fleming wyglądał na zaskoczonego.

- Myślałem, że ucieszy się pan z naszego sukcesu, panie Brice. Oznacza to, że nasi przeciwnicy stracili swoich trzech asów, jeżeli wliczymy w to Priena. W ich morale powinna się teraz pojawić dziura wielkości autobusu.

- Jak się to stało?

- Okręt Schepkego został staranowany, a Kretschmer zmuszony do wynurzenia. Niestety, zostało im na tyle czasu, że ktoś z załogi zdążył zdetonować ładunki zatapiające. Poszedł na dno jak cegła.

- Szkoda, komandorze - uśmiechnął się lekko Brice.

- Mów mi Ian. Kapitan "Walkera" kazał spuścić łódź, bo miał nadzieję, że uda mu się wysłać ludzi na pokład, ale było już za późno. Tak samo zrobili w 1939, kiedy U39 puściła parę torped na "Ark Royal". Wolą posłać łódź na dno, nawet zanim upewnią się, że załoga jest bezpieczna, niż pozwolić, żeby wpadła w ręce wroga. Jak pewnie wiesz, po ostatniej wojnie zatopili całą swoją flotę, zgodnie z zasadą, że wróg nie ma prawa wejść na ich okręt.

- Co bynajmniej nie ułatwi wam zadania - skomentował Brian, szukając właściwego brytyjskiego wyrażenia. Wreszcie znalazł: - Nie przelewki, prawda?

- Żyjemy nadzieją, stary - uśmiechnął się Fleming.

- Wy jesteście u siebie, a ja zostawiłem rodzinę za oceanem.

- Nie nudzisz się chyba w Londynie? - zapytał Fleming, nieco zbity z tropu.

- Prawdę mówiąc, nudzę się tu straszliwie. I proszę cię, nie cytuj mi Samuela Johnsona.

Za chwilę kelner przyniósł dwa talerze zupy. Fleming ostrożnie spróbował i kiedy kelner zniknął, powiedział:

- Przynajmniej się starają. Co byś powiedział na pewną miłą panią, która oprowadziłaby cię po mieście? Mam jej adres w notesie.

- Mówiłem ci już, że jestem szczęśliwie żonatym mężczyzną - uniósł się gniewem Brice.

- Nie martw się o Clare - uspokoił go Fleming z cieniem ironii w głosie. - Ma swoje zasady. Mnie samemu nic z nią nie wyszło, a jestem przecież do wzięcia.

Brice nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok poważnej twarzy Fleminga.

Siedem tygodni później, 9 maja 1941, Anglikom udało się zdobyć U110, pod dowództwem Fritza Lempa, który swego pierwszego dnia na wojnie pomylił liniowiec "Athenia" z okrętem wojennym i storpedował go, łamiąc w ten sposób Konwencję Genewską.

Okoliczności przechwycenia statku pozostawały okryte ścisłą tajemnicą, bo Anglicy nie mieli zamiaru dać Niemcom do zrozumienia, jak bardzo zależy im na zdobyciu łodzi podwodnej wroga. Jeden z niszczycieli dostrzegł peryskop okrętu Lempa tuż po tym, jak ten ostatni przeprowadził konwencjonalny atak dzienny na konwój. Schwyty w pułapkę między eskortowce i bombardowany celnymi ładunkami głębinowymi zmuszony został do wynurzenia.

HMS "Bulldog" miał właśnie zamiar staranować łódź, lecz dowódca grupy eskortowej stwierdził, że można by spróbować wykonać rozkaz Admiralicji o schwytaniu łodzi podwodnej przeciwnika.

Grupie marynarzy z "Bulldoga" udało się przejąć sporą część dokumentów łodzi, w tym maszynę szyfrującą Enigma, lecz łódź bardzo już przeciekała i nie zdążyli zdemontować torpedy magnetycznej. Próbowano doholować łódź do Islandii, lecz "Bulldog" zmuszony został do porzucenia swego planu, gdy łódź zaczęła tonąć. Tego popołudnia, U110 przewróciła się dnem do góry i zatonała.

Fleming przeczytał raport kapitana Baker-Cresswella 25 maja i zdecydował, że lepiej o tym nie mówić Brice'owi.

Szkoda, że Lemp poszedł na dno. Można się było dowiedzieć, dlaczego wziął "Athenię" za okręt wojenny.

Postawił na raporcie swoją parafkę i rzucił go na półkę. Przynajmniej było o jedną niemiecką łódź podwodną mniej.

23 sierpnia 1941, po osiemnastu tygodniach intensywnych ćwiczeń U700 wyszła w swój pierwszy rejs bojowy.

Donośny głos Weinerja dał rozkaz do rzucenia cum dokładnie o dwunastej w południe. Patrzył z mostku na dwa rzędy przystojnych, wystrojonych mężczyzn, stojących na baczność na pokładzie.

Mężczyźni? Byli przecież niewiele więcej niż chłopcami. Każdy z nich rósł pod troskliwą opieką rodziców przez dziewiętnaście lat, bo tyle wynosiła średnia ich wieku. Mieli całe życie przed sobą, lecz teraz czekała ich wyprawa metalową trumną, jak nazwał kiedyś okręt podwodny pewien austriacki kapral, którego marynarze obchodzili tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Weiner przyglądał się Andersowi spod półprzymkniętych powiek. Chuda, niezgrabna sylwetka oficera schylona była nad rurą głosową, którą podawał rozkazy do maszynowni. Przynajmniej nie szukał już u niego potwierdzenia każdej decyzji o zmianie kursu. Trzy udane patrole na U700 i dostanie własną łódź pod komendę.

Ładna dziewczyna oderwała się od grupy żegnającej łódź i szła nabrzeżem, krok w krok za łodzią, machając do załogi, a szczególnie do jednego z jej członków. Weiner poznał ją. Była stenotypistką z kwatery głównej, która w zeszłym tygodniu wyszła za mąż za Brucha. Ten stał obok działa przeciwlotniczego i patrzył prosto przed siebie, z nogami rozstawionymi o przepisowe pół metra i rękami założonymi za siebie.

Pomachaj jej, idioto! pomyślał Weiner. Lecz długie tygodnie służby zrobiły swoje - Bruch nie dał ani jednego znaku, że zauważył żonę. Dziewczyna zatrzymała się i wytarła oczy chusteczką, nie spuszczając ich z odpływającej łodzi.

Obraz samotnej dziewczyny utwierdził Weinerja w postanowieniu, że po każdym patrolu sprowadzi z powrotem załogę całą i zdrową. Będzie zatapiał statki wroga, jakie nawiną mu się pod rękę, ale najpierw upewni się, że szansę powodzenia wynoszą przynajmniej sto dziesięć procent. W sumie najprawdopodobniej zatopi więcej okrętów, a do tego przeżyje. Decyzja ta pomogła mu opanować przygnębienie, które nie opuszczało go od chwili wypadku podczas jednego z pierwszych rejsów próbnych U700.

Odetchnął głęboko, ciesząc się pięknym letnim dniem. Piskliwe głosy żon bretońskich rybaków, czyszczących poranny połów, niosły się daleko przez zatokę Scorff. Anders pozwalał prądowi znosić dziób łodzi w stronę morza. Weiner wiedział, że Anders bardzo lubi prowadzić łódź i zdecydował się dać mu wolną rękę.

- Anders.

- Tak jest.

- Niech pan przejmie dowodzenie. Proszę dać rozkaz do zejścia załodze i powiadomić mnie, jak miniemy wyspę de Groix.

Anders zasalutował i kazał marynarzom zejść pod pokład.

- Jeszcze jedno - powiedział Weiner, pokazując krótkim palcem na dziób łodzi. - W czasie ładowania torped urwali nam linkę dziobową. Przy najbliższej okazji powinna zostać naprawiona.

- Zauważyłem, panie kapitanie. Jeden z chłopaków ma smykałkę do drutów. Kazałem mu naprawić w czasie wachty.

Weiner mruknął z zadowoleniem i zszedł na dół po drabince, zostawiając Andersa samego na mostku.

Porucznik otworzył wodoszczelną skrzynkę, z której wyjął przenośną lampę sygnalizacyjną i wymienił sygnały z trałowcem, który eskortował U700 i pilnował, by bezpiecznie wyszła z zatoki. Potem schował lampę do skrzynki i otworzył rurę głosową.

- Mostek do stanowiska dowodzenia.

- Zgłaszam się - odpowiedział Brinkler.

- Obserwatorzy natychmiast na mostek.

Nim zatkał rurę głosową, Anders polecił jeszcze przełączyć napęd na silniki diesla. Nie minęła minuta, jak czterech obserwatorów zajęło pozycje na mostku, zaś Anders przykucnął za osłoną kiosku i patrzył na wodę, która pianą omywała pękate zbiorniki na rufie. Czuł, że jest w stanie poradzić sobie ze wszystkim, z każdą przeciwnością.

Dwadzieścia minut później U700 znalazła się na pełnym morzu, kołysana długą, spokojną falą Atlantyku.

W chwili, gdy Anders dał znać na dół o nadlatującym samolocie, Brinkler zalewał wodą zbiorniki balastowe i wrzeszczał na pomocnika, żeby czym prędzej kierował łódź w ślizg do zejścia pod wodę. Najszybszy w krótkiej historii U700.

Jeden z obserwatorów, który wiedział już coś o sposobach awaryjnego zanurzenia Brinklera, z przestachu upuścił lornetkę Andersa, która zaczepiła o właz.

- Zostaw, nie ma czasu! - krzyknął Anders. Wyrwał pasek i wrzucił lornetkę do środka. Przedni pokład był już pod wodą, a główne działo zostawiało za sobą spieniony ślad. Jeszcze dziesięć sekund a tony wody morskiej zaczną się wlewać przez otwarty właz łodzi.

- Ruszaj się! - krzyknął Anders na ostatniego z marynarzy, który po omacku szukał metalowych stopni.

Samolot był oddalony o niecałe dwa kilometry, lecz niebezpieczeństwo, które z sobą niósł, było teraz niczym w porównaniu z zejściem pod wodę z otwartym włazem wejściowym. Przeklinając pod nosem, Anders dał marynarzowi potężnego kuksańca w plecy. Potem błyskawicznie wdrapał się za nim i w ostatniej chwili udało mu się zatrzasnąć właz przed naporem fali, lecz za późno, by nie zostać oblanym kilkoma litrami lodowatej wody.

Weiner próbował powstrzymać uśmiech na widok zmoczonego Andersa, zwalającego się do wnętrza łodzi obok stanowiska dowodzenia.

- Co się stało? - zapytał grzecznie.

Błada twarz Andersa była jeszcze bledsza niż zwykle.

- Posłuchaj! - warknął do Brinklera, który stabilizował łódź na głębokości sześćdziesięciu metrów.

W przyszłości będziesz czekał na potwierdzenie z mostka, że włazy są zamknięte i zabezpieczone, zrozumiano?

Brinkler i Weiner byli zaskoczeni wybuchem Andersa.

Robisz postępy, pomyślał Weiner. Czasami trzeba sytuacji krytycznej, żeby pokazać, ile rzeczywiście wart jest człowiek.

- Jaki mamy czas zejścia? - zapytał Weiner.

- Dwadzieścia dziewięć sekund - odpowiedział Brinkler, spoglądając wytrwale na zegary. Weiner pokiwał głową.

- Nieźle, panie Anders.

- Tak jest, panie kapitanie. Ale Brinkler... Brinkler odwrócił się i na jego twarzy odmalowała się uraza.

- Kiedy usłyszałem krzyk pana porucznika, pomyślałem sobie, że siedzi nam na karku cały szwadron spitfire'ów. Nie chciałem tracić czasu i wydawało mi się, że obserwatorzy na mostku zachowają się podobnie.

- Zanotuję to w dzienniku pokładowym - powiedział Anders, nadal blady z gniewu.

- Proszę też zanotować położenie samolotu - poddał Weiner, uśmiechając się do stojących naprzeciw siebie mężczyźni. - I że zesłiście w dwadzieścia dziewięć sekund.

Zły na to, że Weiner nie chce upomnieć Brinklera, Anders wziął sobie na cel dowódcę.

- Panie kapitanie, na mostku było czterech obserwatorów i ja. Nie jesteśmy duchami, żeby zmienić się w dym i zniknąć w środku^ kiedy główny mechanik zechce zanurzyć łódź jak windę.

- Porozmawiamy o tym u mnie - powiedział Weiner kierując się w stronę rufy. Anders i Brinkler poszli w ślad za nim przez wodoszczelne drzwi.

- A teraz, panowie - powiedział Weiner, siadając na koi. - Jeżeli o mnie chodzi, obaj nie macie racji kłócąc się w obecności załogi.

- Ja się z nim nie kłóciłem - zaprotestował Anders. To on zaniedbał...

Weiner podniósł dłoń, uciszając go.

- Czego zaniedbał, panie Anders? Zanurzył łódź w dwadzieścia dziewięć sekund, minimum tego, co jest technicznie możliwe. Więc jeżeli ktokolwiek zawinił, to pan, nie zamykając włazu na czas.

Anders otworzył usta, lecz Weiner mówił już do Brinklera.

- W przyszłości proszę czekać na potwierdzenie, że właz jest zamknięty i zabezpieczony, zanim zacznie pan schodzić.

Potem odwrócił się do swego pierwszego oficera i powiedział:

- A pan, panie Anders, nauczy swoich podkomendnych szybciej się ruszać. Teraz, kiedy wszystko jest załatwione, mam nadzieję, że przyjdziecie do mnie na kieliszek brandy po skończonej wachcie.

19.

- Co ty tu robisz, Helmann? - zapytał ze złością Anders.

Ładowniczy torped, nerwowy dziewiętnastolatek, zawahał się przed wejściem przez wodoszczelne drzwi stanowiska dowodzenia. Jego oczy były okrągłe ze zmartwienia.

- Słucham - powtórzył Anders. Helmann wymamrotał przeprosiny i wycofał się w bezpieczne schronienie w przedziale torpedowym na dziobie. Przystanął w przejściu obok koi drugiego oficera. Podporucznik Richard Stein wynalazł skądś koc jako zasłonę, przez którą widać teraz było światło lampki nocnej. Helmann nie mógł się zdecydować. Dla niego wszyscy oficerowie, a w szczególności młodszy stopniem, byli tyranami. Nagle zasłona odsunęła się na bok.

- O co chodzi?

Światło lampki odbijało się od szramy na twarzy Steina pod przerażającym kątem. Chłopak miał zamiar odwrócić się i uciec, lecz Stein złapał go za rękę.

- Co się stało?

- Nic, panie Stein - wyjąkał Helmann i próbował się wycofać.

- Więc dlaczego tak stoisz? Nie masz nic do roboty? Chłopak przygryzł wargę.

- Chodzi o Brucha, panie Stein. Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Stein przypomniał sobie, że Helmann był drużbą Brucha na jego ślubie parę tygodni wcześniej, nim U700 wyszła na patrol.

- Sprawdziłeś na rufie? Jeżeli nie jest na wachcie, może poszedł do maszynowni, żeby pograć w szachy z tymi maniakami.

- Nie lubię przechodzić przez mostek - powiedział cicho Helmann.

Stein odłożył książkę i zeskoczył z koi.

- Sprawdziłeś wyrzutnię numer sześć?

- Nie, panie Stein.

- Poczekaj tu - powiedział Stein i poszedł w kierunku stanowiska dowodzenia.

Anders nie zwrócił uwagi na mijającego go Steina.

Po kilku minutach ten wrócił tą samą drogą z zaszępioną twarzą.

- Czy kapitan śpi?

Zaskoczony Anders podniósł głowę znad dziennika pokładowego.

- Chyba nie. Dlaczego pytasz? Stein wszedł przez wodoszczelne drzwi i stanął obok koi Weinera.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie kapitanie, ale brakuje nam jednego człowieka. - powiedział głośno. - Starszy marynarz Bruch.

Olbrzymia dłoń Weinera odsłoniła kotarę.

- Co?

Na zwykle spokojnej twarzy kapitana odmalowało się niedowierzanie i smutek. Zeskoczył z koi i dał nura do sterowni, gdzie blady Anders kurczowo trzymał w dłoni dziennik pokładowy. Weiner chwycił mikrofon, przez który zwrócił się do załogi.

- Starszy marynarz Bruch zgłosił się natychmiast u kapitana. Starszy marynarz Bruch - do kapitana!

Weiner opuścił mikrofon i gestem poprosił Andersa o dziennik. W tym samym momencie pojawił się w środku Helmann, któremu, jak się wydaje, minął strach związany z pomieszczeniem, gdzie przebywało dowództwo okrętu, bo jękając się zaczął mówić:

- Miał naprawić przewód antenowy. Powiedział mi, że rozlał się na pierwszym krążku. Żadna sprawa... Mówił, że woli popracować na wolnym powietrzu... Tak powiedział... Był w tym dobry - głos Helmanna załamał się.

W pomieszczeniu kontrolnym zaległa cisza. Weiner z nieprzytomną twarzą przeglądał notatki Andersa, a jego oczyomal nie wypełniły się łzami, gdy przypomniał sobie o dziewczynie żegnającej Brucha na nabrzeżu.

Anders przerwał milczenie:

- Pracował na pokładzie, tuż za osłoną. Weiner potrząsnął głową, jakby chcąc, by koszmar jak najszybciej się skończył.

- Tuż przed zejściem pod wodę?

Anders w milczeniu pokiwał głową.

Brinkler odsunął się od zegarów i mierników.

- Przepraszam, panie kapitanie. To moja wina. Gdybym nie zanurzył się tak szybko...

- To nie twoja wina - warknął Stein, poprawiając fryzurę. - Twoim zadaniem jest zanurzyć łódź tak szybko, jak to możliwe po usłyszeniu alarmu. Ostatni człowiek na mostku powinien sprawdzić, czy wszyscy są na dole - zimne oczy Steina wydawały się przeszywać Andersa na wylot.

- Nie pytałem pana o zdanie - warknął Weiner.

- Cytowałem tylko rozkaz - odwrócił się Stein. Oczy Weinerja zabłyśły złowrogo, lecz Anders odezwał się pierwszy:

- Może zawrócimy, panie kapitanie. Może jeszcze jest na powierzchni...

- Po sześciu godzinach? - zapytał ironicznie Stein. A miał na sobie kamizelkę ratunkową?

Weiner spojrział Steinowi prosto w twarz.

- Nie jest pan przecież na wachcie. Czy prasowanie munduru nie zabiera panu każdej wolnej chwili?

Stein pobladł. Zasalutował sztywno kapitanowi i wyszedł bez słowa z pomieszczenia. Weiner spojrział na Andersa. Oficer siedział na taborecie i patrzył w podłogę, przypominając Weinerowi marionetkę, której przecięto poruszające ją linki.

- Miał na sobie Draegera? - zapytał Weiner. Anders zaprzeczył.

- Zna pan moje rozkazy dotyczące marynarzy, pracujących na zewnątrz! - warknął Weiner. - Kamizelki ratunkowe muszą mieć na sobie bez przerwy!

Odpowiedziało mu milczenie.

- No cóż - powiedział wreszcie Weiner. - Dowództwo flotyli zadecyduje, czy mamy kontynuować rejs.

Prośba Weinerja o zezwolenie na przeszukanie okolicy, gdzie zaginął Bruch, spotkała się z odmową. U700 miała kontynuować rejs w stronę Islandii na ustaloną wcześniej pozycję patrolową na południe od wyspy. Jak tylko będzie to możliwe, obiecano wysłać trawler na poszukiwanie Brucha.

Tej nocy U700 wypłynęła na powierzchnię.

Anders, Stein i marynarze nie będący na wachcie, stali z odkrytymi głowami, a Weiner powoli odmawiał modlitwę. Kwiaty, rozsypane na obojętnej, czarnej powierzchni morza, zrobione były z serwetek, zabarwionych różnokolorowym atramentem.

Dla porucznika Andersa ta noc miała być pierwszą z wielu, które pisane mu było spędzić bez zmrużenia oka.

Po pięciu dniach od opuszczenia Lorientu, U700 zbliżała się do swej pozycji patrolowej koło wyspy. Przez ostatnie trzy dni pogoda była okropna. Stale wydłużające się godziny dnia wydawały się pasmem piekła i nieustannego cierpienia dla każdego z członków załogi.

Anders wczołgał się na swą koję po czterech wyczerpujących godzinach wachty, które spędził przypięty łańcuchami do mostku. Od czasu do czasu przychodziła mu do głowy myśl, żeby odpiąć klamry i pozwolić wzburzonemu morzu zrobić z sobą, co zechce.

Jego koja mokra była od skondensowanej pary wodnej, która spływała z przegrody i wsiąkała w materac, chłonący każdą kroplę wilgoci jak gąbka. Całe jego ubranie przesiąknięte było wstrętną wonią moczu, potu, wymiotów i wszechobecnej stęchlizny. Próbował zasnąć, lecz za każdym razem gdy zamykał oczy, jego wyobraźnia malowała przed nim żywy obraz Brucha, który z przerażeniem trzymał się kurczowo linki antenowej, gdy kotłująca się, czarna kipiela podnosiła się coraz wyżej wokół jego piersi.

Nagle gwałtowny przechył sprawił, że żołądek podszedł Andersowi do gardła. Wystarczy się przechylić i zwymiotować, pomyślał. Nawet nie muszę wstawać. Ale odwrócił się w drugą stronę, starając się utrzymać głowę na tym samym, ciepłym, wyleżanym, choć wilgotnym, miejscu na poduszce.

Nie powinien się skarżyć. Przynajmniej ma swoją koję, nie tak jak ci biedacy z dziobu i z rufy, którzy mieli tylko jedną na dwóch, tak, że mężczyzna schodzący z wachty musiał wczołgać się pod pokryty wymiotami koc idącego na wachtę. Próbował ciasniej przypiąć się pasami do koi, lecz palce odmawiały mu posłuszeństwa. Zdał sobie sprawę, że wbrew własnej woli zapada w sen.

A we śnie czekał już na niego Bruch, który czołgał się wzdłuż relingu pośród pieniającej się wody i sięgał w stronę jego gardła długimi, szponiastymi palcami.

Gdy wyczerpanie i choroba morska wciągały Andersa w koszmarne sen, o sto pięćdziesiąt mil na północ w bazie RAF-u w Kaldadarnes na Islandii, dowódca 269 szwadronu Gwardii Przybrzeżnej James Thompson rozgrzewał oba silniki swego hudsona i w strugach deszczu manewrował na koniec opuszczonej, wygładzonej powierzchni skał, którą żartobliwie nazywano lotniskiem.

Podwieszoną pod kadłubem miał wiązkę bomb głębinowych nowego typu, które zastąpiły stare dwustupięćdziesięciokilowe bomby przeciw łodziom podwodnym tą dziwną i jedyną w swoim rodzaju broń, która zatapiała okręt podwodny tylko wtedy, gdy udało się ją wrzucić do środka przez otwarty właz. Pozostałym uzbrojeniem samolotu były dwa karabiny maszynowe Browninga: jeden na dziobie, a drugi w wieżyczce. Hudson był stosunkowo nieźle uzbrojonym bombowcem, o ile cel jego ataku nie ostrzeliwał się zbyt energicznie.

Pięć minut później maszyna unosiła się już w powietrzu i kierowała na południe pod niską podstawą chmur. Trzyosobowa załoga przygotowana była na kolejny długi i nieskończenie nudny patrol na równie nudnej wojnie.

Gdy Thompson wyrównywał lot na wysokości stu metrów nad powierzchnią Północnego Atlantyku, w Londynie Alan Brice niecierpliwił się coraz bardziej. Spędził już w Anglii ponad pół roku, z czego większość w schronie hotelowym, podczas gdy bombowce Goeringowskiej Luftwaffe próbowały zawładnąć niebem nad znękanym wojną krajem. Bardzo tęsknił za żoną i córką, jego badania w Newport nie posuwały się ani o krok do przodu, a szansę, że Anglicy dostaną w swoje ręce niemiecką łódź podwodną, były bardzo marne. Czuł, że w swym laboratorium na Rhode Island byłby w stanie zająć dalej w pracach nad torpedą magnetyczną. Nic więc dziwnego, że poważnie zaczął myśleć o powrocie do Ameryki.

Miał właśnie zamiar wyjść z pokoju, by nadać depezę do swojego szefa, admirała Swaffera, gdy rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Była to kolejna, z jak mu się zdawało niewyczerpanych, zasobów Fleminga atrakcyjnych lecz bardzo chłodnych dziewczyn, które sprzysięgły się, by pokazać mu Londyn obstawiony workami z piaskiem. Ta, na przykład, dostała zadanie zaprowadzenia go do Hampton Court.

- Wszystkie obrazy przeniesiono w bezpieczne miejsce - wyjaśniła na wstępie. - Ale i tak warto odwiedzić pałac. Otwierają specjalnie dla pana.

Brice westchnął z rezygnacją. Anglikom musiało bardzo zależeć, by zatrzymać go u siebie.

Koszmar bycia przytomnym dał się porównać tylko z koszmarem zapadania w sen.

Anders otworzył oczy i próbował skupić wzrok na lampce. Jediną rzeczą, której był świadom, był nacisk pasów bezpieczeństwa na jego ciało w czasie gwałtowniejszych przechyłów łodzi. Z kuchni doszedł go brzęk tłuczonego szkła i zdziwił się, że zostało jeszcze coś na pokładzie, co mogło się rozbić.

Zamknął oczy i na chwilę spróbował oderwać świadomość swego ciała od kołyszących ruchów łodzi. Jak przez mgłę spojrział na zegarek. Za piętnaście minut miał zluzować Steina na wachcie. Odpiął pasy i zmusił bolące kończyny do ruchu. Wysilek podniesienia się na równe nogi zmęczył go, a ruch ciała w ubraniu przypominał mu, jak jest przemoczony i jak mu zimno. Nieopisany zaduch we wnętrzu łodzi uderzył go jak cios w sam splot słoneczny. Otworzył szafkę i próbował wymacać coś suchego do ubrania, lecz wszystko było przesiąknięte wilgocią. Wyciągnął sweter z niezbyt konkretnym pomysłem rozwieszenia go na rurze wydechowej silnika, by wysechł. Rękaw rozszedł mu się w dłoniach. Porósł tym samym grzybem, o którym kucharz mówił, że pojawia się na każdym bochenku chleba, gdy tylko wyjmie się go z puszki.

Stanął w przejściu na niepewnych nogach i omal się nie pośliznął na wymiotach któregoś z marynarzy. Trzymając się przewodów i rur pomodlił się w duchu, by jak najszybciej znaleźć się gdzieś indziej, byle nie na pokładzie łodzi podwodnej.

Jak można było oczekiwać, nawet pod koniec wachty Stein wyglądał bez zarzutu. Jego sweter nie miał ani śladu pomięcia, a włosy ułożone były starannie. Uśmiechnął się na widok upiornej sylwetki Andersa, który niechętnie wszedł na stanowisko dowodzenia.

- Dzień dobry! - powitały go wesołe słowa. - Jesteś dziś wcześniej.

U700 nagle podrzuciła niespokojna fala. Anders chwycił się dłonią jakiejś rury, a Stein flegmatycznie zaczepił dłoń o skórzany uchwyt. Spoglądał na Andersa z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

- Wszystko w porządku. Nie ma żadnych wieści o Bruchu.

Ilekróć Anders przychodził na wachtę, Stein nigdy nie omieszkał o tym wspomnieć.

Następna fala sprawiła, że wyszedł na chwilę z pomieszczenia, by uniknąć wstydu wymiotowania na podłogę stanowiska dowodzenia.

Pół godziny po zejściu Steina z wachty, na mostku pojawił się nie ogolony Weiner z podkrążonymi oczyma. Jego postać przywróciła Andersowi trochę pewności siebie, bo kapitan wyglądał, jakby jego udziałem stał się los najgorszy z nich wszystkich.

- Dopóki się nie wypogodzi, będziemy musieli płynąć w zanurzeniu. - oznajmił ponuro.

- Spóźnimy się na nasze pozycje - przypomniał mu delikatnie Anders.

- Właśnie byłem w dziobowym przedziale torpedowym. Wystarczy trzydzieści minut na wachcie i chłopaki tak się słaniają, że sami nie wiedzą, co robią. Wolę się spóźnić z łodzią pełną zdrowych ludzi, niż przybyć na czas z całą masą chorych.

Na pięćdziesięciu metrach zrobiło się całkiem przyjemnie. Łódź ^wydawała się wisieć bez ruchu, gdy Brinkler trzymał stałą prędkość dwóch węzłów, co ułatwiało nasłuch mikrofonom bez nadmiernej eksploatacji baterii silników elektrycznych.

Przed dwoma godzinami U700 zanurzyła się umykając przed sztormem. Wnętrze zostało wysprzątane i zdezynfekowane, a z kuchni dochodził zapach świeżo parzonej kawy. Anders znów poczuł się jak człowiek, a co najważniejsze, było mu ciepło. Weiner pożyczył mu swój suchy sweter, który przechowywał w szczelnie zamykanej skrzynce po biszkoptach, co Anders miał zamiar wykorzystać na swym następnym patrolu.

Weiner siedział na taborecie przy stole z mapami.

- Lepiej się pan czuje? - zapytał przyjaźnie.

- Zaczynam mieć nadzieję, że przeżyję, panie kapitanie.

Weiner roześmiał się i spojrzał na głębokościomierz.

- Zejdziemy znowu, jeżeli pogoda się nie poprawi. Obiecuję.

Podśmiewając się z cicha usadowił się w kiosku, zaś Anders wydał rozkaz wynurzenia łodzi na głębokość peryskopową. Weiner przyłożył oczy do okularów peryskopu. Nic nie było widać oprócz czerni, która zmieniała się w jasną zieleń, w miarę, jak łódź zbliżała się ku powierzchni. Potem szampańska piana pękających baniek powietrza, a na koniec nagły skok nad fale, gdy peryskop znalazł się nad wodą. Wiedział, że nigdy nie znudzi mu się oglądanie tego widoku.

Gdy tylko wynurzył się peryskop, kapitan szybko rozejrzał się dookoła, szukając w pobliżu statków, które mogłyby zauważyć sterczącą nad powierzchnią morza rurę peryskopu. Jeżeli sprawdzian wypadł pomyślnie, patrzył dalej, na horyzont, czy nie ma tam nikogo, kto mógłby dostrzec łódź, która opróżnia zbiorniki balastowe z wody i wynurza się. Podczas tej procedury oficer na hydrofonach nasłuchiwał odgłosów śruby okrętowej, zaś Anders na drugim peryskopie wycelowanym w niebo szukał samolotów. Dopiero gdy wszyscy trzej upewnili się, że wszystko w porządku, Weiner dawał rozkaz wynurzenia. Tak było w teorii.

Thompson zdusił kolejne ziewnięcie. Sto metrów pod nimi znajdowała się nie kończąca się monotonia szarego, smaganego wiatrami Północnego Atlantyku ciągła plama posępnej, nudnej nicości. Nie widzieli nawet ani jednego ptaka. Tylko woda, woda i woda. Jego nawigator, który siedział zmarznięty z tyłu, wyrysował na mapie linię, obliczając odległość, jaką pokonał ich samolot od ostatniego namiaru. Strzelec pokładowy siedział niepocieszony w swej wieżycy, przytulając do ciała termos z zimną herbatą. Nie myślał o niczym szczególnym. Radiotelegrafista siedział poniżej i próbował znaleźć jakąś muzykę w radio. Żaden z mężczyzn nie powiedział wiele od chwili startu z Islandii. Służąc w Straży Przybrzeżnej RAF-u, kopciuszka wojny, od dawna pogodzili się z tym, że

prowadzą zapomnianą wojnę.

- Dwadzieścia metrów! - zawołał Brinkler.

Okrętem zakołysało trochę, co było jedynym prócz wskazań głębokościomierza dowodem na wynurzenie się łodzi. Anders chwycił mocniej za peryskop, gdy poczuł, że stanął za nim Stein.

- Myślałem, że masz wolne - zaczął.

- Słyszałem, że się wynurzamy. Chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Odpowiedź jak odpowiedź, jednak ton Steina sprawił, że zabrzmiała jak wyzwisko. Anders miał zamiar odpowiedzieć, lecz Stein wspinał się już po stopniach do kiosku, gdzie siedział Weiner.

- Piętnaście metrów - podał Brinkler. Łódź wynurzała się bardzo powoli. Odpowiadał za to, by kadłub nie pojawił się na powierzchni, zanim operator steru głębokościowego nie wyrówna położenia okrętu na głębokości peryskopowej.

Anders zauważył pierwsze oznaki zielenienia się wody, potem lekka poświata dnia wdarła się przez okulary.

- Dziesięć metrów.

Radiooperator włożył słuchawki i położył przed sobą notatki. Miał wiele wiadomości do przekazania do Lorientu, jak tylko antena wynurzy się z wody.

- Cisza jak makiem zasiał - zameldował na mostek. Podobnie jak Anders, Weiner zauważył zielonkawą poświatę dnia i przygotował się do obrotu peryskopem, skoro tylko wychynie na powierzchnię.

- Pięć metrów! - powiedział Brinkler.

Oba peryskopy w tej samej chwili wynurzyły się na powierzchnię. Pierwsze spojrzenie Weinerja nic nie odkryło. Anders szybko przejrzał horyzont nieba i nie zauważył nic, poza niskim pułapem chmur. Miał zamiar zacząć dokładniej obserwować niebo, gdy radiotelegrafista wykrzyknął nagle w podnieceniu:

- Bruch jest cały i zdrowy! Wyłowił go angielski patrolowiec. Jest w niewoli, ale poza tym wszystko w porządku.

Anders odwrócił się i z niedowierzaniem spojrzał na radiotelegrafistę.

- Do jasnej cholery! - krzyknął Thompson i ściągając stery hudsona poderwał go w górę, poza zasłonę chmur. Nawigator pojawił się przy nim.

- Co jest, szefie?

- Coś tam na dole - lakonicznie odparł Thompson. Coś, co nie powinno tam być. Do tego dosyć daleko.

Anders wrócił do peryskopu i dokończył obserwacji nieba. Przeklinał kołysanie łodzi, bo bardzo trudno w takich warunkach było coś dojrzeć.

- Niebo czyste, panie kapitanie - zameldował Weinerowi.

- Morze czyste. Wynurzenie! - zawołał kapitan do Brinklera.

Rozległ się syk sprężonego powietrza włączanego do zbiorników balastowych łodzi, które wypierając stamtąd wodę czyniło ją lżejszą. Stein sięgnął do zamka klapy, szykując się do jej otwarcia, skoro tylko ustanie ryk wody omywającej mostek.

- Popatrz tylko! - powiedział urywanym głosem przejęty nawigator.

Thompson wychynął zza chmur. O dwie mile od nich, niemożliwe stawało się faktem: pośród kłębow piany wynurzała się niemiecka łódź podwodna, jakby cały ocean należał do niej. Dokładnie na kursie hudsona.

- Mamy ją! - krzyknął drugi pilot w uniesieniu. Jest nasza! Boże, mamy ich!

Dłoń Thompsona znajdowała się już na przełączniku zwalniającym bomby.

- Boże, żeby mnie tylko nie zauważyli. Łódź znajdowała się o niecałe dwieście metrów od nich. Na mostku pojawiły się dwie sylwetki.

Ufając, że Anders da sygnał do zejścia, jeżeli coś złego zacznie się dziać, Weiner ze Steinem wyszli na zewnątrz. Dokładnie w tym samym momencie usłyszeli warkot silników bombowca. Obaj odwrócili się i patrzyli z przerażeniem, jak z wysokości około stu metrów pikuje prosto na nich. Był tak blisko, że Weiner zauważył nawet sylwetkę w wieżyczce za sprzężonymi karabinami maszynowymi.

- Padnij! - krzyknął Weiner i kopnął Steina, który zatoczył się pod celownik torped.

Cztery cygara odłączyły się od podwozia bombowca. Przez moment Weiner miał nadzieję, że pilot zaatakował zbyt wcześnie, lecz wkrótce zorientował się, że gnane pędem maszyny spadną po niewidzialnym, zakrzywionym torze, który skończy się gdzieś w pobliżu U700.

Setki godzin praktyki Thompsona spędzone na lataniu na niskim pułapie i stawianiu zasłon dymnych opłaciły się: niemiecki okręt podwodny nie miał szans. Z jego lewej i prawej burty spadło po jednej bombie, do tego jedna odbiła się od dziobu, a druga wybuchła za rufą.

Thompson słyszał, jak załoga bije mu brawo i wiwatuje. Gwałtownie położył maszynę w skręt, by zobaczyć wynik swego ataku. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Cztery półtonowe ładunki z basowym pomrukiem wzbiły cztery kolumny wody obok łodzi, podnosząc ją w górę jak niewidzialne dłonie. Potem, jak w zwolnionym tempie, łódź opadła w powstałą na krótko

próżnię i wydawało się, że przewraca się na bok. Przerażający wybuch o mało nie rozerwał Weinerowi bębenków w uszach, wypychając mu powietrze z płuc i pozostawiając tylko nagi instynkt przetrwania, który pozwolił mu wstać i z całej siły trzymać się peryskopu.

Jak przez mgłę czuł, że kołyszący się mostek otacza zasłona wody, która sięga w niebo. Nogi miał jak z waty, lecz przycisnął się jeszcze bliżej peryskopu z siłą, która o mało nie połamała mu żeber. Słyszał krzyki mężczyzn. Woda zaczęła się lać strumieniami przez klapę wejściową. Poczul, jak ktoś próbuje go oderwać z bezpiecznego miejsca, lecz była to tylko siła bezwładności. Łódź, która była w przechyle, teraz gwałtownie się prostowała. Zobaczył, jak Stein desperacko szuka czegoś, by się przytrzymać. Jeszcze sekunda i szalejąca fala zmiecie go do morza. Weiner wyciągnął dłoń i chwytając go za rękę nadludzkim wysiłkiem przyciągnął obok siebie do peryskopu, za który mógł się złapać.

Hudson nadleciał nad łódź po raz drugi. Mgła wodna zaczęła się rozwiewać. Thompson z zaskoczeniem ujrzał, że choć łódź trafiona została prawie bezpośrednio czterema bombami, w niewytłumaczalny sposób utrzymywała się na powierzchni.

- Starannie zbudowana - skomentował nawigator, jakby czytając w myślach kapitana.

- Pokażę im, jak udany jest nasz karabin, jak się któryś zbliży do działa. - odparł Thompson z zaciśniętymi ustami, ściągając samolot w ciasnym skręcie.

- Co teraz, kapitanie? Myślałem, że nowe bomby są lepsze.

- Strzelaj, jak będzie próbował zejść pod wodę. odparł Thompson.

- Z 303?

Thompson nie odpowiedział. Wyprowadził maszynę, wyrównał lot i wycelował prosto w łódź.

Jeżeli go nie zatopię, pomyślał, przynajmniej go wystraszę na śmierć.

- Nie! - krzyknął Weiner, gdy zauważył marynarzy, wychodzących przez właz na pokład. - Zabijają was! Wracajcie!

Marynarze zawahali się, patrząc na nurkujący samolot. Weiner miał zamiar dać rozkaz do zejścia pod wodę, lecz w tej chwili zdał sobie sprawę, że jest tylko jedna rzecz, którą może zrobić, by uratować życie swej załozde.

- Nie wierzę! Niech mnie ktoś uszczypnie. - krzyknął Thompson.

Łódź podwodna wystawiła białą flagę.

- Wygląda na koszulę - zauważył nawigator. Z mostka łodzi błysnęło światło sygnałowe.

- Typowi marynarze - poskarżył się Thompson. Jak mamy odczytać przy takim tempie nadawania? Jeszcze do tego po niemiecku.

- Spokojnie. - odezwał się nawigator. - To chyba po angielsku. Tak! Na pewno! P... O... D... D... A... J... E... M... Y... Stop. S... I... E... Stop. Poddają się!

- Każ im powtórzyć. - rozkazał. Światło znów zaślniło od strony łodzi.

- Poddajemy się - powtórzył nawigator.

Thompson jęknął. Nikt nigdy nie słyszał o poddaniu łodzi przez Niemców. A jeszcze samolotowi?

- I co ja mam teraz zrobić? - poskarżył się.

Stein patrzył jak zaczarowany na koszulę i na Weinerja. Próbował przemówić coś przez rurę głosową, lecz kapitan zatkał ją.

- Musimy zejść pod wodę - powiedział chrapliwie Stein.

- Za późno.

Stein potrząsnął głową z niedowierzaniem. Spojrzał w górę na bombowiec, który krążył nad swą ofiarą. Nagle, nim Weiner zdążył się poruszyć, Stein skoczył na tylny pokład i wymierzył lufy działa przeciwlotniczego w stronę hudsona.

Weiner rzucił się ku niemu.

- Nie, Stein! Zabiją cię! Zabiją nas wszystkich!

- Niech zabiją! - warknął Stein z nienawiścią i pogardą.

Weiner próbował odepchnąć go od działa, lecz potężne kopnięcie w brzuch odrzuciło go daleko.

Prawie w tej samej chwili hudson zanurkował. Przed karabinem na jego dziobie tańczyły języki ognia, którym odpowiedział na powierzchni wody szereg fontann. Weiner rzucił się na pokład. Ryk silników samolotu całkowicie zagłuszył krzyk bólu Steina, który opadł na barierkę trzymając się za lewe ramię.

Weiner wstał i rozłożył rękawy koszuli na peryskopie, by można ją było lepiej dostrzec.

24.

27 sierpnia 1941 roku w Berlinie był nadzwyczaj upalny i duszny.

O godzinie 15:30 na biurku Kurta Weilla znalazł się przejęty przez niemieckie stacje nasłuchu, zakodowany meldunek, który niedawno angielska baza w Islandii nadała do Liverpoolu. Spojrzał na równe rzędy liczb i zastanawiał się, dlaczego jakakolwiek informacja stamtąd miałyby zainteresować sir Percy'ego Noble'a z Admiralicji.

Weill był jednym z kilku starszych specjalistów do odszyfrowywania depechy pracujących dla Doenitza w Centrum Obserwacji, mało znanej, lecz nader ważnej instytucji, która na samym początku wojny zaczęła łamać brytyjskie szyfry wojskowe. Codziennie sporządzano tu meldunki dla admirała na temat konwojów, ich tras i czasu wyjścia w morze, miejsc spotkań eskorty, kursów, prędkości, a nawet ładunków.

Weill przez kilka minut przyglądał się kartce z meldunkiem. Ułożony był bardzo prostym, dwuczęściowym kodem, używanym przez Anglików niemal od roku. Jak na ten typ kodu był to niezmiernie długi i niebezpieczny okres, lecz każdy użyteczny szyfr musiał zawierać przynajmniej dziesięć tysięcy liczb, żeby można go było z jakim takim powodzeniem wykorzystać. Nic więc dziwnego, że Anglikom nie spieszyło się go zmieniać.

Weill wziął ołówek i przetłumaczył cyfry, które natychmiast rozpoznał, na słowa: 4556 oznaczał patrol, 3087 - samolot, 9927 - dowództwo jednostek Straży Przybrzeżnej, zaś 6294 - najczęściej używany, który Weill widywał codziennie, oznaczał niemiecką łódź podwodną.

W dziesięć minut później Weill był już gotów z połową tekstu: łódź podwodna została dostrzeżona przez załogę bombowca, który zbombardował ją ładunkami głębinowymi, zaś ona sama 2773.

Weill zmarszczył brwi. Nie pamiętał, co oznacza ten numer. Chyba tego jeszcze nie złamali. Nie odnalazł kodu ani w codziennym zestawieniu nowych kodów, ani w swym podręcznym kluczu. Z pewnością był to czasownik. Ba, ale jaki? Zanurzyć się? Zatopić? Uciec? Przecież wszystkie te słowa miały już znane odpowiedniki. Co jeszcze mogła zrobić łódź podwodna w takiej sytuacji? Zaiste, musiało to być coś dziwnego, skoro niepokojono tą wiadomością sir Percy'ego Noble'a.

Weill zastanowił się przez chwilę. Istniała szansa, że 2773 został użyty przez Anglików w jakimś wcześniejszym meldunku, którego nie udało się całkowicie rozszyfrować. Wstał i podszedł do olbrzymiego katalogu obrotowego i wystukał numer 2773 na klawiaturze. Wielki bęben obracał się powoli, przebierając wśród kart, jak olbrzymia karuzela. Nagle zatrzymał się. W podajniku widniała kartka z napisem: 2775. Użyty 515/40. HMS "Seal" do Admiralicji. Patrz I/fl/5/6/40.

Weill przypomniał sobie historię HMS "Seal", lecz nie wiedział dokładnie, o co chodziło. Podniósł słuchawkę i połączył się z biblioteką.

- Walter, może ty mi pomożesz. Mówi ci coś HMS "Seal"?

- Poczekaj chwilę.

Weill usłyszał przytłumione głosy z drugiej strony i szelest przekładanych papierów.

- Tak. To jest angielski okręt podwodny. A raczej był.

- Co się z nim stało? - puls Weilla przyspieszył.

- W zeszłym roku poddał się trawlerowi, kiedy nasze bomby głębinowe pogruchotały mu śruby.

Weill podziękował i powoli odłożył słuchawkę. Nic dziwnego, że numer nie był zbyt często używany. Położył przed sobą meldunek i z ociąganiem, niechętnie, wypełnił brakujące miejsca po 2773.

Pozostało tylko nadać kodowaną depezę do Lorientu. Zastanawiał się, jak Doenitz zareaguje na tę wiadomość.

25.

Radiooperator U700 kończył właśnie niszczyć młotkiem maszynę cyfrową, gdy Anders wszedł na stanowisko dowodzenia.

- Chciałbym przesłać meldunek do centrali.

- Nie da się - odpowiedział lekceważąco marynarz, nie patrząc na wysokiego oficera. Kolejnym uderzeniem narzędzia rozwalił klawiaturę.

- Dlaczego nie?

- Bo jest zniszczona. Dlatego.

Marynarz był najwyraźniej wrogo doń usposobiony, lecz Anders nie chciał wdawać się z nim w dyskusję. Schyliwszy głowę przecisnął się przez korytarz, na którym łańcuch marynarzy przekazywał sobie obciążone pakunki do zatopienia przez wyrzutnię torped. Milczeli, lecz w ich ruchach było znać wrogość. Zatrzymał się przed koją Steina i odsłonił zasłonę.

- Przeszedłem sprawdzić, czy bandaż jest w porządku - zaczął niepewnie.

- W porządku - wymamrotał Stein. Na jego czole widniały kropelki potu, zaś przez naprędcę zrobiony opatrunek na jego ramieniu przesączała się krew. Chłodne oczy z uwagą przyglądały się Andersowi.

- Jakbyś chciał jeszcze trochę morfiny...

- Nic mi nie jest! - krzyknął Stein ze złością.

Nagły syk sprężonego powietrza wpuszczanego do wnętrza łodzi powiedział im, że zawartość wyrzutni została oddana morzu. Stein zrobił Andersowi miejsce na koi. Ten usiadł, podciągając do podbródka chude kolana i wbił wzrok w podłogę.

- Co robi hudson? - zapytał Stein po chwili.

- Krąży.

- A Weiner?

- Obserwuje go.

Anders przerwał kolejną chwilę milczenia.

- A torpeda w wyrzutni numer trzy?

- Zacięła się - odparł Stein z obrzydzeniem. Próbowali już wszystkiego, ale chyba bomba pokrzywiła wylot wyrzutni. Wiesz, jaka torpeda tam jest?

Anders skinął głową.

- Bomby czy ładunki głębinowe? - zapytał powoli.

- Bomba przeciw łodziom podwodnym. Dwieście pięćdziesiąt kilo - powiedział z goryczą Stein. - Do niczego, chyba, że trafi w kadłub. Poza tym hudson nie ma na sobie nic.

- Na pokładzie byli ludzie - powiedział Anders. Nie mieli się gdzie schować. Gdyby Weiner nie poddał łodzi, nie żyliby już. Podobnie jak my, gdyby hudson miał więcej ładunków.

- Wiesz dobrze, że RAF nie ma do dyspozycji nic podobnego.

Anders przypomniał sobie, że w decydującej chwili nie patrzył przez peryskop.

- To nie była jego wina - powiedział nagle. Szrama na twarzy Steina zabłysła w świetle lampy, a oczy utkwione w Andersa nie mrugały.

- Co nie było jego winą?

Anders otworzył usta, by wyjaśnić Steinowi, co zaszło, gdy radiotelegrafista opowiedział o uratowaniu Brucha, ale wiedział, że Stein i tak nie zrozumie.

- Co nie było winą Weinerja? - powtórzył Stein. Anders zawahał się.

- Wyłącznie tak blisko samolotu. Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo nadziania się na coś takiego - zakończył smutno.

- Mamy jeszcze szansę zestrzelić tego hudsona. zauważył sucho Stein.

Anders spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem. Przecież poddaliśmy się.

- Nie poddaliśmy się. Tylko Weiner się poddał. To rzekłszy, Stein wręczył Andersowi kawałek papieru.

My, niżej podpisani członkowie załogi U700, uważamy, że okręt nie powinien był się poddać i zwracamy się z prośbą do porucznika Andersa, by aresztował kapitana Weinerja i kontynuował walkę. Przymierzamy porucznikowi Andersowi całkowitą lojalność i wykonamy każdy rozkaz, jaki wyda, by uniemożliwić wpadnięcie okrętu w ręce wroga.

Pod słowami widniało czterdzieści podpisów ułożonych w kółko, żeby nie było wiadomo, kto podpisał pierwszy.

- Wszyscy podpisali. Cała załoga - powiedział Stein.

- Wszyscy z wyjątkiem mnie - poprawił Anders, patrząc na dokument z obrzydzeniem.

- Nie musisz nic podpisywać, tylko przyjąć do wiadomości.

- Czy podpisali z własnej woli?

- Podpisali wszyscy, tylko to ma znaczenie.

- Nie zgadzam się - powiedział Anders spokojnie. Czy powiedziałaś im, zmuszając ich do podpisu, że kapitan chciał uratować im życie? Że nie miał wyboru? Brinkler powiedział mu, że nie jesteśmy w stanie się zanurzyć, bo wybuch zaklinał ster głębościowy. Powiedziałaś im to?

- Musimy zapobiec dostaniu się łodzi w ręce wroga. Mamy jeszcze dział. Anders parsknął.

- Zaleją pokład ogniem z karabinów maszynowych, zanim zdążymy zrobić krok. Nie pamiętasz?
- gestem wskazał na ramię Steina.

- Najlepsi strzelcy pójdą w samym środku - odparł Stein.

- W środku czego? - zapytał podejrzliwie Anders.

- W środku grupy, która rzuci się do dział.

Minęła chwila, nim Anders zorientował się, co planuje Stein. Spojrzał na niego z mieszaniną nienawiści i pogardy. Po raz pierwszy szrama na jego policzku nie zrobiła na nim wrażenia.

- Jesteś chory!

- Jestem gotów być jednym z osłony, Anders przerwał i uśmiechnął się. - A ty? Czy jesteś takim samym tchórzem jak Weiner?

- Weiner poddał się, bo chciał ratować nasze życie. Twoje też - powiedział ze złością Anders. - Gdybym go teraz aresztował i zaczął kontynuować walkę, wyjąłbym nas wszystkich spod ochrony Konwencji Genewskiej. Anglicy mogliby nas powywieszać jak zwykłych przestępców.

Stein otworzył szafkę i wyjął lugera, kładąc go obok Andersa. Oczy ich obu spotkały się. Dobierając ostrożnie słów, Stein powiedział obojętnym tonem:

- Jeżeli pozwolisz, żeby ten okręt dostał się w ręce wroga, dopilnuję, żebyś po wojnie zawisł. Za tchórzostwo.

Anders wrócił na swą koję i położył pistolet na rozkładanym stoliku. Patrzył na niego, wsłuchując się w dźwięki zwiastujące niszczenie wyposażenia okrętu. Wreszcie zdecydował się, co ma zrobić.

Thompson spoglądał na samotną sylwetkę na mostku łodzi, obserwującą hudsona przez lornetkę.

- Ciekawe, co teraz sobie myśli - zastanawiał się nawigator.

- To samo, co ja - odparł kapitan. - Co się stanie, kiedy skończy nam się paliwo i będziemy musieli się rozstać.

- Mam mu podać sygnał, żeby wyprowadził wszystkich na pokład, żebyśmy mieli na nich oko? Na pewno niszczą teraz wszystko, co się da pod pokładem.

- Na pewno - zgodził się Thompson. - Ale jak długo są pod pokładem, nie zatopią łodzi. Drugi pilot wszedł do kokpitu.

- I co? - zapytał kapitan.

- Idą do nas dwa trawlerzy i niszczyciel, "Burwell".

- Kiedy dojdą?

- O dwudziestej drugiej. Thompson jęknął głośno.

- Przecież zabraknie nam paliwa. Co oni sobie myślą, jesteśmy sterowcem, czy co?

- Mamy rozkaz, żeby nam nie zabrakło paliwa, zanim nie doleci do nas catalina. A jak będziemy musieli zawrócić, mamy rozkaz zatopić łódź. Bez ostrzeżenia drugi pilot spowaźniał.

Thompson zbladł i odwrócił się.

- Dlaczego?

- Żeby nie spróbowała zejść pod wodę i uciec - odparł drugi pilot nie patrząc mu w oczy.

Twarz admirała Karla Doenitza nie wyrażała żadnych uczuć, gdy studiował mapę Atlantyku w swym centrum dowodzenia w Lorient. Kneller stał za nim patrząc ze złością na głównego oficera kontroli operacyjnej, jakby to on był winien zaskakującej wieści, która nadeszła niedawno z Berlina o poddaniu się łodzi.

- Nie mają numeru łodzi? - zapytał Doenitz.

- Nie, panie admirale. Ale obiecali, że dadzą znać, jak tylko skończą odszyfrowywać.

W okolicy, skąd nadszedł sygnał, znajdowało się przynajmniej sześć łodzi podwodnych w zasięgu hudsonów stacjonujących na Islandii. Odwrócił się do Knellera z zatroskaną twarzą.

- To nie ma sensu, Johann. Łódź podwodna poddająca się samolotowi. Nikt o czymś podobnym nie słyszał.

- Moglibyśmy kazać zgłosić się wszystkim łodziom po kolei - zaproponował Kneller. Doenitz uśmiechnął się.

- Anglicy szykują jakąś sztuczkę. Żadna łódź podwodna się nie poddała. Jeżeli któraś z nich ma takie uszkodzenia, że nie da rady zejść pod wodę, kapitan wyda rozkaz zatopienia.

Kontroler wyglądał na zdziwionego.

- Więc dlaczego posłali meldunek do Londynu?

- Bo Anglicy testują pewność swoich kodów - odparł Doenitz. Wszystkie ich stacje na nasłuchu są nastawione na 49,95, czyli na naszą falę komunikacji z łodziami. Chcą się przekonać, czy nie zaczniemy przysyłać sygnałów do wszystkich łodzi.

W pomieszczeniu zapanowała widoczna ulga, bo wyjaśnienie Doenitza było sensowne.

- Brytyjczycy nie podali pozycji okrętu, który rzekomo się poddał - ciągnął Doenitz. - Z tej prostej przyczyny, że nie znają położenia ani jednej naszej łodzi.

Zadzwonił telefon kontrolera operacyjnego. Podniósł słuchawkę i jego twarz zasępiła się.

- Tak... - powiedział i zaczął coś szybko pisać. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Dziękuję za szybką robotę - powiedział kontroler. - Tak, jest teraz ze mną.

Ostrożnie odłożył słuchawkę i wyrwał kartkę z notatnika.

Kneller wziął ją od niego i podał Doenitzowi, który spojrzał na nią i wziął jeden z długich popychaczy. Oparł jego koniec na zerowym południku.

- Trzydzieści stopni zachodniej - powiedział bezbarwnym głosem.

Koniec popychacza znalazł się na środku Atlantyku.

- Sześćdziesiąt północnej.

Kij znalazł się na południe od Islandii i zatrzymał się, wskazując jedną z łodzi. U700.

Długa cisza zapanowała na sali. Przerwał ją głos Knellera.

- Nie mamy nic, co mogłoby się tam dostać przed zapadnięciem zmroku. Nawet na tej szerokości geograficznej.

Kieszeń Andersa, gdy wspinał się na mostek U700, wypychał niewygodny kształt. Weiner stał samotnie, pochylony nad listwą uszczelniającą luk, patrząc na hudsona. Spojrzał na podwładnego i wrócił do obserwacji. Jego pogodne rysy były teraz poorane zmarszczkami smutku. Anders nie wiedział, co ma powiedzieć i speszony tym, co wiedział, że musi zrobić: aresztować kapitana.

- Był dzień taki, jak dzisiaj - odezwał się Weiner nie oglądając się za siebie. - Różnica polegała na tym, że pod kilem U700 było nie trzy tysiące, a trzydzieści metrów wody. - Jego głos był równy, bez śladu emocji, jakby chciał opowiedzieć o wydarzeniach nie chcąc o nich myśleć. - Tydzień wcześniej zostałem dowódcą łodzi. Pierwsze zadanie bojowe. Mechanicy wciąż nad nią pracowali, kiedy wypłynąłem na pierwszy próbny rejs połączony z próbnym odpaleniem torped. Wyrównaliśmy na głębokości peryskopowej i dałem rozkaz do odpalenia trzeciej wyrzutni. Jak zwykle w uszach zaczęło dzwonić, kiedy sprężone powietrze zaczęło się wtłaczać do łodzi.

Anders powoli wyjął lugera z kieszeni i odbezpieczył.

Weiner przerwał na chwilę, zbierając myśli.

- Nagle w przedziale dziobowym rozległy się jakieś krzyki i wszczął się ruch. Brinkler wyrównał sterami głębokościowymi po odpaleniu, ale okazało się, że nie da się utrzymać łodzi w poziomie. Szła szybko na dół od dzioba. Rzuciłem się do środka. Sześciu mężczyzn próbowało utrzymać w miejscu torpedę, a woda zalewała łódź. Nagle ciśnienie wysadziło drzwi. Woda z rykiem wdzierła się do środka. Za parę sekund byłoby po łodzi. I po nas.

Weiner otarł twarz. Anders postawił krok do przodu i wymierzył pistolet w plecy kapitana. Był zdziwiony pewnością swej dłoni.

- Można było zrobić tylko jedno - zamknąć grodzie wodoszczelne tak szybko, jak tylko się da. Torpedy nie udało się umocować, stoczyła się z zaczepu, więc tamci i tak nie dotarliby do drzwi. Coś nie dawało mi zamknąć drzwi, wyglądało jak kawałek szmaty. Wziąłem siekierę i zacząłem rąbać na oślep. Nagle napór ustąpił i zdołałem domknąć drzwi. - Weiner przerwał.

- Co to było? - zapytał Anders, domyślając się odpowiedzi.

- Czyjaś ręka - odpowiedział Weiner. Anders widział, jak po karku kapitana toczą się strumyczki potu.

- Wyszliśmy przez właz rufowy, który znajdował się nad powierzchnią morza. Nurkowie zalali wodą przedział dziobowy i tydzień później U700 znów wyszła w morze. Powiedzieli, że zawiniło spawanie na zawiasach komory.

- Ale uratował pan wszystkich pozostałych - podsunął cicho Anders.

Śmiech Weinerja był suchy.

- Tak mówili. Nawet dali mi medal. Wyrzuciłem go. Ci biedni chłopcy, co zginęli, zatrzaśnięci

w przedziale dziobowym, nic nie dostali, bo według dowództwa nic nie zrobili. Nic, tylko zginęli - dodał sarkastycznie.

- Co chce pan teraz zrobić, panie kapitanie? Weiner nie spuszczał oka z hudsona.

- Anglicy nie postawią nogi na tym okręcie. Zejdę pod pokład i odpalę ładunki, jak tylko wszyscy marynarze będą bezpieczni.

- Mogą panu nie pozwolić.

- Pozwolą - odparł Weiner. - Szanują tradycję i pozwolą kapitanowi zejść ostatniemu. Tylko, że ja nie zejdem.

Weiner odwrócił się i zauważył lugera wymierzonego wprost w swą pierś.

Nawigator na hudsonie wyglądał na zdziwionego.

- W co się bawią ci dwaj na mostku?

- A co nas to obchodzi? - zezłościł się Thompson. Wyrównał lot, przestając krążyć wokół łodzi i ustawił do ostatniego podejścia.

- Wiem tylko, że bez względu na to, kto wygra tę wojnę, żaden podręcznik historii nie zamieści o nas nawet wzmianki, ani o rozkazie, któryśmy dzisiaj otrzymali.

Dłoń Thompsona powędrowała na przycisk zwalniający bomby głębinowe.

Weiner był zasmucony raczej niż przestraszony widokiem lugera.

- Przepraszam, panie kapitanie - powiedział Anders.

- Za co?

- Muszę pana aresztować.

- Dlaczego przepraszasz, skoro jesteś przekonany, że robisz, co do ciebie należy? A może przekonał cię Stein?

- Nie mam wyboru.

Weiner spojrział na białą koszulę, wiszącą na peryskopie i oparł się o osłonę.

- Oto w skrócie historia Niemiec - porucznik Anders nie ma wyboru. Co macie zamiar zrobić?

- Odwołać rozkaz poddania się i walczyć - nagle Anders zmienił ton i zaczął prosić Weinerja. - Panie kapitanie, niech pan do nas dołączy. Powiemy, że to był tylko podstęp. Ostrzelalibyśmy hudsona. Moglibyśmy... jego głos zamilkł, a Weiner potrząsnął przecząco głową.

Żaden z nich nie zauważył, że samolot przestał krążyć i na niewielkiej wysokości zbliżał się do łodzi.

- Za późno, Anders - powiedział Weiner, spoglądając przez ramię swego oficera i uśmiechając się lekko. Za późno.

Wskazał dłonią za horyzont.

- Zatrzymaj się na chwilę - zawołał nawigator bombowca. - Co on tam pokazuje?

Oczy Thompsona powędrowały na mostek łodzi podwodnej. Jeden z Niemców pokazywał coś drugiemu. Thompson wykręcił szyję jak mógł.

Na horyzoncie pojawiła się smuga dymu. Przybywał trawler, pierwszy z małej flotyli wysłanej na spotkanie U700.

O godzinie dziewiątej następnego ranka, Ian Fleming wyszedł ze swego biura w budynku Admiralicji w Londynie i wziął taksówkę do hotelu, gdzie mieszkał Alan Brice. Zastał go spoglądającego na talerz pełen dymiących nerek.

- Nie uwierzysz - zaczął Fleming

- Właśnie spróbowałem kawy, więc jestem dość przychylnie nastawiony do informacji z pewnych źródeł i jestem skłonny uwierzyć we wszystko - odparł Brice.

- Schwytiliśmy niemiecką łódź podwodną.

- Prawie we wszystko - poprawił się Brice. Chcesz spróbować?

- Nie, dziękuję. Staram się przeżyć bez pomocy amerykańskiej. Łódź poddała się wczoraj wieczorem. Na południowy zachód od Islandii.

Brice odłożył widelec i spojrzał na Fleminga z zaskoczeniem.

- Udało wam się wreszcie.

- Poddała się jednostkom Straży Przybrzeżnej przyznał ze smutkiem Fleming.

- Czy to źle?

- A jak ty byś się czuł, gdyby któryś z twoich sprzątaczy w laboratorium dostał Nobla z fizyki? Brice zastanowił się.

- Rozumiem cię. Co oni takiego zrobili, że się udało?

- Nic takiego. Rzucili na nią parę bomb i tyle. Wreszcie ich taktyka zdała egzamin. Atakowali wszystko, co się rusza, nasze czy obce, wszystko jedno. Dużo czasu upłynie, zanim Marynarka Wojenna im to wybaczy.

- Jest uszkodzona? - zapytał Brice.

- Nasza reputacja?

- Łódź.

- Lekkie uszkodzenie steru głębokości, ale poza tym nic takiego, czego nie mogliby sami naprawić w kilka minut.

Brice zmarszczył brwi.

- Więc dlaczego się poddali?

- Pytaj mnie - wzruszył ramionami Fleming. Może kapitanowi U-boota żal się zrobiło chłopaków ze Straży, bo po naszej stronie nikt ich nie lubi?

- Czy miała na pokładzie jakieś torpedy? - zapytał Brice z nadzieją w głosie.

- Tu zaczynają się złe wieści. Grupa szturmowa zameldowała o jednej torpedzie w przedziale dziobowym.

To wszystko.

- Pewnie stary typ z zapalnikiem stykowym - powiedział z żalem Brice. - Zrzuciliby ją, jakby była magnetyczna. Ale i tak chciałbym się przyjrzeć łodzi. Czy to możliwe?

Fleming spojrzał na niego niepewnie.

- Posłuchaj, Ian, widziałem już dość waszych zamków i pałaców. Nie macie może głowicy Wotana, ale macie niemiecką łódź podwodną i to mi wystarczy. Potem jadę do domu.

- Myślałem, że dobrze się bawisz. Wszystkie nasze dziewczyny wprost szaleją za tobą. Nocne życie... Brice uśmiechnął się kwaśno.

- Jak można bawić się w nocy, kiedy nigdy nie robi się tu ciemno?

Fleming roześmiał się na wspomnienie wojennej zmiany czasu. W czerwcu o 22:30 świeciło jeszcze jasne słońce.

- Więc jak będzie z łodzią? - dopytywał się Brice.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Fleming.

- Co teraz z nią zrobicie? Nie mów, jeżeli to tajemnica.

- To tajemnica - przyznał Fleming. - Ale powiem ci, że holujemy ją na Islandię.

Kneller wątpił. Nie chciał rozwiewać złudzeń admirała, ale ktoś musiał mu to powiedzieć.

- Z całym szacunkiem, panie admirale, marynarka nie dysponuje bombowcem nurkującym, a marszałek Goering jest oprócz Fuehrera jedyną osobą upoważnioną do wypożyczenia nam takiego. Osobiście wątpię, czy się zgodzi.

Doenitz zamyślił się.

- Nie możemy pozwolić, żeby nasza łódź podwodna dostała się nienaruszona w ręce wroga.

- Zgadzam się, panie admirale, ale...

- Polecę do Karinhall i porozmawiam z nim - przerwał mu admirał. - Bóg jeden wie, jak nie znoszę tego człowieka, ale nie mam wyboru.

- Islandia - powiedział Doenitz z niesmakiem. Oddał meldunek z Paryża Knellerowi i z przygnębieniem przyjrzał się mapie operacyjnej.

- Tam nie damy rady jej dosięgnąć - powiedział Kneller.

Doenitz zamyślił się.

- Johann, jak w zeszłym roku dostaliśmy HM S "Seal", co z nim najpierw zrobiliśmy?

- Oddaliśmy do stoczni, żeby się mu przyjrzeli.

- Komu?

Kneller zastanowił się przez chwilę.

- Nie pamiętam, ale chyba do Blohma i Vossa.

- Właśnie - powiedział Doenitz. - Blohm i Voss. A angielskim odpowiednikiem Blohma i Vossa jest Vickers w Barrow-in-Furness. Na samym skraju Krainy Jezior - spojrział tryumfalnie na Knellera, a w oczach zapaliły mu się ognie walki. - Do Barrow powinien dolecieć bombowiec nurkujący dalekiego zasięgu wyposażony w dodatkowe zbiorniki paliwa!

- Zaczyna być ciekawie - skomentował Ian Fleming, gdy podszedł z Brice'em do pierwszego dołka na polu golfowym w Coombe Hill. - Pewna książeczka, znaleziona na pokładzie U700, zepsuła humor niejakiego Franklina D. Wczoraj pokazano mu kopię.

Brice był zaintrygowany.

- Jaka książka?

- Załoga zniszczyła prawie wszystkie dokumenty na łodzi, z wyjątkiem jednego. Może nie wydawał się im zbyt ważny, pewnie dlatego, że nikt nigdy do niej nie zaglądał. Był to zestaw do rozpoznawania okrętów, wiesz, sylwetki okrętów.

- I uznaliście to za tak ważne, żeby pokazać prezydentowi? - Brice aż przystanął.

Fleming uśmiechnął się szeroko.

- Wszystkie dotyczyły okrętów flagowych amerykańskiej marynarki wojennej i zawierały dokładne informacje o położeniu magazynów amunicji ze wskazówkami, gdzie najlepiej trafić torpedą.

Brice gwizdnął z podziwem.

- Roosevelt o mało nie spadł z fotela - kontynuował Fleming. - Dokładnie o to mu chodziło. Teraz ma pretekst do zmiany postawy waszej marynarki z neutralnej na agresywnie neutralną. Chodzi o ściślejszą niż dotąd współpracę między nami.

Wiadomość ta zaskoczyła Brice'a.

- Żartujesz. Amerykańskie łodzie mają zatapiać niemieckie?

- Nie, stary. Ale jak któryś z nich zobaczy albo usłyszy o jakimś U-bocie, będą nam o tym dawać znać na wyścigi. - Fleming uśmiechnął się. - Gdy U700 zjawi się na miejscu, z rozkazu premiera Churchilla będziesz miał nieograniczony do niej dostęp.

- Wspaniale! Może mógłbym pogadać z załogą? Co z jej oficerem torpedowym? - zapytał zadowolony Brice.

- Nie chcą z nami rozmawiać. Chłopcy z wywiadu przepytują kapitana, pierwszy oficer jest w drodze do obozu jenieckiego gdzieś w Anglii, a drugi z przestreloną ręką w szpitalu.

Był wczesny wrzesień i lato powoli traciło swą władzę nad przyrodą. Pierwsze kolory jesieni przebijały się w koronach drzew, które stały przyczajone w dolinach lub tkwiły samotnie u szczytów wzgórz.

Anders nie spał od kwadransa. Patrząc na zmieniający się za oknem pociągu krajobraz zastanawiał się, jak daleko na północ się znalazł podczas długiej nocy, na którą złożyły się okresy niespokojnego snu przerywanego wstrząsami, gdy na zaciemnionych stacjach zmieniano lokomotywy.

Major Schulke, przystojny oficer, którego pod lufami karabinów wprowadzono do przedziału po nieudanej próbie ucieczki na stacji Euston w Londynie, nadal smacznie spał. Spoglądało nań z niechęcią dwóch wartowników, którzy siedzieli po drugiej stronie przedziału z dłońmi opartymi na karabinach.

Anders dojrzał pomiędzy wzgórzami światło słoneczne, odbijające się na gładkiej tafli wody. Jezioro, pomyślał.

Schulke przeciągnął się i poruszył. Wartownicy natychmiast bardziej się skupili i mocniej chwycili za lufy karabinów.

Schulke otworzył oczy.

- Dzień dobry, Bernard - powiedział radośnie.

- Dzień dobry, Conrad. Smacznie spałeś. Zazdroszczę ci.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem, ale tam z boku jest duże jezioro.

Schulke ziewnął i pozwolił ciepłemu, rannemu słońcu skąpać swą twarz. Dłoń jego opadła ni stąd ni zowąd na klamkę okna. Strażnicy nie spuszczaali z niego oka.

- Znów ich zdenerwowałeś - powiedział Anders. Schulke uśmiechnął się psotnie.

- W nocy, kiedy we trójkę smacznie spaliście, znowu uciekłem.

Anders spojrzał na majora z zaskoczeniem.

- Wyskoczyłem przez okno na jednej ze stacji - powiedział sennie Schulke. - Ten z długimi nogami zatrzymał mnie na końcu peronu - mrugnął na wyższego z żołnierzy, lecz żaden z nich nie wydawał się rozbawiony. - Ciekawe, czy rozumieją po niemiecku.

- Miałeś szczęście, że cię nie trafili - zachichotał Anders.

- Biegłem zygzakiem.

- Zauważyłeś nazwę stacji?

- Pewnie - powiedział z dumą Schulke. - Bovril.

Anders i Schulke trzymali się rurek, na których rozpięty był brezent, przykrywający platformę wojskowej ciężarówki. Samochód podskakiwał jak szalony na wybojach i koleinach wąskiej dróżki, wiodącej przez gęstwinę wysokich sosen, gdzie nie sięgało światło słońca. Obaj przestali rozmawiać, gdy tylko auto skręciło z głównej drogi. Obaj myśleli o tym samym: auto z dwoma jeńcami, zagłębiające się w las coraz dalej i dalej, w miejsce, skąd nie będzie słychać odgłosu wystrzałów.

Schulke wykorzystał fakt, że strażnicy nie rozumieją po niemiecku.

- Jak tylko się zatrzymają - wiejemy. Nie pozwolę tym świniom zaszlachtować się jak konia ze złamaną nogą. Wolę, żeby mnie trafili w biegu.

- Nie zrobią tego - powiedział Anders, wskazując na las. - Popatrz uważnie, a zobaczysz zasieki z drutu kolczastego. Widzisz?

Schulke wyrzął na zewnątrz. Anders miał rację, w miejscach, gdzie kończyła się paproć, można było dostrzec złowrogo połyskujące zwoje drutu kolczastego, przeplatającego się pośród drzew.

- Gdyby nas chcieli zastrzelić, po co by im był drut kolczasty? - spytał Anders.

Okrzyk i gest ze strony jednego z wartowników dał im do zrozumienia, że nie powinni rozmawiać.

Schulke wzdrygnął się widząc drewnianą wieżę, wznoszącą się spomiędzy drzew.

- Do obserwacji lasu na wypadek pożaru - powiedział Anders. Ale założę się, że mają tam też reflektory i karabiny maszynowe.

Samochód zatrzymał się przed ciężką bramą splecioną stalowym drutem, która rozciągała się w poprzek drogi. Dwóch żołnierzy skrupulatnie sprawdziło dokumenty kierowców, nim otworzyli bramę i przepuścili samochód.

Drzewa przeredziły się i wreszcie ustąpiły miejsca miłemu, ładnie przyciętemu żywopłotowi po obu stronach drogi. Obaj jeńcy, znalazłszy się znów w słońcu na otwartej przestrzeni, doznali uczucia ulgi.

- Wygląda na jakąś ścieżkę dojazdową - powiedział Schulke, podnosząc się, by lepiej widzieć.

Wtedy doznał szoku: samochód nagle skręcił i oczom ich ukazał się uroczy kryty dachówką budynek. Ściany, ocienione daleko zwisającym dachem, porośnięte były gęsto ostrokrzewem. Ciężarówka ze stukotem przemknęła przez obudowany wybieg dla koni i okazało się, że tył domu pokryty jest, jak żyłakami, całą plątaniną rur na tle ciemnoczerwonych cegieł. Anders kątem oka dojrzał stalowe kraty zasłaniające okna na piętrze. Samochód znów wynurzył się na słońce i znaleźli

się w zupełnie innym świecie.

Nowo przybyli przyglądali się otoczeniu z nieudawanym zaskoczeniem. Otaczały ich równo przycięte trawniki, wysypane żwirem ścieżki, stoki wzgórz porośnięte drzewami i doskonale utrzymane działki z warzywami, na których uwijali się ubrani w dresy oficerowie. U podnóża wzgórz rozciągało się szerokie jezioro.

Auto zatrzymało się. Strażnicy wyskoczyli na zewnątrz i ruchem dłoni kazali jeńcom zrobić to samo. Anders i Schulke poszli ich śladem i stanęli niepewnie, ściskając w dłoniach swój dobytek. Angielscy żołnierze spojrzeli jeszcze raz na swych podopiecznych i wrócili do samochodu. Pierwszy bieg włączył się z chrzęstem i auto potoczyło się z powrotem w stronę stajni.

- Co teraz? - zapytał Anders.

- Popatrz! - odezwał się nagle Schulke, wskazując palcem na grupę mężczyzn, która wydawała się kontrolować pracę ogrodników.

- Co?

- Ich mundury!

Dopiero wtedy Anders zdał sobie sprawę, dlaczego nie zauważył niczego dziwnego w wyglądzie tych ludzi: mieli na sobie mundury Luftwaffe, Wehrmachtu i Kriegsmarine. Dość częsty widok w Niemczech, ale nie w Anglii.

- Nie sądzisz chyba, że Anglicy się pomylili? Schulke wskazał głową na pogwizdującego kapitana marynarki, pchającego przed sobą taczki pełne warzyw.

- Dzień dobry - przywitał ich wesoły głos.

Przybysze odwrócili się. Z szerokich schodów prowadzących do głównego wejścia do dworu schodził w ich stronę porucznik Luftwaffe o świeżo wyglądającej twarzy, trzymając w dłoniach notatnik.

Schulke i Anders przyjrżeli mu się z powagą.

- Major Conrad Schulke i porucznik Bernard Anders?

Jak na komendę skinęli głowami.

- Doskonale - powiedział lotnik. - Ja jestem Paul

Faulk.

Nie zdążył powiedzieć więcej, bowiem w tej samej chwili wiekowe kombi niewiadomego pochodzenia i marki z rykiem wynurzyło się zza rogu budynku od strony stajni. Jego opony dziko rozpryskiwały wokół siebie żwir, gdy kierowca gwałtownie przyhamował wychodząc z poślizgu, i

dodawszy gazu ruszył przed siebie. Schulke i Anders chwycili swe torby podróżne i rzucili się do ucieczki w przeciwnie strony. Po chwili samochód zatrzymał się, a Anders z zaskoczeniem stwierdził, że kierowcą jest młoda kobieta, w wieku nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ubrana w coś, co przypominało mundur sanitariuszki.

- Poruczniku Faulk - odezwała się oskarżycielskim tonem, nie zwracając uwagi na nowo przybyłych, których o mało nie rozjechała. Dalej nie działa, jak powinien. Hamulce skrzypią, a silnik nie wiadomo dlaczego natychmiast wchodzi na wysokie obroty, jak tylko naciśnę sprzęgło - powiedziała wolną, lecz poprawną niemczyzną.

- Nie obiecywaliśmy, że dokonamy cudu - odparł Faulk z zatroskaną miną. - Ale rzucę jeszcze na niego okiem.

- Niech się pan nie przejmuje - powiedziała. Przepraszam, że panów przestraszyłam. Nowi?

- Tak, proszę pani - powiedział Schulke.

Kobieta uśmiechnęła się. Była pewną siebie, zadzierzystą brunetką.

- Proszę nie zapominać, że u nas jeździ się lewą stroną drogi.

Anders odpowiedział uśmiechem.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli tu zbyt wiele okazji do jazdy.

- Miałam na myśli chodzenie - odparła kobieta. Zwolniła sprzęgło i skierowała się ku niskim zabudowaniom, oddalonym od głównego budynku o jakieś sto metrów.

Faulk zbliżył się do nowo przybyłych.

- To siostra Lillian Baxter - wyjaśnił. - Przyjeżdża tu parę razy w tygodniu z Barrow. Kiedyś powiedziała mi, że w szkole uczyła się niemieckiego, więc uważajcie przed nią z tym, co mówicie.

- Po tym jak jeździ, sądzę, że nie narzeka na brak klientów - zauważył ironicznie Schulke. Faulk roześmiał się.

- Nie musi zdawać na prawo jazdy. Anglicy specjalnie znieśli egzaminy, żeby ich kraj stał się zbyt niebezpiecznym terenem dla inwazji.

Wszyscy trzej roześmieli się. Po raz pierwszy od kilku dni Anders poczuł, że wewnątrz się uspokaja.

- Jedno pytanie - powiedział Schulke. - To jest przecież obóz jeniecki?

Faulk wyglądał na zaskoczonego.

- Tak, oczywiście.

Wskazał na baraki, rozciągające się po drugiej stronie ogrodu.

- Teraz idźcie się zgłosić do majora Veitcha, a ja zajmę się waszymi kwaterami.

Sierżant Rogers z oddziału straży więziennej spojrzął znad swego biurka na wchodzących.

- Schulke i Anders?

- Tak - odpowiedział Schulke.

Rogers zastukał w drzwi z wizytówką majora J.R. Veitcha i zniknął w środku. Po kilku sekundach wyszedł, wskazując na otwarte drzwi.

- Jest teraz u niego wasz komendant, ale mimo to chce się teraz z wami zobaczyć.

Major James Reynolds Veitch z Pułku Grenadierów był wysokim, szczupłym mężczyzną około czterdziestki. Gdy obaj mężczyźni weszli do środka, podniósł się lekko na powitanie. Anders usłyszał, jak drzwi zamykają się cicho za nimi.

Przed biurkiem Veitcha stało krzesło z wysokim oparciem. Anders zobaczył tylko długie, wrażliwe palce trzymające cygaro i dobrze skrojoną kurtkę Kriegsmarine.

Veitch przedstawił się, po czym wskazał na oficera, siedzącego na krześle:

- A to jest wasz komendant...

Anders nie słyszał reszty tego, co powiedział Veitch, bo mężczyzna wstał i odwrócił się do przybyłych. Ostre spojrzenie wydawało się przewiercać ich do głębi. Na twarzy królował charakterystyczny, orli nos.

Był to Otto Kretschmer.

- Prawdopodobnie już zauważyliście, że nie jest to zwykły obóz jeniecki - zaczął Major Veitch .
- Jest pierwszym z wielu, które zostały ustanowione dla niemieckich oficerów, którzy nie byli członkami partii nazistowskiej - przerwał, patrząc na nich dwóch, by sprawdzić, jaki efekt wywołują jego słowa.

- Gdyby się jednak okazało, że wasze sympatie dążą w tym kierunku, a nie wykazało tego wcześniejsze przesłuchanie, proszę sobie zapamiętać, że wasz dowódca ani ja nie będziemy w obozie tolerować pod żadnym pozorem agitacji w stylu narodowosocjalistycznym. Jeżeli dowiem się o takich przypadkach, odpowiedzialni za to zostaną natychmiast karnie przeniesieni do obozu prowadzonego przez Polaków, a my nie zadajemy im zbyt wielu pytań na temat tego, jak sobie z takimi radzą. Więc jeżeli chcecie zostać tutaj i być traktowani jak oficerowie, powinniście zachowywać się w odpowiedni sposób. Wewnątrz ogrodzenia macie w zasadzie całkowitą swobodę ruchów. Robienie podkopu nie ma sensu, bo Grizedale Hall jest zbudowany na litej skale. Veitch uśmiechnął się.

- Moi ludzie doglądają bezpieczeństwa przy ogrodzeniu, zaś kapitan odpowiada za spokój wśród jeńców. Słyszałem też, że jest szefem grupy, która ma zamiar zorganizować ucieczkę.

Na twarzy Kretschmera nie drgnął ani jeden mięsień.

- Zwykłą karą za próbę ucieczki jest dwadzieścia osiem dni w karnym bloku - kontynuował Veitch . Maksymalna dozwolona przez Konwencję Genewską. Na parterze pałacu urzęduje pielęgniarka. Sama budowla należy do najpiękniejszych w kraju. Po wojnie armia będzie musiała oddać go właścicielom w dobrym stanie, więc jeżeli w jakiś sposób zostanie zniszczony, Ministerstwo Wojny będzie zmuszone przekwaterować was do baraków. Czy są jakiś pytania?

Anders i Schulke nie mieli pytań. Ten pierwszy przez cały czas miał oczy wbite w ziemię, nie chcąc spoglądać w oczy Kretschmera.

- Bardzo dobrze - powiedział Kretschmer, odzywając się po raz pierwszy. - Idźcie do porucznika Faulka i dowiedzcie się, gdzie zostaliście przydzieleni. A pan, panie Anders, niech go zapyta, gdzie jest moja kwatera. Chciałbym tam pana widzieć dokładnie za godzinę.

Gdy Anders oczekiwał na rozmowę z Otto Kretschmerem, z małego lotniska polowego w pobliżu Lorientu startował Junkers 52, trzysilnikowy samolot transportowy i brał kurs na Niemcy.

Pozostawał stale do dyspozycji admirała Karla Doenitza, który razem ze swym adiutantem, Johannem Knellerem, leciał na umówione spotkanie z jedynym człowiekiem, który mógł, gdyby zechciał, pożyczyć marynarce samolot zdolny do przechwycenia i zatopienia U700.

34.

- Jak się miewa admirał? - zapytał na wstępie Kretschmer.

Anders spojrział na podkowę przyczepioną do ściany nad głową kapitana. Była pokryta złotkiem po czekoladkach i stanowiła jedyną dekorację w małym pomieszczeniu, które służyło mu za biuro.

- W porządku, kiedy go ostatni raz widziałem Anders czuł na sobie ciężki wzrok kapitana.

- Co się stało z waszą łodzią?

- Zostaliśmy zbombardowani - odparł Anders.

- Ofiary?

- Jeden marynarz ranny w rękę - Anders zastanawiał się, czy Kretschmer zna prawdę o U700.

- Pamięta pan ostatnie dane o zatopionych statkach?

Anders uspokoił się. Chyba jednak nic nie wie.

- W maju i czerwcu jakieś sześćset tysięcy ton. W lipcu bardzo niewiele, około stu tysięcy.

- A wasza łódź? Odpowiedziało mu milczenie.

- Proszę odpowiedzieć - naciskał Kretschmer.

- Nic - powiedział speszony Anders.

- Nic? - brwi kapitana powędrowały ku górze.

- Byliśmy na naszym pierwszym patrolu.

Kretschmer zastukał palcami po blacie biurka, świadom tego, że siedzący przed nim oficer unika spojrzenia mu prosto w oczy. Otworzył szufladę i wyjął z niej angielską gazetę, którą rozłożył na biurku. Anders zauważył, że jedna wiadomość została zakreślona ołówkiem.

- Czasami strażnicy przynoszą nam gazety w zamian za czekoladę z Czerwonego Krzyża - wyjaśnił Kretschmer. - Czy Anglicy trzymali pana w tym samym więzieniu co kapitana Weinera?

- Nie - odpowiedział zdziwiony Anders.

- Czy umie pan czytać po angielsku? - zapytał po kilku sekundach kapitan.

- Z trudnością.

- Więc nie wie pan nic o losie Weinera? Anders pokręcił głową, podejrzewając, że Kretschmer próbuje go wybadać.

- Weiner powiesił się - powiedział nagle. - Dlaczego to zrobił? Przecież U700 stawiała opór, prawda?

Anders patrzył na niego z niedowierzaniem. Dopiero po chwili pozbierał myśli.

- Nie wiem, dlaczego. Walczyliśmy... Użyliśmy działa przeciwlotniczego.

- Przykro mi, że właśnie ode mnie musiał się pan dowiedzieć - powiedział ze współczuciem kapitan. W gazecie piszą tylko, że kapitan Hans Weiner został znaleziony martwy w swojej celi.

Anders patrzył ze smutkiem w podłogę, a Kretschmer zdał sobie sprawę, że nic nie zyska, naciskając go dalej.

- Czy zgłosił się pan już na badania? Anders przytaknął.

- Bardzo dobrze. Jutro rano proszę się zameldować u porucznika Faulka po rozkład zajęć w ogrodzie. Anders wstał jak w transie.

- Jeszcze jedno - powiedział Kretschmer. - Czy Richard Stein był przesłuchiwany w tym samym miejscu co pan?

- Nie, panie kapitanie.

- No cóż, mam nadzieję, że Anglicy go tu nie przyślą. - Kapitan wsunął gazetę do szuflady i zatrzaskał ją. Rozmowa była skończona.

Na korytarzu Anders oparł się o ścianę i zamknął oczy. Teraz klamka zapadła nieodwołalnie. Zdradził Weinerja, a jego śmierć przekreślała wszelkie nadzieje, że kiedyś, w jakiś sposób, Anders będzie w stanie wyjaśnić, wyznać mu wszystko, a Weiner zrozumie, dlaczego tak wtedy postąpił.

Muzyka urwała się nagle i dziewczyna zamarła w połowie kroku. Fałdy szyfonowej sukni nadal falowały wokół jej ciała w ciepłe płynącym od olbrzymiego kominka, który zajmował całą ścianę sali balowej. Patrzyła, jak kapitan SS podnosi bicz i powoli wychodzi na środek parkietu, który oficerowie SS i Luftwaffe zwolnili dla przedstawienia. Skupili się ciasno wkoło, przyglądając się dziewczynie.

Kapitan SS wykrzywił wargi w parodii uśmiechu i powoli zwinął wokół palców długą skórę bicza. Dziewczyna odsunęła z twarzy długie, jasne włosy i podniosła oczy ku mężczyźnie, szukając litości. Lecz na próżno.

Kapitan machnął nadgarstkiem i koniec bicza wylądował lekko na bosej stopie dziewczyny. Stała niepewnie, lecz utrzymała równowagę. Kapitan wykonał kilka ruchów biczem na podłodze, aż skóra ułożyła się po jego myśli. Dziewczyna przyglądała się jej szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Była blada. Jedyne dźwięki, słyszalne teraz w olbrzymiej sali, pochodziły od strony kominka, który zajmował całą jedną ścianę. Blask nieregularnych płomieni podświetlał przez przezroczyste tiule zgrabną sylwetkę dziewczyny.

Kapitan skoncentrował się. Nagle nastąpił błyskawiczny ruch, po którym rozległ się donośny trzask. Pas tiulu opadł na podłogę, odsłaniając głodnym oczom żołnierzy blade ramiona dziewczyny. Rozległ się dziki aplauz. Muzyka zaczęła znów grać i uśmiechnięta teraz dziewczyna kontynuowała swój erotyczny taniec.

Marszałek Rzeszy Hermann Goering przestał klaskać i napełnił swemu gościowi kieliszek.

- I co pan sądzi o moim Karinhall, admirale? Doskonale nadaje się na wystawne przyjęcia, prawda?

Spięty admirał siedział niewygodnie na skraju krzesła, próbując zamaskować swą dezaprobatę dla tego, co dzieje się dookoła. Spojrzał na otyłą sylwetkę marszałka w śnieżnobiałym mundurze i zmusił się do przyjaznego uśmiechu.

- Wspaniała budowla, marszałku - przyznał.

Muzyka znów przestała grać. Bicz strzelił, kolejny pasek tiulu wylądował na podłodze i znów pośród krzyków rozległa się muzyka.

Goering patrzył na dziewczynę z rozbawieniem.

- Są małżeństwem artystów. Widziałem kiedyś ich przedstawienie w Berlinie. Znakomite, prawda?

Doenitz nie odpowiedział. Goering opróżnił swój kieliszek i w grubych palcach obrócił jego nóżkę.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, admirale, czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty.

Doenitz zawahał się, po czym postanowił od razu przejść do sedna sprawy.

- Chciałbym wypożyczyć bombowiec wraz z załogą i obsługą naziemną na trzy dni, marszałku.

Bicz znów trzasnęła, obcinając kolejny kawałek szyfonu z dziewczyny.

- Jaki bombowiec? - zapytał Goering cicho, gdy dziewczyna znów zaczęła tańczyć.

- Nurkujący. Taki, który byłby w stanie przenieść tysiackilogramową bombę przez dwa tysiące kilometrów, zrzucić ją na cel i powrócić.

Goering smutno pokiwał głową.

- Mój drogi admirale, sam potrzebuję przynajmniej tysiąca takich bombowców dla mojej Luftwaffe.

Bicz trzasnęła jeszcze dwukrotnie i dziewczyna została naga. Zasłoniła biust jedną ręką, lecz mężczyzna sprawnie zawiązał koniec bicia o jej nadgarstek i odsunął jej dłoń na bok. Odwrócił uchwyt tak, że wskazywał na nią i zaczął ją przyciągać do siebie.

Goering odwrócił swe małe, sprytne oczka ku Doenitzowi.

- Dlaczego akurat bombowiec nurkujący?

- Dla zapewnienia precyzji zrzutu i ataku.

- Czyli chodzi o jakiś mały cel.

Dziewczyna stała bez ruchu z lekko rozłożonymi nogami, a kapitan SS przysunął w jej stronę uchwyt bicia. Lekko się wzdrygnęła, gdy delikatnie dotknął jej szyi, po czym przesunął się na dół między piersiami, przez brzuch i koło lewego biodra. Doenitz otworzył usta, żeby przemówić, lecz Goering uciszył go przytykając palec do swych wilgotnych, grubych warg. Rękojeść bicia zaczęła się poruszać między udami dziewczyny.

- Mały cel - powtórzył Doenitz zły, że Goering go uciszył.

Ten uśmiechnął się figlarnie.

- Powiedzmy, jakieś sześćdziesiąt metrów na sześć? Doenitz spojrzał na niego ze złością. Goering naigrawał się z niego.

- Mniej więcej - powiedział sztywno, zastanawiając się, ile rzeczywiście wiedział marszałek.

Rękojeść bicia spoczęła w miejscu i dziewczyna zaczęła wykonywać wijący ruch biodrami.

- Admirale - powiedział Goering, rozkładając dłonie jak magik, próbujący przekonać widownię o swej uczciwości. - Gdybym miał taki samolot, z chęcią bym go panu pożyczył na tak długo, jak

tylko potrzeba. Ale nie mam.

Biodra dziewczyny zaczęły się poruszać szybciej, a z jej ust wydobywały się ciche dźwięki rozkoszy. Opadła na rękę, lecz kapitan nadal trzymał rękę bicza w tej samej pozycji.

Goering uśmiechnął się czarująco.

- Ale jeżeli ma pan coś specjalnego na myśli, mógłbym rozważyć, czy Luftwaffe nie powinna przeprowadzić zmasowanego nalotu, który zniszczy ten sześćdziesięciometrowy cel.

Lekko zaczerwieniona pod kropelkami potu dziewczyna westchnęła jeszcze raz i opadła na podłogę, gdy jej dłonie i nogi straciły siłę podpierania ciała. Widownia zatrzęsała się od oklasków.

- Wspaniałe przedstawienie - powiedział Goering, podnosząc głos i przekrzykując wszystkich.

Doenitz położył kieliszek, którego nawet nie dotknął i wstał.

- Musi mi pan wybaczyć, marszałku, ale rano muszę wcześniej wyruszyć.

Goering zerwał się na równe nogi.

- Ale zostanie pan na porannym polowaniu, prawda?

- Bardzo mi przykro, panie admirale. Jestem panu wdzięczny za gościnę, ale muszę wracać do Francji.

Ju-52 wystartował następnego ranka o dziewiątej z prywatnego lotniska Goeringa i skierował się do Lorientu.

- Jeden bombowiec nurkujący - powtarzał gorzko Doenitz, spoglądając pod prawym skrzydłem na przesuwany się las. - Moznaby pomyśleć, że prosiłem go o szwadron na zawsze.

Twarz Knellera wyrażała współczucie.

- Czy wspomniał swoje ulubione zdanie?

- Wszystko, co lata, należy do mnie - Doenitz powtórzył z ironią i zamilkł.

- Nie wybaczył panu jeszcze tych kondorów - powiedział Kneller.

- Podejrzewa coś - powiedział Doenitz.

- Skąd może coś wiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Jestem pewien, że nie wie o wszystkim, ale się dowie. Musimy koniecznie zniszczyć U700, zanim poczołga się do Hitlera z własną wersją wydarzeń. Jeden jedyny samolot!

Doenitz znów zamilkł i wyjrzał przez okno na silnik. Potem odwrócił się i rozejrzał po wnętrzu

maszyny.

- Johann - odezwał się do swego adiutanta. - Powiedz Goderowi, że chcę z nim porozmawiać.

Porucznik Hans Goder, jeden z niewielu pilotów w Kriegsmarine, przekazał stery drugiemu pilotowi, Maxowi Hartzowi, i w ślad za Knellerem wszedł do kabiny pasażerskiej. Obaj z zaskoczeniem spojrzeli na Doenitza, który na kolanach badał podłogę samolotu.

- Goder - powiedział Doenitz, zasuważąc dywan na miejsce. - Proszę, usiądź.

Admirał rozsiadł się wygodnie.

- Obaj z Hartzem wozicie mnie po całej Europie. Jaka była nasza najdłuższa wyprawa?

- Z Berlina do Rzymu, panie admirale - odparł Goder, zastanawiając się, do czego ten zmierza.

Kneller tymczasem zorientował się, co admirał ma na myśli. Miał właśnie zamiar otworzyć usta, lecz Doenitz uciszył go gestem dłoni.

- Jaki jest zasięg Ju-52?

- Około dwóch tysięcy kilometrów z małym ładunkiem, powiedzmy tysiąc pięćset kilogramów - odparł po namyśle Goder. Ten model junkersa był prawdziwym koniem roboczym i jednym z najbardziej niezawodnych samolotów, jakie kiedykolwiek zbudowano.

Doenitz pochylił się do przodu.

- Chciałbym, żeby zabrał właśnie taki ładunek na dwa razy taką odległość. Czy to możliwe?

- Cztery tysiące kilometrów? - Goder spojrział zdumiony na Doenitza.

- Czy to możliwe? Czy dałoby się go trochę przerobić, żeby mniej ważył?

Teraz przyszła kolej na Godera rozejrzeć się po kabinie pasażerskiej.

- No cóż - powiedział z powątpiewaniem w głosie. - Pewnie udałoby się zrobić go lżejszym, panie admirale. Możliwe usunąć ścianki działowe i dodać zbiorniki z paliwem. Tak, to możliwe.

Doenitz wyglądał na zachwyconego, nawet przez moment się uśmiechnął. Pierwszy raz od czasu poddania się U700.

- Jaki ładunek ma pan na myśli, admirale? - zapytał niepewnie Goder.

- Torpedę - odparł zadowolony z nowego pomysłu admirał.

Nalot zaczął się dobre pół godziny wcześniej, a dźwięk silników niemieckich bombowców nadal było słychać. Po tylu miesiącach spędzonych w Londynie, Brice nauczył się robić to samo, co wszyscy bywalcy bardzo bogato wystrojonego i bardzo nielegalnego klubu hazardowego: nie zwracać najmniejszej uwagi na wybuchy bomb ani ogień artylerii przeciwlotniczej, i skoncentrować się na grze. Do tej pory udało mu się wygrać od Iana Fleminga znaczną sumę pieniędzy.

- No cóż - powiedział Brice, gdy Fleming zaczął trzecie rozdanie. - Twój koledzy z Waszyngtonu ostrzegali mnie, żebym z tobą nie grał. Teraz widzę, że nie chcieli, żebym przypadkiem stał się zbyt pewny siebie.

- Ostrożnie, panie Brice - ostudził go Fleming. Jesteś teraz w poważnym niebezpieczeństwie, a nawet o tym nie wiesz. Uważaj, bo mnie skusisz, żebym użył śmiertelnej techniki, którą wypróbowałem na Niemcach w Lizbonie. Plan polegał na tym, żeby wygrać od nich tyle pieniędzy, by zabrakło im na wojnę.

- I udało się? - Brice zapytał z uśmiechem. Bliska eksplozja bomby oderwała trochę tynku z sufitu.

- Niewykluczone, że jego wysokość zapłacił za tę bombę - powiedział sucho Fleming, nie patrząc na sufit.

Brice roześmiał się, i w tej samej chwili zauważył ubranego na wieczorowo mężczyznę, machał dłonią w stronę ich stolika.

- Kogo woła, mnie, czy ciebie? - zapytał.

- Chyba mnie - powiedział Fleming. - Przepraszam na chwilę.

Brice patrzył, jak rozmawiają szeptem w kącie tuż obok wyjścia. Po chwili Anglik wrócił, usiadł i wziął karty do ręki. Patrzył na nie przez chwilę, zaś Brice czekał cierpliwie.

- U700 jest już u Vickersa w Barrow-in-Furness. powiedział cicho Fleming. - Inżynierowie przyjrzeni jej się. Nie zgadniesz nigdy, co znaleźli w środku, w jednym z przedziałów torpedowych.

Brice natychmiast zapomniał o grze.

- Chyba nie torpedę magnetyczną...

- Trafiony, zatopiony. Za pierwszym razem - przerwał mu Fleming.

- Kompletną? - Brice gwizdnął z podziwem.

- Tak. Udało im się wciągnąć ją do środka. Zostawia ją na miejscu, dopóki się jej dobrze nie przyjrzyysz.

- Kiedy? - zapytał Brice.

- Kiedy zechcesz. Powiedziano mi, że możesz się wybrać ze mną do Barrow i zobaczyć wszystko, co chcesz. Masz zrobić mnóstwo zdjęć do albumu dla bazy w Newport.

Brice uśmiechnął się.

- Najwyższy czas. Jeszcze miesiąc w Anglii, a żona poda o rozwód.

Fleming zmarszczył brwi, spoglądając na swe karty i rozkładając je w wachlarzyk.

- Problem tylko polega na tym, czy będzie cię stać na film.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą obozu jenieckiego numer 1 w Grizedale Hall był pałac. Wewnątrz ogromne wrażenie robiły bogato zdobione stropy i ściany, wyłożone kunsztownymi płaskorzeźbami z drewna. Wzdłuż jednej z nich rozciągał się szereg okien, które w całej okazałości prezentowały jezioro Windermere, połyskujące lustrem wody we wrześnieowym słońcu. Budynek służył jeńcom za jadalnię i świetlicę.

Nawet po tygodniu pobytu Anders nie mógł się pogodzić z myślą, że znalazł się w obozie jenieckim. Poczucie nierzeczywistości powiększał fakt, że stojąc przy oknie miał przed sobą widok na schodzący do samego jeziora stok wzgórza, bowiem ogrodzenie z drutu kolczastego ukryte było w nierównościach gruntu. Nawet wieże strażników wyglądały tak, jakby miały służyć do ochrony lasu przed pożarem w czasie pokoju.

Zbliżała się pora obiadu. Kretschmer siedział przy głównym stole razem z Paulem Faulkiem i Willim Leymannem, jowialnym prawnikiem z Bawarii, który wstąpił do Luftwaffe w randze kapitana i traf chciał, że znalazł się w pierwszym samolocie strąconym przez balon zaporowy. Anders poczuł na sobie wzrok Kretschmera, gdy stał w kolejce po swoją porcję.

- Do Barrow-in-Furness jest tylko pięć godzin marszu - mówił Leymann. - Jeśli więc Schumann i Kirk mają rozsądny plan ucieczki, nie sądzę, żebyśmy powinni im w tym przeszkadzać.

Oczy Kretschmera pobiegły na drugą stronę sali, skąd patrzyli nań Schumann i Kirk. Obaj byli oficerami artylerii na "Bismarcku", a gdy zatonął, zostali wyłowieni przez Anglików. Od tego czasu ani na chwilę nie rozstawali się ze sobą. Obaj mieli ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc gdyby ich plan ucieczki się powiódł, z pewnością zwróciliby na siebie uwagę.

- Nie - powiedział zdecydowanie Kretschmer.

- Będzie trzeba im podać powód - zauważył Leymann.

- Co pan wie o Barrow? - zapytał Kretschmer.

Korpulentny prawnik uśmiechnął się.

- Kirk twierdzi, że to duży port i jest przekonany, że utrzymuje regularne połączenia z Irlandią. Sądzi, że uda im się wcisnąć na jakiś okręt.

- To wielki port - zgodził się Kretschmer. - Ale tak się składa, że mieści się w nim największa angielska stocznia produkująca łodzie podwodne. Z pewnością aż roi się tam od policji wojskowej, cywilnej i straży celnej. Nie mają szans zbliżyć się do żadnego okrętu nawet na sto metrów.

Anders wziął swoją porcję i skierował się w stronę stołu z tyłu sali, gdzie siedział Conrad Schulke.

- Chciałbym się ich stąd pozbyć - powiedział Kretschmer. - Ale jeżeli chcą zostać razem, będą musieli wymyślić coś bardziej przekonującego. Anders!

Porucznik o mało nie upuścił tacy z jedzeniem, gdy usłyszał swoje nazwisko.

- Tak, panie kapitanie?

- Jak się panu podoba u nas? - zapytał grzecznie Kretschmer.

- Dziękuję, doskonale.

- Mam nadzieję, że przydział obowiązków w ogrodzie nie jest dla pana zbyt ciężki.

- Nie, panie kapitanie. Lubię pracować w ogrodzie.

- Doskonale - Kretschmer pokiwał głową, pozwalając mu odejść.

Anders usiadł przy swoim stoliku. Schulke zauważył, że młody oficer jest czymś poruszony.

- Co się stało?

- Nic.

- Czego chciał Kretschmer?

- Czy to twój interes?

- Przepraszam - powiedział dotknięty Schulke.

- Pytał, jak sobie radzę w ogrodzie. Przepraszam, że byłem dla ciebie niemiły. Chcesz mój obiad? Nie jestem dziś głodny.

W każdym innym przypadku Schulke zrozumiałby, dlaczego Anders nie jest głodny: potrawa, nazywana przez Anglików "pasterską" była po prostu talerzem ziemniaków z ciemniejszymi śladami czegoś, co przy pewnej dozie wyobraźni można było uznać za mielone mięso. Lecz odmowa przyjmowania pokarmu stawała się dla Andersa czymś normalnym.

- Czy chciałbyś ze mną porozmawiać?

- O czym?

Schulke wzruszył ramionami.

- Nie jesz, nie śpisz...

- Kto powiedział, że nie śpię? - uniósł się Anders. Schulke nabił na widelec jedną z marchewek z talerza Andersa i wsadził ją sobie do ust.

- Są dwa rodzaje oddychania w nocy: głębokie, człowieka pogrążonego we śnie i płytkie, kogoś, kto nie może zasnąć. Twoje przypomina mi to drugie.

- Dlaczego tak się tym interesujesz?

- Niepokoję się o ciebie i tyle.

- Nie ma się czym martwić.

- To zacznij wreszcie jeść.

Anders nabrał na widelec trochę ziemniaków i wsunął sobie do ust. Zachęcający uśmiech Schulkego spotkał się z grymasem na twarzy Andersa.

Tej nocy, gdy więźniowie spali już smacznie, Schulke poczuł, że ktoś stoi obok jego łóżka. Odnalazłszy po omacku zapalniczkę, zapalił jedną i w jej świetle ujrzał twarz Andersa. Po jej wyrazie zorientował się, że coś jest nie w porządku. Pozwolił zapalniczce wypalić się i powiedział cicho:

- Co się stało, Bernard?

Odpowiedziała mu długa cisza. Gdy wreszcie się odezwał, głos Andersa zabrzmiał jak niespokojny szept w ciemności.

- Nie chciałem ci przeszkadzać, Conrad.

- Nie ma problemu - Schulke podniósł się i oparł na łokciu.

- Zestrzelili cię, prawda? - zapytał Anders.

- Tak - odparł zdziwiony. - Lot zwiadowczy nad kanałem La Manche. Po to mnie obudziłeś?

- Czy inni wiedzą, jak to się stało?

- Jacy inni?

- Kretschmer, Faulk. Cały obóz.

- Nie bardzo cię rozumiem - powiedział Schulke zdenerwowany. - Opowiedziałem wszystkim, co się stało.

- Chodzi mi o szczegóły - nie dawał za wygraną Anders. - Pozycja, czas, jaka łódź cię podniosła. Czy myślisz, że mogą się o tym dowiedzieć?

Schulke nie wiedział, co odpowiedzieć. Wreszcie wyszeptał:

- Chyba tak, jeżeli by ktoś chciał tego dojść. Dlaczego pytasz?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Bernard?

- Słucham? - nadeszła po chwili odpowiedź.

- Jak chcesz, opowiedz mi o wszystkim. Potrafię słuchać.

- Nie - powiedział stanowczo Anders. - Nieważne. Przepraszam, że cię obudziłem.

Schulke wyciągnął dłoń w ciemność, lecz Anders wrócił już do swojego łóżka.

Dwa dni później w Lorient, przed hangarem, gdzie stał Junkers, zatrzymał się Mercedes Doenitz. Wraz z Knellerem zbliżył się do wejścia, gdzie, ku niezmiernemu zadowoleniu admirała, zatrzymali ich wartownicy. Wcześniej wydał bowiem rozkaz trzymania hangaru pod ochroną i zadowolony był, że jego rozkazy są skrupulatnie wypełniane.

Za chwilę byli już w środku i patrzyli na sylwetkę niezawodnego Ju-52. Mechanicy nieustannie stukali, odpiłowywali i odkręcali części wyposażenia, a wymontowany z wnętrza samolotu balast zanosili Goderowi, który ważył wszystko i zapisywał dane na tablicy.

Minęło kilka chwil, nim zauważył gości. Szybko zsalutował Doenitzowi, który machnął ręką, by sobie nie przeszkadzał.

- Są ważniejsze sprawy, Goder. Jak idzie praca?

- Lepiej, niż myślałem, panie admirale. Nigdy bym nie zgadł, jaką kupę niepotrzebnego żelastwa zabieramy w powietrze.

- Ile udało ci się zdjąć do tej pory? - zapytał admirał.

Goder odwrócił się do tablicy.

- Jeszcze nie dodałem wyników, ale będzie tego więcej niż tona. I to rzeczy zupełnie niepotrzebnych uśmiechnął się. - Jutro zaczniemy dobierać się do potrzebniejszych.

Kneller zmarszczył brwi na widok lekkomyślności Godera, lecz Doenitz tylko się uśmiechnął.

- Torpeda przyszła godzinę temu - powiedział Goder, wskazując dłonią na długie, gładkie cygaro, spoczywające na wózku. - W stoczni obiecali, że do wtorku skończą mechanizm zwalniający.

Admirał przyjrzał się pociskowi okiem znawcy. G7e z głowicą magnetyczną - broń, która według Doenitza, mogła przesądzić o zwycięstwie w wojnie, gdyby tylko naczelne dowództwo nie wtrącało się do jego sposobu dowodzenia ofensywą łodzi podwodnych. Zabronili mu nawet bronić się przed okrętami neutralnej Ameryki, które coraz bardziej dawały się we znaki niemieckim łodziom.

- Jest jeszcze jedna rzecz, panie admirale - powiedział Goder. - Ta torpeda jest cięższa, niż myślałem. Doenitz skinął głową.

- Ta ma głowicę typu Wotan. Powiem w dziale torped, żeby przysłali wam G7a. Są lżejsze o sto kilo. Nie takie mocne, ale na łódź podwodną wystarczy.

- Uwóżaj! - krzyknął Schulke.

Samochód Lillian skręcił gwałtownie, hamulce zaskrzypiały i żwir posypał się spod opon. Schulke chwycił za rękaw kolegę i pociągnął go ku sobie, lecz było za późno. Chłodnica pojazdu złamała grabie, które niósł, i nim miał czas zareagować, lusterko boczne zawadziło o jego klatkę piersiową, a impet uderzenia powalił go na ziemię.

Lillian wyskoczyła z samochodu.

- Niech pan go nie rusza! - krzyknęła do Schulkego.

Lecz Anders sam się poruszył. Nim Lillian zdążyła podejść do niego, Anders usiadł, patrząc ponuro przed siebie. Wkoło zebrał się od razu tłumek jeńców, dających kontuzjowanemu dobre rady.

- Bardzo mi przykro - przepraszała Lillian. - To przez te cholerne hamulce. Nic się panu nie stało?

- Chyba nie - odparł Anders, sięgając ostrożnie dłonią na plecy i skrzywił się z bólu.

- Muszę go zbadać - powiedziała Lillian. Zauważyła, że Anders pozwolił swym oczom dłużej pozostać na jej nogach, więc domyśliła się, że nic poważnego mu nie jest. - Pomóżcie mi go przenieść do izby chorych.

- Nie ma się czym przejmować - zawyrokowała Lillian do Andersa, który leżał na brzuchu. - Bardzo nieprzyjemny siniak, za który pana przepraszam. W porządku, może się pan ubrać.

Anders zsunął się z łóżka i wstydliwie odwrócił do niej plecami, zapinając spodnie. Zauważyła, że jest bardzo chudy i blady. Nie, nie chudy - był prawie wycieńczony.

- Siniec ma taki sam kształt, jak lusterko na moim samochodzie - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo pan wychudł.

- To przez jedzenie - odparł obojętnie Anders. Odwrócił się i ujrzał gazetę, leżącą na biurku Lillian. Częściowo zasłaniał ją jakiś kolorowy magazyn, lecz olbrzymie litery widać było wyraźnie.

Prasa brytyjska opublikowała historię U700.

Nagle Anders zorientował się, że to wszystko jest ponad jego siły. Świat zawirował mu przed oczyma i poczuł, jakby jego głowę oderwano od ciała, a donośny syk gorącej pary rozległ mu się w uszach. Potem zaległa całkowita cisza.

Willi Leymann miał właśnie zaszachować wieżę króla Paula Faulka, gdy na własnoręcznie wykonanej rękami jeńców szachownicy wylądowała gazeta, strącając starannie wyrzeźbione figurki na podłogę. Gracze ze złością spojrzeli na Schumanna i Kirka, którzy z ponurymi minami patrzyli na nich z góry.

- Patrzcie - powiedział zwięźle Kirk, dotykając olbrzymim palcem gazetę.

Nie musieli nawet pytać, o który artykuł chodzi. Przez całą stronę biegły olbrzymie litery: NIEMIECKA ŁÓDŹ PODWODNA PODDAJE SIĘ BEZ WALKI!

Lillian zamknęła okno do izolatki, żeby mężczyźni strzygący trawę nie usłyszeli, co miała do powiedzenia. Już dawno temu odkryła, że jeńcy mają szczególne upodobanie do plotek. Odwróciła się do Andersa, który siedział i popijał wodę ze szklanki.

- Czy nie pluje pan krwią, poruczniku Anders? zapytała, biorąc do ręki jego kartę zdrowia.

- Dlaczego pani pyta?

- Myślałam, że może cierpi pan na wrzody żołądka.

- Skąd pani to przyszło do głowy?

- Proszę stanąć na wadze.

- Ważyła mnie pani przecież niecały miesiąc temu, kiedy przyjechałem.

- Teraz zważę pana znowu - odparła niecierpliwie Lillian. - Proszę na wagę.

- Dobrze. Teraz proszę pokazać paznokcie. Anders wyprostował ręce, czując lekki zapach perfum. Lillian przyjrzała się Andersowi z uwagą.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Dlaczego odmawia pan przyjmowania pokarmów?

- Skąd pani wie? - skontrował Anders.

- Brak witamin. Ma pan wszelkie objawy, a do tego stracił pan na wadze. Sześć kilogramów od dnia przyjazdu. Chcę wiedzieć, dlaczego.

- Nie smakuje mi jedzenie. Lillian zaczerwieniła się.

- Jedzenie jest w porządku. Dostajecie codziennie świeże warzywa, których brakuje wielu ludziom w moim kraju. Nie ma wiele mięsa, ale to może pan złożyć na karb swoich kolegów z łodzi podwodnych. Karty zdrowia wszystkich jeńców wojennych są sprawdzane przez Czerwony Krzyż, a major Veitch będzie zły, gdyby odnieśli wrażenie, że źle was traktujemy. Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego pan nie je, albo złożę meldunek, że powinien pan zostać przeniesiony do innego obozu.

Ze swego miejsca Anders zauważył dwóch mężczyzn, idących przez trawnik. Jednym z nich był charakterystycznie wyglądający Leymann. Drugi wyglądał na Faulka. Obaj czytali jakąś gazetę.

- Może nie byłby to taki zły pomysł? - powiedział przygnębiony Anders.

Lillian była zaskoczona. Od czasu przyjazdu do obozu Kretschmera, nie miały w nim miejsca żadne incydenty między jeńcami, lecz major Veitch kazał wszystkim mieć się na baczności.

- Co pan przez to rozumie?

Anders zauważył, że do idących żołnierzy dołącza Kretschmer.

- I tak pani nie zrozumie. Co pani wie o wojnie?

Lillian spojrzała na niego długo i twardo.

- Byłam jedną z pielęgniarek ewakuowanych z Dunkierki w zeszłym roku - powiedziała dobitnie. - Moja siostra też była pielęgniarką. Opiekowała się grupą dzieci oficerów, które w Boże Narodzenie zeszłego roku odwożono do Kanady. Ich statek storpedowała łódź podwodna. Zmarła potem z powodu wyziębienia ciała na szalupie ratunkowej.

Anders oderwał wzrok od mężczyzn w ogrodzie.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam - zmusiła się do uśmiechu. Jedna z dziewczynek, które przeżyły, powiedziała, że łódź miała na wieżyczce złotą podkowę.

Mężczyzna, który pomagał przenosić Andersa do gabinetu siostry Baxter pokazywał coś trzem mężczyznom. Anders nie musiał sobie nawet wyobrażać, co mówią.

- Powiedziała mu pani? Potrząsnęła głową.

- Po co?

Anders zauważył, że Faulk długimi, zdecydowanymi krokami zmierza w stronę budynku. Lillian uśmiechnęła się.

- Powierzyłam panu mój sekret... - powiedziała, spoglądając znacząco na Andersa.

Faulk zniknął mu z pola widzenia. Teraz jest w korytarzu, pomyślał Anders. Skręca w lewo...

- Byłem oficerem na nowej łodzi podwodnej - zaczął z wahaniem.

- Jaki miała numer? A może nie wolno tego panu mówić?

Faulk zapewne zmierzał teraz korytarzem w stronę gabinetu. Bernardowi wydało się, że słyszy zbliżające się kroki.

- Na U...

Nie zdążył dokończyć. Rozległo się głośnie pukanie, po czym drzwi otworzyły się i stanął w nich Faulk. Rozwiane włosy sprawiały wrażenie, że bardzo się spieszył.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lecz właśnie usłyszeliśmy o wypadku i ciekawi jesteśmy, czy wszystko w porządku z porucznikiem Andersem.

Lillian zauważyła, że wypowiadając te słowa nie spoglądał na Andersa.

- Nic mu nie będzie - odparła. - Ma tylko okropnego siniaka, który powinien zniknąć za kilka dni.

Faulk skłonił się lekko. Jego nienaganne maniery bynajmniej nie udobruchały Lillian, złej na niego za gwałtowne wtargnięcie do izolatki.

- Wszyscy bardzo się o niego niepokoiimy - ciągnął Faulk. - Kapitan chciałby jak najszybciej widzieć się z porucznikiem.

- Nie ma powodu, dla którego miałby tu dłużej pozostawać - odparła Lillian, zdając sobie sprawę, że oboje mówili, jakby Andersa nie było w pokoju.

Kretschmer zapalił kolejne cygaro i rzucił zapałkę na biurko. Zaciągnął się rzadkim dymem wąskiego cygara i przez mgłę patrzył na Andersa. Spojrzenie oficera utkwione było w stos gazet na biurku Kretschmera, które położył tam wcześniej Leymann.

Kretschmer skinął głową do Leymanna. Gruby, niski Bawarczyk wziął z wierzchu gazetę i przeczytał na głos artykuł z pierwszej strony: Kapitan Thompson, pilot hudsona, któremu poddała się U700, powiedział, że widok białej flagi na mostku łodzi podwodnej był dla niego największym zaskoczeniem w życiu. "Byłem pewien, że otworzą ogień z dział przeciwlotniczych. Poddanie jest ostatnią rzeczą, jakiej od nich oczekiwałem, zwłaszcza, że łódź wydawała się nietknięta wybuchami ładunków głębinowych."

Anders otworzył usta, żeby przemówić, lecz Kretschmer podniósł palec uciszając go. Leymann kontynuował: Rzecznik Admiralicji odmówił komentarzy na temat schwytanej łodzi, stwierdzając jedynie, że zdobycie kompletnej niemieckiej łodzi podwodnej ma przełomowe znaczenie, i nie można wykluczyć, że będzie służyła pod banderą Zjednoczonego Królestwa.

W ciszy, która potem zaległa, można było wyraźnie usłyszeć tykanie zegarka Kretschmera.

- A co piszą w innych gazetach? - zapytał kapitan.

- We wszystkich gazetach jest napisane prawie to samo, panie kapitanie. Słowo w słowo.

- I wszystkie piszą, że łódź była nieuszkodzona?

- Tak jest.

- Kłamią! - wybuchnął Anders. - Bomby spowodowały zniszczenia wewnętrzne, a łódź rzuciło na bok. Poza tym otworzyliśmy ogień, broniliśmy się!

Kretschmer po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Andersa.

- Dlaczego nie zesłicie pod wodę?

- Zaciął się jeden ze sterów głębokości.

- Który? - zapytał Kretschmer. - Prawy? Lewy? Przedni? Tylny?

- Nie wiem - powiedział niepewnie Anders. - Ale łódź była uszkodzona. Kapitan Weiner zobaczył, że hudson pikuje do kolejnego ataku. Nie było innego wyjścia, musieliśmy się poddać.

- Nasze łodzie dysponują ładunkami samozatapiającymi, prawda, panie poruczniku?

- Tak.

- Dlaczego ich nie odpalono?

- Nie pamiętam - odparł Anders bez przekonania. Chyba instalacja uległa uszkodzeniu.

Kretschmer spojrzał na niego z pogardą.

- W porządku. Proszę zaczekać na zewnątrz.

- Łódź była uszkodzona - powiedział z naciskiem Anders.

- Proszę poczekać na zewnątrz - głos Kretschmera nie zdradzał żadnych emocji.

Anders zaszalutował i wyszedł z pokoju. Kretschmer spojrzał pytająco na Leymanna.

- Myślę, że mówi prawdę.

- Ty tu jesteś ekspertem.

- To znaczy, że mu nie wierzysz? Kretschmer zastanowił się przez chwilę.

- Nie jestem pewien, Willi.

- Musisz wziąć pod uwagę możliwość, że Anglicy celowo rozpowszechniają tę wiadomość, żeby zasiać niepewność w naszej kwaterze łodzi podwodnych - zauważył Leymann.

Kretschmer zawołał Andersa do pokoju.

- Zdecydowałem, że wątpliwości powinny przemawiać na pana korzyść, poruczniku. Anders odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, panie kapitanie.

- Może pan odejść. Anders odwrócił się.

- Jeszcze jedno Anders. - Kretschmer wskazał gestem na gazety. - Jeżeli piszą prawdę,

najprawdopodobniej po wojnie zostanie pan powieszony za tchórzostwo.

Lillian schowała kartę zdrowia Andersa do szuflady i posprzątała w gabinecie. Postanowiła zrobić sobie herbaty i czekając na zagotowanie się wody, przeczytała artykuł z pierwszej strony.

Tego wieczora, Patrick Gallagher siedział w pubie u Toomleya popijając już trzeci kufel piwa. Uważał, żeby nie przesadzić z wydawaniem pieniędzy. Gdyby ktoś zauważył, że codziennie bywa w pubie, mógłby się do tego przyczepić, co z kolei dałoby początek plotkom i domysłom, a to byłoby już niebezpieczne. Z drugiej strony, od czasu do czasu mógł pozwolić sobie postawić chłopakom kolejkę, bo nie był żonaty, a jako telegrafista dobrze zarabiał. Wszystko trzeba było robić rozważnie.

Jakiś nieznajomy wszedł do pubu i usiadł na jednym z dwóch wysokich zydli, które Toomley postawił klientom, którzy nie rozumieli, że przy barze się stoi, a nie siedzi. Gallagher spojrzął nań kątem oka. Miał około czterdziestki, był niski i gruby. Ubrany był w jasnoniebieski garnitur. Zamówił whisky i zapytał, czy Toomley nie ma przypadkiem cygar. Barman sprzedał mu stare cygaro hawańskie, które, odkąd Gallagher pamiętał, stało w słoiku po cukierkach.

Nieznajomy zapalił cygaro, zaciągnął się i podejrzliwie przyjrzał się zarządzającemu koniuszkowi. Zwrócił uwagę Gallaghera, uśmiechnął się i podniósł szklanekę.

- Znakomity wieczór na rybki - powiedział.

Gallagher miał zamiar zauważyć, że przecież leje jak z cebra, lecz gdzieś w zakamarkach umysłu natarczywy dzwonek przypominał mu o pewnym wydarzeniu sprzed kilku lat. Postawił kufel na barze i uważnie spojrzął na obcego w odbiciu lustra za barem.

- Sam kiedyś próbowałem ryb słodkowodnych, ale smak mi nie odpowiadał. Teraz łowię tylko na morzu.

Gallagher odwrócił się. Hasło zgadzało się co do joty. Z niepokojem zorientował się, że będzie musiał zacząć zarabiać pieniądze, które od lat systematycznie wpływały na jego konto w banku w Dublinie.

Pięć dni później w Loriencie, przed hangarem, gdzie przygotowywano Ju-52 admirała Doenitza do specjalnej misji, zatrzymała się ciężarówka.

Dwóch robotników odsunęło plandekę i ciężkim łańcuchem owinęło torpedę, po czym dźwig załadował ją na wózek. Po pięciu minutach pocisk znalazł się pod otwartymi szponami tymczasowego mechanizmu uwalniającego torpedę, który zamontowano pod kadłubem junkersa.

Zadowolony z udanej operacji, Goder walnął pięścią w kadłub bomby, po czym machając dłońmi i krzycząc dał znak Hartzowi. Ten, siedzący w fotelu drugiego pilota, przesunął dźwignię, zainstalowaną między fotelami.

Ciężkie stalowe szczęki zatrzasnęły się wokół pękatego cielska torpedy. Goder przyjrzał się z zadowoleniem mechanizmowi i dwukrotnie uderzył pięścią w kadłub. Szczęki rozwarły się. Goder pochylił się, by zmierzyć odległość między otwartymi szczękami i miał zamiar dokładniej ustawić śruby mocujące, gdy dostrzegł parę nienagannie wypolerowanych butów i dwie starannie wyprasowane nogawki obok maszyny.

- Dzień dobry - powiedział Doenitz, gdy pilot wyczołgał się spod kadłuba. - Jak idzie praca?

- Znakomicie, panie admirale - odparł Goder, wycierając dłonie w szmatę. Torpeda pasuje jak ulał, ale będziemy musieli przynitować na zewnątrz parę listew usztywniających, żeby się nie powyginały wsporniki kadłuba. To na wypadek, gdybyśmy się dostali w złą pogodę i nie mogli wznieść na wyższy pułap. Junkers nie jest przeznaczony do wożenia z sobą całej tony ładunku.

Doenitz uśmiechnął się. Goder cieszył się pracą, a tacy ludzie mieli zawsze najlepsze wyniki.

- Czy będzie dobrze latał? - zapytał Kneller. Goder spoważniał.

- Będzie latał, ale nie za dobrze. Doenitz z trudem powstrzymał się od śmiechu. Kneller tym razem nie podzielał rozbawienia admirała.

- Więc nie kwalifikuje się do latania? Goder z zaskoczeniem spojrział na adiutanta.

- Tego nie powiedziałem. Co prawda wycięliśmy we wspornikach tak wielkie dziury, że sam się boję, czy kadłub wytrzyma, ale polecą. Martwimy się z Hartzem o co innego. Przeglądaliśmy mapy okolic Barrow i znamy na pamięć każdą zatoczkę i ujście rzeki. Ale w tej okolicy jest przynajmniej tysiąc miejsc, gdzie Anglicy mogą zakotwiczyć U700. Nie wystarczy nam paliwa na długie poszukiwania. Będziemy musieli wylecieć prosto na nią.

- Przewidziałem ten problem - powiedział Doenitz. - Dostaniecie dokładną pozycję U700, zanim wyruszyacie.

Goder wyglądał na zaskoczonego. Wiedział, że żadne samoloty rozpoznawcze nie zapuszczały się tak daleko na północ, a nawet gdyby, Luftwaffe nie była zbyt chętna dzielić się wiadomościami z Kriegsmarine.

- Skąd dostaniemy jej namiary, admirale? Spojrzenie Doenitza zrobiło się twarde.

- Zadajesz zbyt wiele pytań, Goder. Wracaj do pracy. Goder zsalutował i wrócił pod kadłub maszyny.

- Jest bezczelny - skomentował Kneller.

Doenitz wskazał gestem na stos części i wyposażenia, które usunięto z wnętrza junkersa: siedzenia, toaleta, składane stopnie, parę skrzynek różnych pomniejszych części i wielkie płyty aluminium z nieregularnymi brzegami w miejscach, gdzie wycięto je z podłogi. Każda część miała naklejkę z opisem i wagą.

- Przede wszystkim zna się na rzeczy. Robi dobrą robotę, a mnie na niczym innym* nie zależy. Dałem wielkiemu admirałowi słowo, że U700 zostanie zniszczona, a on przekazał je Hitlerowi.

Kneller nie odezwał się po drodze do drzwi. Słyszał, że Hitler przeżył atak szaleńcy, kiedy się dowiedział o poddaniu U700.

- Czy nasz człowiek, którego dowództwo ma zamiar wysłać do Barrow, jest już gotowy? - zapytał Doenitz.

- Jest już w drodze, panie admirale. Doenitz pokiwał głową z zadowoleniem.

- Skąd opóźnienie?

- Chodziło o jego radiostację. Nie był z niej zadowolony. Barrow jest prawie odcięte od świata pasmem wzgórz Cumberland, dlatego musiał zdobyć bardzo silny nadajnik, żeby w ogóle wydostał się stamtąd jakiś sygnał. Potrzebuje trzydziestometrowej anteny, co dodaje wszystkiemu wagi i nasz człowiek bardzo się tym niepokoi.

- Jak się nazywa? - zapytał Doenitz udając brak zainteresowania.

- Gallagher - odparł Kneller. - Patrick Arthur Gallagher.

42.

- Patrick Arthur Gallagher - powiedział swym najlepszym akcentem z Belfastu do policjanta w porcie Liverpool.

- Proszę o dowód osobisty.

- Pewnie.

Gallagher wycofał motocykl i oparł go na podpórce. Dwaj policjanci kontynuowali inspekcję pozostałych pasażerów, opuszczających statek, nie chcąc utrudniać przejścia.

Policjant, po dokładnym sprawdzeniu papierów Gallaghery wydawał się zadowolony. I nie było powodu, dla którego miałyby być inaczej. Dokument, chociaż podrobiony, był prawdziwy.

Policjant oddał mu dowód i przyjrzał się z zaciekawieniem douglasowi Gallaghera. Pojemniki na bagaż były całe załadowane, a zwinięty namiot, śpiwór i kilka wędek przytroczono nawet do boku maszyny.

- Wybieram się na ryby - wyjaśnił w odpowiedzi na uprzejme pytanie policjanta.

Minutę później prowadził już swój motocykl do baraku, gdzie urzędowali celnicy, i gdzie pozostali pasażerowie ustawiali się w kolejce.

- Dzień dobry - powiedział głos za jego plecami. Gallagher odwrócił się.

Starszy oficer straży celnej uśmiechał się doń przyjaźnie. Wskazał mu drzwi z tyłu baraku.

- Bardzo proszę wprowadzić tam swój motocykl. Na zewnątrz Gallagher był spokojny i uśmiechnięty. Wskazując na kolejkę, powiedział:

- Myślałem, że to jest kolejka do odprawy.

- To prawda - odparł oficer. - Ale trochę tam tłoczno. Zechce pan pójść ze mną.

Gallagher przestraszył się jeszcze bardziej, gdy wprowadził maszynę do środka czegoś, co można było opisać jako warsztat. Na ścianie, na pordzewiałych gwoździach wisiało całe mnóstwo kluczy, kleszczy i śrubokrętów. W pobliżu drzwi znajdował się kanał, wyposażony w dwa potężne reflektory. Na środku pomieszczenia znajdował się niski metalowy stół, na którym można było rozmontować silnik. Dwóch mężczyzn w fartuchach popijało coś z wyszczerbionych kubków. Trzeci grzał dłonie nad śmierdzącym piecykiem olejowym. Uśmiechnął się do Gallaghera, gdy ten wszedł do środka.

- Dzień dobry panu. Proszę oprzeć maszynę na boku. Może napije się pan kakao?

Gallagher zauważył, że mężczyzna mówi z uśmiechem na ustach. Może ćwiczył to kiedyś przed lustrem? Gallagher pokazał mu, że potrafi zrobić to samo.

- Chcecie przeglądnąć moje walizki? Oficer nadal się uśmiechał.
- Nawet więcej. Proszę nam pomóc, rozpakować wszystko i rozłożyć tutaj na stole.
- Nawet mój namiot i śpiwór?
- Wszystko, proszę pana. Wszystko. Idziemy przecież na całego.

Gallagher schylił się nad motocyklem i odpiął klamerki pojemników zastanawiając się, czy Anglicy słyszą bicie jego serca.

Strzałka prędkościomierza znajdowała się w pobliżu setki, gdy popielaty bentley z 1930 roku, wyposażony w potężny, czteroipółlitrowy silnik pędził na północny zachód pięćmiłowym, prostym jak strzała odcinkiem drogi A5 między Bletchley i Towcester.

Brice, jak większość Amerykanów uwielbiał szybką jazdę, lecz było coś niesamowitego pędzić sto mil na godzinę olbrzymim kabrioletem, który wyglądem przypominał z lekka tylko ociosany traktor. Przynajmniej Fleming potrafił opanować tego potwora. Brice przyznał w duchu, że Fleming znakomicie prowadzi. Był spokojny, siedział głęboko w fotelu z wyprostowanymi na kierownicy dłońmi w poprawnej pozycji “za dziesięć druga”.

- Nie wiedziałem, że macie takie proste drogi! krzyknął Brice, bo normalna rozmowa była niemożliwa, wszystko trzeba było wykrzykiwać ponad szumem wiatru i rozdzierającym bębenki uszu wyciem silnika z turbosprężarką.

- Pozostałość po Rzymianach - odkrzyknął Fleming. - Jedyńi Europejczycy, którzy potrafili budować drogi, zanim pojawili się Niemcy.

- Kiedy dojedziemy do Barrow?

- Późnym popołudniem. Chcesz poprowadzić?

- Po niewłaściwej stronie drogi? Nie, dziękuję. Fleming roześmiał się.

- Pędzę tak tylko dlatego, żebyś poczuł się jak w domu. *

Brice nie odezwał się. Strzałka prędkościomierza zbliżała się do stu dziesięciu. Miał nadzieję, że nie cała droga do Barrow-in-Furness jest pozbawiona zakrętów, bo poważnie obawiał się o swoje nerwy.

Nawet Gallagher był zaskoczony ilością rzeczy, którą udało mu się spakować od pojemników motocykla. Na stole znalazło się tyle ubrania, sprzętu kempingowego i wędkarskiego, że niemożliwym wydało się ponowne tego spakowanie.

Trzej celnicy dosłownie rozebrali wszystko w drobny mak. Nawet poświecili do środka jego prymusa i otworzyli wszystkie puszkę z haczykami i ciężarkami.

Uśmiechnięty oficer wziął do ręki rolkę żyłki i naciągając ją, próbował przerwać. Nie udało mu się.

- Mocna linka. Gallagher uśmiechnął się.

- Mam zamiar spróbować makreli na żywca. Czy pan też wędkuje?

Oficer otworzył pudełko z maścią i zanurzył w nim kilkakrotnie palec.

- Nie. Ale zawsze wydawało mi się, że w Irlandii też można dobrze powędkować.

- To prawda - przyznał Gallagher. - Ale kiedy się ma do dyspozycji tylko parę dni wakacji w roku, trzeba się wypuścić gdzieś dalej.

Drugi z mechaników zaglądał do baku i pociągał nosem z zawodem, wyczuwając znajomy zapach benzyny.

- Nie uwierzy pan, ale kiedyś złapałem takiego dorsza - powiedział wesoło Gallagher i rozłożył rękę. Uśmiechnięty oficer przyłączył się do zabawy.

- Irlandzkiego dorsza?

- Oczywiście. Wyskoczył na brzeg i wypił cały kufel guinnessa.

Wszyscy mężczyźni roześmieli się.

Po godzinie Gallagher jadąc przez Liverpool zrywał się na swe dobre maniery, które musiał okazywać Anglikom. Ci dranie nawet nie pomogli mu spakować rzeczy. Jak ja nie znoszę Anglików, westchnął do siebie cicho.

Pocieszył się dopiero, gdy jechał przez okolice doków. Przynajmniej Luftwaffe trochę przeczesała to miejsce. Zaczął nucić, a potem pełnym głosem śpiewać swą ulubioną melodię. Nikt nie mógł jej usłyszeć ponad rykiem silnika: Maszerujemy na wojnę z Anglią!

Późnym popołudniem popielaty bentley znajdował się na północ od Liverpoolu i szerokim łukiem omijał zatokę Morecambe. Morze było tylko wąską wstążką jaśniejszej poświaty na horyzoncie.

- Przyptyw jest szybszy niż człowiek - odezwał się Fleming. Kiedyś dyliżanse jeździły na skrót do Barrow i wiele ludzi utonęło.

Brice spojrzął na mapę. Jeszcze czterdzieści pięć minut i będą w Barrow. Miasto położone było na skraju Krainy Jezior i krajobraz co chwila odsłaniał nowe uroki tego zakątka Anglii.

- Trudno sobie wyobrazić, że tu, na północy, walczą w tej samej wojnie.

- Pokażę ci Liverpool, jak będziemy wracać - obiecał Fleming.

Brice odłożył mapę i usiadł wygodnie, rozkoszując się ostatnimi kilkoma milami podróży. Domyślał się, że Fleming też jest zmęczony. Bentley jechał stałą prędkością czterdziestu mil, a zadowolony silnik mrucał cicho pod maską.

Nagle z tyłu rozległ się dźwięk klaksonu. Brice odwrócił się i ujrzał, że prowadzony przez młodą kobietę stare kombi pojawiło się na ich ogonie. Znów zatrąbiła i próbowała wyprzedzić, lecz nadjeżdżający z przeciwka samochód zmusił ją do powrotu na swoje miejsce. Brice uśmiechnął się do niej, lecz jej zmarszczone brwi wskazywały na daleko idącą koncentrację. Ubrana była w mundur sanitariuszki. Ładna dziewczyna.

Znów przycisnęła klakson.

- Najniebezpieczniejszą rzeczą w Londynie nie są bomby, a młode dziewczyny prowadzące karetki - powiedział Fleming, naciskając pedał gazu.

Śmiech Brice'a utonął w świcie wiatru, gdy olbrzymi samochód bez wysiłku przyspieszył do osiemdziesiątki.

Gallagher śpiewał na całe gardło, jadąc z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Doskonale zestrojony silnik motocykla przypominał swym dźwiękiem maszynę do szycia, popołudniowe słońce grzało go przyjemnie w plecy, a cały świat wydawał się przyjaźnie usposobiony. Zaczął się właśnie zastanawiać nad odpowiednim miejscem na rozbicie namiotu, gdy wydało mu się, że słyszy charakterystyczny odgłos silnika z turbodoładowaniem. Obejrzał się i nagle znalazł się pomiędzy dwoma potężnymi reflektorami króla szos. Gwałtownie odbił kierownicą w lewo i pewnie wyhamował na poboczu, zdoławszy jeszcze zauważyć sylwetkę kierowcy, nim oślepiła go gęsta chmura kurzu, ciągnąca się w ślad za potworem. Kierowca bentleya miał na rękawie faliste paski oficera rezerwy, wyglądał na pewnego siebie, odprężonego i nie zważającego na to, co dzieje się z innymi. Dokładnie jak ten drań, który we wrześniu 1920 roku w Balbriggan, niedaleko Dublina, wydał policji rozkaz, by otworzyła ogień do tłumy. Potem na bruku znaleziono wykrwawiającą się na śmierć ciało jego ojca.

Gallagher miał zamiar ruszyć z miejsca, gdy pędzące stare kombi, prowadzone przez sanitariuszkę, ominęło go zaledwie o parę cali. Westchnął ciężko, zdając sobie sprawę, że w jego zawodzie niebezpieczeństwo nadchodziło z najmniej spodziewanej strony.

Słońce już zachodziło, gdy Lillian dojechała do Grizedale Hall. Kilku jeńców, przechadzających się po podjeździe, udało przerażenie i udając, że uciekają jej z drogi, czyniło wiele szumu. Lillian nie była bynajmniej rozbawiona. Martwiła się przegrzanym silnikiem samochodu. Przez nakrętkę chłodnicy wydostawało się tyle pary, że wystarczyłoby na wysterylizowanie całego szpitala. Próba wyprzedzenia bentleya nie była najmądrzejszym pomysłem, lecz nie znosiła mężczyzn, którzy prowadzili samochód, jakby cała droga należała do nich.

Szybko rozejrzała się dookoła, czy żaden z więźniów nie patrzy i wyłączyła ukryty pod deską rozdzielczą przełącznik, który przerywał obwód zapłonu samochodu. Ojciec zamontował go specjalnie dla niej. Dzięki temu nie musiała wyjmować palca rozdzielacza za każdym razem, gdy zostawiała samochód bez opieki. Zamknęła drzwi i skierowała się do pałacu, gdy dojrzała Andersa, pchającego przed sobą taczki.

- Dzień dobry, panie Anders. Jak tam siniec?

- Chyba już znika - powiedział, stawiając taczki na ziemi.

Lillian spojrzała z troską na zakrętkę chłodnicy.

- Nigdy przedtem tak nie dymiała. Czy wszystko jest w porządku?

Miała zamiar dotknąć nakrętki, lecz Anders powstrzymał ją.

- Lepiej poczekać i pozwolić jej wystygnąć. Wtedy wiadomo, czy nie potrzebuje więcej wody.

- Nie znam się na samochodach. Chcę tylko, żeby jechały. Im prędszej, tym lepiej.

- Lubi pani szybko jeździć?

Podniosła głowę, by sprawdzić, czy nie żartuje sobie z niej, lecz jego oczy były poważne. Podejrzewała, że nie ma zbyt wielkiego poczucia humoru.

- Jeżeli lubi pani szybko jeździć, trzeba mieć dobre hamulce - powiedział porucznik. - Czy zaciągnęła pani hamulec ręczny?

- Tak. Do oporu.

Anders popchnął samochód, który przetoczył się o metr.

- Trzeba zmienić okładziny hamulcowe - zawyrokował.

- To samo powiedzieli mi w warsztacie w Barrow.

Ale zrobią mi to dopiero za miesiąc. Teraz bardzo trudno cokolwiek załatwić.

Samochód wojskowy minął kombi i zatrzymał się obok dworu koło wejścia.

- Gdyby zdobyła pani okładziny, mógłbym to dla pani zrobić - zaproponował. Roześmiała się.

- Ciekawe. Najpierw o mało pana nie przejechałam, a teraz za to pan naprawi mi hamulce - spojrzała przez ramię Andersa. Jeden ze strażników pomagał jakiemuś jeńcowi zejść na ziemię bo jego lewa ręka spoczywała na temblaku.

- Czy komendant się na to zgodzi? - zapytał Anders.

- Nie miał nic przeciw temu, gdy sprawdzał je porucznik Faulk - odparła Lillian.

Ze zdziwieniem stwierdziła, jak nowo przybyły jeńiec, po dziesięciu godzinach podróży może wyglądać tak, jakby przed chwilą wyprasował ubranie i wykrochmalił kołnierzyk. Dłonią podziękował za propozycję dalszej pomocy i swobodną ręką zarzucił sobie torbę podróżną na plecy. Gdy się wyprostował, dostrzegła szramę na jego lewym policzku.

- Nowy - powiedziała do Andersa. - Jeszcze jeden z marynarki.

Anders odwrócił się i w tej samej chwili poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Nowo przybyły uśmiechał się do niego, ale nie był to uśmiech przyjaźni lecz tryumfu.

- O Boże, przecież to Stein - wyszeptał Anders.

Pół godziny później Anders czekał przed wejściem do biura Kretschmera. Stein nie tracił czasu, pomyślał gorzko. Słyszał wewnątrz podniesione głosy spierających się mężczyzn. Drzwi otworzyły się i Faulk poprosił go do środka.

- Proszę wejść.

Stein stał przed biurkiem Kretschmera. Leymann znajdował się przy oknie, zaś kapitan siedział w fotelu zaciągając się cygarem. Anders usłyszał, jak zamykają się za nim drzwi.

- Porucznik Stein złożył bardzo poważne oświadczenie dotyczące U700 - zaczął kapitan bez żadnych wstępów. - Twierdzi, że gazety mówią prawdę, i że U700 poddała się bez walki, a pan odegrał w tym znaczącą rolę. Czy to prawda?

- Nie - odparł Anders. - Nie byłem nawet na mostku, gdy to się stało. Pan Stein tam był.

Kretschmer zwrócił się do Steina. - Czy to prawda?

- Tak - powiedział Stein, pokazując na zranioną dłoń. - Postrzelili mnie, kiedy próbowałem bronić okrętu. Był to jedyny przejaw walki ze strony U700. Kiedy potem sprowadzili mnie na dół, zaraz potem napisałem petycję, w której wszyscy członkowie załogi przyrzekli wierność porucznikowi Andersowi, jeżeli ten aresztuje kapitana Weinera i odwoła poddanie.

- Poszedłem na mostek, by go aresztować - zaprotestował Anders. - Ale było już za późno, bo

przybył na miejsce angielski trawler.

- Nie miał wcale zamiaru aresztować kapitana Weinerja - drwił Stein. - Nie sądzę, żeby miał nawet odwagę wyjąć mojego lugera z kieszeni.

- W porządku - przerwał mu Kretschmer, zanim Anders miał czas zaprotestować.

Anders i Stein milczeli, a kapitan zaciągał się cygarem. Potem wbił wzrok w twarz Andersa.

- Weiner popłynął na pokład niszczyciela w jednym z pontonów łodzi?

- Tak jest - powiedział Anders. - Nie chciał. Miał zamiar jako ostatni zejść z pokładu, żeby mógł odpalić ładunki i otworzyć zawory denne, kiedy załoga będzie bezpieczna.

- Czy taki dostał rozkaz?

- Tak. Anglicy powiedzieli, że nas pošlą na dno, jeżeli nie posłucha. - Anders spojrzał na kapitana mając nadzieję, że zobaczy w jego oczach zrozumienie, lecz nie zobaczył.

- Więc z technicznego punktu widzenia pan został dowódcą U700 - stwierdził Kretschmer.

- Nie, panie kapitanie.

Kretschmer uniósł brwi ze zdumienia.

- Przecież był pan pierwszym oficerem na U700, prawda?

- Tak. Ale gdy się poddaliśmy, dowodzenie przeszło w ręce kapitana angielskiego niszczyciela, mimo, że on sam nie był na pokładzie.

Głos Kretschmera stał się lodowato zimny.

- Był pan dowódcą U700 i nie dał pan rozkazu do walki ani nie zrobił pan nic, żeby zatopić łódź?

- Dałem rozkaz, żeby zatopić - powiedział Stein.

- A ja go odwołałem! - odciął się Anders.

- Dlaczego? - zapytał Kretschmer.

- Bo załoga nie zdążyłaby opuścić okrętu - odparł Anders. - Niszczyciel zagroził, że otworzy ogień, jeżeli ktoś z członków załogi pojawi się na pokładzie, zanim wyślą do nas swoich ludzi. Nie chciałem, żeby któryś z nich niepotrzebnie zginął.

- Nie przyszło panu do głowy, że niszczyciel właśnie tego chciał? Żebyście nie zatopili łodzi? - zapytał Kretschmer.

Anders nie odpowiedział.

- Panie kapitanie - powiedział Stein. - Mieliśmy rozkazy, żeby...

- Dziękuję, Stein - przerwał ostro Kretschmer. Dobrze wiem, co jest w rozkazach. - Przyjrzał się przez chwilę obu oficerom i zgasił cygaro w puszcze po kakao, która służyła mu za popielniczkę. - W porządku, możecie odejść. Faulk, proszę pokazać porucznikowi Steinowi jego kwaterę.

Stein spojrział nań zaskoczony.

- Nie chce. pan chyba pozwolić temu tchórzowi...

- Kiedy podejmę decyzję, Stein, dam panu znać przerwał mu Kretschmer.

Gdy został sam z Leymannem, zapalił kolejne cygaro i wydmuchnął dym pod sam sufit.

- Co o tym myślisz, Willi?

- Myślę, że będą z nim kłopoty - powiedział prawnik. - Wystarczy pierwszy rzut oka. Jak się skuma z Schumannem i Kirkiem... - Leymann nie dokończył zdania.

- W tym obozie nikt nie będzie nikogo straszył powiedział zdecydowanie Kretschmer.

- Jak sobie z tym poradzisz? Będiesz chyba musiał poprosić majora Veitch a o przeniesienie Andersa do innego obozu.

- Zrzucić komuś innemu kłopot na głowę? Posłuchaj, Willi. Na łodzi jest czterdzieści osób załogi. Jest szansa, że w jakimkolwiek obozie Anders się znajdzie, będzie jeden albo dwóch marynarzy z U700. Założywszy, że rzeczywiście poproszę majora Veitch a, czego nie mam zamiaru zrobić.

Leymann westchnął.

- To znaczy, że będziesz musiał chronić Andersa, czyli, że typki z Luftwaffe i Wehrmachtu będą ci wypominać, że robisz to po znajomości. Będą więc z tego kłopoty, a my wszyscy skończymy w obozie prowadzonym przez Polaków.

Kretschmer zaciągnął się głęboko. Leymann miał rację, trudno będzie obronić Andersa przed samosądem. Nie miał żadnego współczucia dla tchórzy, jeżeli rzeczywiście Anders był winny tchórzostwa. Lecz o tym mógł zdecydować jedynie sąd wojskowy po zakończeniu wojny.

Tymczasem, jako komendant obozu miał obowiązek zapewnić Andersowi bezpieczeństwo bez wyobcowania go ze społeczności jeńców, nie tracąc przy tym szacunku, jakim darzyli go więźniowie.

Istniało jednak rozwiązanie tego problemu w iście angielskim stylu, które pamiętał z czasów, gdy był studentem w Exeter. Było dość nieprzyjemne, lecz niewykluczone, że się uda.

- Jest trzecie wyjście - oznajmił Kretschmer.

Zapadał zmierzch, gdy Gallagher znalazł właściwe miejsce na wzgórzach Cumberland na nawiązanie łączności. Był to samotny skrawek łąki przy strumieniu, ocieniony przez potężny dąb. Wskaźnik poziomu paliwa motocykla wskazywał, że zbiornik jest na wpół pełny, co oznaczało, że znajduje się ponad dwieście metrów nad poziomem morza. Podobnie jak wiele innych instrumentów na motocyklu nie był tym, na co wyglądał.

Gallagher podprowadził motocykl bliżej strumienia, rozpakował swój sprzęt wędkarski i porozkładał na trawie. Szybko złożył z części wędkę i podłączył do niej kołowrotek z linką, którą próbował rozerwać dowódca straży celnej w Liverpoolu. Do jej drugiego końca przymocowany był ołowiany ciężarek. Gallagher zamachnął się mierząc w stronę wierzchołka drzewa. Z rolki odwinęło się około trzydziestu metrów linki. Pogratulował sobie celnego rzutu: ciężarek, ciągnąc za sobą linkę, która w rzeczywistości była izolowanym przewodem antenowym, zaplątał ją w wyższych gałęziach drzewa.

Drugim etapem operacji było zmontowanie radiostacji. Dwa kawałki drutu z motocyklowej skrzynki z narzędziami szybko zostały owinięte wokół dwóch biegunów, które przeznaczone były na dodatkowe oświetlenie, gdy motocykl ciągnął boczny wózek. Wolne końce drutów wetknął w maleńkie otwory na jednej z zapasowych rolek linki. Na koniec podłączył antenę do wolnego bieguna na prądnicy douglasa.

Wszystko było gotowe, lecz trzeba było wykonać jeszcze jedną, bardzo ważną rzecz. Na jedną z prawdziwych żyłek założył przynętę i zarzucił. Z radością patrzył, jak sępławik kołysze się na samym środku strumienia.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora nawiązania łączności. Dwie minuty przed oznaczoną godziną usiadł na składanym krześle obok motocykla, podniósł do ucha kłębek drutu, gdzie ukryta była słuchawka i przekręcił wyłącznik świateł motocykla w lewo. Do maleńkich obwodów radiowych, zalutowanych wewnątrz prędkościomierza maszyny popłynął prąd z akumulatora. Minęła minuta, nim osiągnęły odpowiednią temperaturę pracy, oznajmiając o tym delikatnym pomrukiem w słuchawce, którą przyłożył do ucha.

Trzydzieści sekund przed czasem oparł lekko palce na przycisku klaksonu motoru i patrzył na wskazówkę sekundnika, zmierzającą ku dwunastce. Gdy ją nakryła, pospiesznie wystukał swój sygnał. Impulsy pobiegły wzdłuż anteny, i rozchodząc się we wszystkie strony, dotarły do anten na wieży Eiffla, skąd po wzmocnieniu, przesłane zostały do Lorientu.

W centrum dowodzenia flotylli łodzi podwodnych dało się odczuć ulgę, gdy sygnały Gallaghiera zostały odkodowane i zaczęła je wystukiwać maszyna cyfrowa. Kneller uśmiechnął się szeroko, zaś admirał Doenitz pozostał obojętny.

- Pięć osiem jeden na cztery osiem koma jeden. odczytał z kartki jeden z mężczyzn zajmujących się odkodowaniem.

- To on - powiedział Kneller. - Wyślijcie potwierdzenie.

Gallagher uśmiechnął się z satysfakcją, gdy usłyszał w słuchawce delikatne sygnały z Lorientu. Znow zaczął nadawać z klaksonu motocykla. Był tak szybki, że w Lorientcie trzeba było wszystko nagrywać, by móc odcyfrować cały meldunek.

O pięćdziesiąt mil na południe od miejsca, gdzie rozbił się Gallagher, kapral Anderson z Korpusu Sygnałowego Piechoty na poły przysypiał w swym samochodzie, zaś towarzyszący mu kapitan ze znużoną miną przeglądał jakąś książkę. Jeden z odbiorników przed kapralem automatycznie przeszukiwał tam i z powrotem jeden zakres częstotliwości fal krótkich, który przydzielony im został na ten wieczór. Monotonnie, jedna po drugiej stacje nadawcze Europy wzbierały do crescendo i stopniowo cichły, by ustąpić miejsca innym.

Oslo - wiadomości, Londyn - ktoś szwargota po niemiecku, Kolonia - jak zwykle Wagner, Londyn tym razem po francusku. Jeszcze dwadzieścia innych stacji i znow to samo. Oslo - ...

Nagle kapral Anderson poderwał się. Wyłączył automatyczne przeszukiwanie pasma i chwycił za korbę, która obracała antenę kierunkową na dachu pojazdu.

- Jest coś, panie kapitanie - powiedział cicho. Kapitan rzucił książkę i włączył słuchawki w otwór na konsoli.

- Jakiś żartowniś na 48,1, trochę poniżej Oslo - powiedział Andersen. Przestał kręcić korbą, gdy wskazówka na mierniku przed nim poruszyła się. - Namiar trzy trzy jeden.

Kapitan nakreślił grubą, czarną linię na mapie północnej Anglii.

- Jaka współrzędna, kapralu?

- Północ, panie kapitanie. Ależ wali! Jest strasznie szybki.

Anderson próbował zapisać na kartce treść przekazu alfabetem Morse'a, lecz nie dał rady dotrzymać kroku gwałtownej fali sygnałów w słuchawkach.

- Z ziemi czy z nieba? - zapytał kapitan.

- Na pewno z ziemi. Jest tuż koło nas. Masz ci los przestał - zameldował kapral.

Kapitan wyglądał na rozczarowanego. Nie było nawet czasu, żeby wezwać centralę i zgłosić namiar triangulacyjny. Spojrzał na linię, która biegła przez mapę. Wychodziła w morze przy Barrow-in-Furness. Kimkolwiek był nadawca, musiał się znajdować gdzieś pomiędzy ich samochodem a Barrow, wszystkiego pięćdziesiąt mil. Następnego razu będą już na niego czekać. Bez względu na to, jak jest szybki.

Gallagher spakował się. Najważniejsze teraz było jak najszybciej oddalić się z miejsca nadawania. Wiedział, że angielska radiolokacja jest w porządku, górował nad nimi tylko szybkością przemieszczania się. Właśnie zerwał antenę ze szczytu dębu i miał zamiar ją schować, gdy prawdziwa linka zaczęła z głośnym świstem odwijać się z kołowrotka. Wędka, pozbawiona oparcia, przesuwała się z wolna ku strumieniowi.

Z głośnym okrzykiem Gallagher zostawił wszystko i jednym susem rzucił się w stronę znikającej wędki.

Szyfrant podał wiadomość Knellerowi.

- Jest w okolicy Barrow - powiedział. - Jutro zacznie się rozglądać za łodzią.

Doenitz wyciągnął dłoń po meldunek.

- Dlaczego podpisał się Święty Piotr? Kneller uśmiechnął się.

- Udaje rybaka. Berlin ostrzegał nas wiele razy, że ma poczucie humoru.

Gallagher nie przepadał za rybami słodkowodnymi, lecz prawie dwukilowy szczupak, którego przysmażył na swym prymusie, był znakomity i wynagrodził mu trudy rozbicia namiotu po zapadnięciu zmroku.

Gdy układał się do zasłużonego odpoczynku na pustkowiu, zerwał się zimny wiatr. Wypił kubek kakao wzmocnionego whisky i spojrzał na złowrogo szczerzącą zęby głowę szczupaka, którą włożył jako maskotkę pod reflektor motoru. Pogłaskał ją czule, nim wczuł się do śpiwora.

- Przynies mi tylko szczęście, Fergus.

Leymann miał rację, gdy mówił, że ze Steinem będą kłopoty. Przed obiadem następnego dnia każdy z jeńców w Grizedale Hall słyszał już opowieść o poddaniu U700 i o roli, jaką odegrał w tym porucznik Anders.

On sam był świadom zmienionej atmosfery, ustawiając się w kolejce po jedzenie. Ciszej stukały sztućce o talerze, brakowało także zwykłego gwaru rozmów podczas posiłków. Wyczuwał, że ma to coś wspólnego z nim i z U700.

Wziął nóż i widelec z poszczerbionej miednicy, potem skierował się do stołu z tyłu sali idąc blisko ściany, żeby uniknąć przechodzenia pomiędzy stołami. Czuł na sobie dwieście par oczu, zwłaszcza Kretschmera, Steina i dwóch olbrzymów z "Bismarcka", z którymi od razu zaprzyjaźnił się Stein.

Schulke siedział sam, oficerowie, którzy wcześniej siedzieli z nim, przesiedli się gdzie indziej. Anders usiadł naprzeciw niego i od razu zabrał się do jedzenia, chowając pod siebie kościste łokcie, starając się nie oglądać wokół siebie. Schulke zdecydował, że lepiej będzie nie odzywać się do niego.

Po drugiej stronie sali dał się zauważyć ruch. Schulke podniósł głowę i zauważył, że Stein, Schumann i Kirk wstają i niosą swoje tace do ich stolika. Bez słowa usiedli: Stein obok Schulkego, zaś Kirk i Schumann, szeroko uśmiechnięci, po bokach Andersa.

Stein zaczął dzielić na kromki przydzałowy kawałek chleba, żując powoli i spoglądając na Andersa.

- Czego chcesz, Stein? - zapytał Schulke. Stein uśmiechnął się, i nim przemówił, strzepnął jakiś niewidzialny pyłek z nieskazitelnej jak zwykle kurtki.

- Chcielibyśmy się czegoś od pana nauczyć, majorze.

- Czego? - Schulke nie był w nastroju na zgadywanki.

- Coś, co nam się bardzo przyda, skoro przez dłuższy czas mamy przebywać ze sobą.

- Czego? - zapytał rozeźlony Schulke.

- Jak jeść razem z tchórzem przy stole. Schulke zeszywniał.

- W pana wykonaniu wygląda to łatwo - kontynuował Stein, wkładając delikatnie między błyszczące zęby kolejny kawałek chleba. - No, chyba, że ciągnie swój do swego.

Schulke chwycił Steina za koszulę, lecz Anders szybko go powstrzymał.

- Zostaw go, Conrad. On tego właśnie chce.

- Zjeżdżaj, Stein - warknął Schulke. - I zabieraj z sobą swoich koleżków.

Stein nie przestawał się uśmiechać.

- Anders wie, czego chcę. Mam powiedzieć?

- Tego samego, co należało się twoim rodzicom za to, że ciebie spłodzili - odgryzł się Schulke.

Olbrzymia dłoń Kirka chwyciła Schulkego za kołnierz.

- Czy wie pan majorze, co to jest szabla bosmana? zapytał groźnym głosem.

- Nie interesują mnie w najmniejszym stopniu sprawy morskie - powiedział Schulke, uwalniając się z uścisku Kirka.

Kirk podsunął pod nos Schulkego potężny kciuk.

- To jest szabla bosmana, majorze. Chce pan zobaczyć, co potrafi?

Lewy paznokieć kciuka Kirka był przynajmniej o pół cala za długi. Przez połowę swej szerokości był zaostrowany jak brzytwa, zaś druga połowa była poszarpana jak piła, zdolna przeciąć człowiekowi tętnicę. U wprawnego człowieka, była z pewnością niebezpieczną bronią, a Schulke nie miał najmniejszych wątpliwości, że w takich sprawach Kirk jest ekspertem.

Nagle rozległo się głośnie stukanie. Faulk uderzał w stół łyżką, prosząc o ciszę.

- Panowie, pan kapitan Kretschmer chce powiedzieć parę słów.

Gdy podniósł się, zaległa cisza, na jaką mógł liczyć tylko ktoś, kto w historii ludzkości poczynił najwięcej spustoszeń na morzu.

- Poruczniku Anders - powiedział Kretschmer bez emocji. - Proszę wstać.

Anders wstał jak w transie.

- Jak wszyscy wiemy, porucznik Anders jest tutaj, bo jego łódź podwodna została zbombardowana przez

RAF - zaczął Kretschmer. - Do tej pory traktowaliśmy wersję angielską, jakoby U700 poddała się bez walki, jako propagandę wroga. Teraz wiemy, że mówią prawdę.

Przerwał. Wiedział dobrze, że nie musi mówić dalej. Słowami mógł tylko potępić Andersa. Wtedy zauważył, że Stein wraz z dwoma kanonierami z "Bismarcka" siedzi przy stole Andersa i zrozumiał, że nie ma wyboru.

- Zdecydowaliśmy, że od tej chwili żaden oficer w żaden sposób nie będzie się komunikował ani próbował komunikować z porucznikiem Andersem - spojrzał w oczy Steinowi. - I każdy, kto

złamię ten zakaz, będzie potraktowany z całą surowością regulaminu. Zwracam się teraz do porucznika Andersa i chcę, żeby mnie dobrze rozumiano, jestem ostatnią osobą, która doń mówi, aż do odwołania. Panie poruczniku, czy chce pan coś powiedzieć?

Anders powoli pokręcił głową, niezdolny wykrztusić słowa.

Cała sprawa nie podobała się Kretschmerowi, lecz miał nadzieję, że podstęp przyniesie rezultat.

Anders usiadł na krześle. Schulke był tak zaskoczony, że nie dotarła do niego pełna waga słów Kretschmera. Otworzył usta, by przemówić do Andersa, lecz usłyszał, jak Stein szepcze:

- Jedno słóweczko do niego, majorze. Jedno słóweczko...

Uśmiech Steina był ujmujący, lecz w głosie brzmiała groźba.

- Dychę - skrzywił się mężczyzna.

Gallagher spojrzął spode łba na łódkę. Na jej dnie stało całe bajoro wody, a ławki pokryte były odchodami mew.

- Powiedziałem, że chcę ją wynająć, a nie kupić mruknął.

Właściciel łodzi splunął przez falochron do morza.

- Dziesięć szylingów i jest pana na cały dzień.

- Utrzyma się tak długo na wodzie?

Dźwięk syreny z odrapanego statku, kierującego się w stronę lasu dźwigów portowych, zagłuszył odpowiedź mężczyzny. Na koniec zgodzili się na osiem szylingów na dzień, po czym właściciel niechętnie pomógł Gallagherowi załadować jego ekwipunek do skrzyń na rufie łodzi.

- Niech pan nie wypływa za "Falkusa" - ostrzegł mężczyzna, gdy Gallagher odbił od brzegu. - Kapitanat portu nie lubi, jak ktoś zapuszcza się za blisko stoczni łodzi podwodnych.

Około jedenastej słońce świeciło już na tyle mocno, że Gallagher mógł zdjąć kurtkę. Spokojnie wiosłował przez milę w stronę wyspy Walney i stoczni Vickersa. "Falkus" okazał się być starym, zardzewiałym trampem, który nadział się na minę na początku wojny, a teraz trzymał go na powierzchni tylko jego ładunek - starych książek i miazgi drzewnej.

Gallagher nie spiesząc się minął opuszczony statek i skierował się w górę wąskiego ujścia rzeki upstrzonego błotnistymi płaszczynami mielizn i wrzeszczącym ptactwem morskim, które stopniowo ustępowały miejsca dźwigom i nabrzeżom stoczni okrętów podwodnych. Gallagher złożył wędkę, zarzucił i ciągnął za sobą spławik. Potem położył się w łódce oparty o plecak, z rękami założonymi za głowę i czapką zsuniętą na oczy. Przyglądało mu się kilka par lornetek, lecz najwyraźniej zdecydowano, że nie ma po co tracić paliwa na przepłoszenie jednego drzemiącego rybaka.

Lecz Gallagher nie spał. Bacnym wzrokiem obserwował każdy metr nabrzeża i pochylni, które przesuwały się przed jego oczyma. Z początku masa popielatych okrętów wojennych i masowców zlewała się w jedno: miał kłopoty z rozpoznaniem, gdzie kończy się jeden okręt, a zaczyna, drugi. Wreszcie zdołał nadać temu, co widzi, jakiś porządek, i w otaczającym go chaosie zaczął od czasu do czasu dostrzegać niskie profile łodzi podwodnych. Naliczył pięć łodzi klasy S i jednego starego hollanda. Potem jeszcze jednego na pochylni, ale ani śladu niemieckiego okrętu. Po dziesięciu minutach stracił nadzieję, że znajdzie U700. Jeżeli nie było jej widać zacumowanej po zewnętrznej stronie statków, stojących w porcie, gdzie z łatwością mogłaby ją osiągnąć torpeda, musi powiadomić Lorient, że nie ma sensu kontynuować operacji. Trochę go to zaskoczyło, bowiem na kursach w Niemczech uczono go, że łodzie podwodne mają bardzo delikatne kadłuby ciśnieniowe, i że bardzo rzadko cumuje się je pomiędzy innymi statkami. Jeżeli U700 jest w Barrow, powinno ją być widać z morza.

Gallagher zaczął wybierać linkę, gdy zauważył podjeżdżającego na nabrzeże szarego bentleya. Był przekonany, że to ten sam, który dzień wcześniej o mało go nie rozjechał.

Gdy tylko Fleming zatrzymał samochód, Brice wyskoczył z auta. Rozejrzał się szybko po basenie portowym i z rozczarowaniem stwierdził, że nie ma ani śladu U700. Wcześniej pokazali przepustki strażnikowi, który przywitał ich w stoczni i zaprosił na pokład dodając, że za chwilę włączone zostanie oświetlenie łodzi.

Fleming uśmiechnął się.

- Jest jeszcze mały problem: gdzie jest ta łódź?

Policjant wskazał na przykryty brezentem garbaty kształt przycumowany do nabrzeża. Brice sądził wcześniej, że jest to stanowisko poboru paliwa.

- To wszystko? - zapytał Fleming z niedowierzaniem.

- Prawda? - przytaknął policjant. - Sami byliśmy zaskoczeni, kiedy ją przyprowadzili. Poczekajcie, pomogę wam ją odkryć.

Odstąpienie mostka na tyle, by Fleming i Brice mogli wspiąć się na niego, zajęło im niewiele czasu. Pierwszą rzeczą, jaką wprawne oczy Brice'a zauważyły na okręcie, był nadlew metalu, pozostawiony przez spawaczy, którzy przymocowywali osłonę przeciwbryzgową na zewnątrz wieżyczki obserwacyjnej. Spaw był pewny, ale nie oczyszczony - znak, że stocznia, goniona zamówieniami, bardzo się spieszyła.

Fleming pierwszy zszedł na dół przez właz. Zanim Brice dotarł na stanowisko dowodzenia, Fleming przyciskał już do oczu peryskop i wpatrywał się przezeń z ciekawością.

- Niebywałe - powtarzał. - Niebywałe. Przejrzyste, jak kryształ. Sprawdź sam.

Brice spojrział przez okulary. Fleming zostawił peryskop nastawiony na nie podejrzewającą niczego dziewczynę, która siedziała w słońcu na schodach jedząc kanapki. Sukienkę miała podniesioną wysoko, prawie pod biodra. Obraz był nadzwyczajnie czysty.

- Szkła Zeissa. - skomentował Brice. - Najlepsze na świecie.

Było coś doprawdy fascynującego móc patrzeć przez peryskop, zwłaszcza taki, który dawał jasny, czysty obraz bez najmniejszych zniekształceń. Obracał się też bardzo łatwo. Brice ocenił, że samotny wędkarz, siedzący w łodzi wiosłowej jest od nich oddalony przynajmniej o jakieś pół mili, a jednak bez trudu dojrzał, że mężczyzna notuje coś na kartce.

Brice wyprostował się i rozejrzał ciekawie po "wnętrzu stanowiska dowodzenia. W wyglądzie łodzi nie było nic nadzwyczajnego, lecz rozkład wnętrza był doskonale przemyślany: wszystkie przewody i rury poprowadzone były tak, żeby można było mieć do nich łatwy dostęp w razie kłopotów. Dwa najważniejsze zegary: głębokościomierz i prędkościomierz były duże i umieszczone wysoko, by można je było dostrzec bez wysiłku, i by nie zasłaniali ich siedzący na swych

stanowiskach operatorzy. Zaskoczyły go tylko niewielkie wymiary łodzi. Domyślał się, że jakiegokolwiek nieporozumienia wśród załogi musiały doprowadzić do bardzo poważnych kłopotów, co było niemal tak samo niebezpieczne, jak bomby głębinowe, eksplodujące za burtą.

- Nic dziwnego, że nie mają kłopotów z zatapianiem naszych statków, skoro tak dobrze je widzą - powiedział Fleming, znów zerkając przez peryskop. Patrząc na samotnego rybaka zastanawiał się, czy coś złapał.

Brice pomacał pieczęcie wokół drzwi wodoszczelnych.

- Jak ją nazwiecie?

Fleming przez chwilę nie odzywał się, powróciwszy peryskopem do dziewczyny.

- Nazwą ją na cześć kryptonimu operacji, dzięki której znalazła się tutaj. HMS "Graph". Brice badał głębokościomierz.

- Popatrz, te łupiny mogą zejść na ponad dwieście metrów - czyli ponad sześćset stóp. Dwa razy głębiej, niż nasze. Wasze zresztą też.

Fleming wzruszył ramionami.

- Ale nie prześcignie mojego bentleya.

- Łodzi podwodnych nie projektuje się jak samochody. - zauważył Brice, rozglądając się znów po stanowisku dowodzenia. - Wiesz, jeszcze nie mogę uwierzyć, że patrzę na niemiecką łódź podwodną.

Fleming przestąpił przez próg wodoszczelnych drzwi.

- Chodź, popatrzymy sobie na torpedę. Może wtedy uwierzysz.

Brice ostrożnie odkręcił wieko z boku głowicy pocisku, pod którym znajdowały się regulatory i poświecił latarką do środka. Fleming, rozparty na jednej z koi, patrzył na niego z niepokojem.

- Jesteś pewien, że nie rąbnie? Sam wygląd tych zabawek sprawia, że dostają gęsiej skórki. Nigdy dotąd nie widziałem z bliska nic podobnego, co tak zdecydowanie ma ochotę na wielkie bum.

Brice potrząsnął głową.

- Nie działa tak jak mina. Niemcy nie mogli przewidzieć, że wpadnie w ręce wroga, więc z pewnością nie podłożyli żadnych ładunków - wyjął z torby aparat fotograficzny i przyczepił lampę błyskową.

- Wy, naukowcy, zadziwiacie mnie czasem - podjął Fleming. - Ani na jotę nie przypominacie facetów z książek. Nie macie żadnych skrupułów i kradniecie sobie wzajemnie pomysły.

Brice sprawdził ostrość.

- Nie znalazłem aparatu fotograficznego, ale nie przeszkadza mi to go używać. Po co się męczyć i odkrywać coś, co już odkryto? Można się wtedy skoncentrować nad ulepszaniem pomysłu.
- Rozumiem - przyznał Fleming.
- Moim zadaniem jest dać marynarce amerykańskiej najlepszą torpedę na świecie.
- Czy to ci w czymś pomoże?
- Zapytaj mnie za kilka tygodni. Fleming założył dłonie za głowę.
- Nie masz zbyt wygórowanych ambicji, kolego. A moje są jeszcze niższe - zarobić trochę forsy.
- Jeżeli o mnie chodzi, to nieźle mnie ogoliłeś skomentował gorzko Brice. Anglik zachichotał.
- Nie chodzi mi o hazard, to jest dobre dla głupców. Są inne sposoby. I miłsze miejsca po temu.
- Jakie? - zapytał Brice, wycelowując aparat w torpedę. \

Fleming zamknął oczy}

- Z jakiegoś powodu przychodzi mi do głowy Jamajka.

Brice zrobił zdjęcie, potem zajął się zapasową głowicą, która leżała na drewnianej podstawie. Dotknął jej czubkiem buta.

- Ta jest konwencjonalna, detonuje, gdy uderzy w burtę statku. Miałeś chyba rację, mówiąc, że Niemcy nie mają zbyt dużo głowic magnetycznych.

Tego samego dnia po południu, koło strumienia na wysokich wzgórzach w pobliżu Barrow, Gallagher uważnie wydarł kartkę ze swego notatnika i ostrożnie podgrzał nad prymusem, by wywołać obraz wykonany atramentem sympatycznym. U góry strony znajdował się szkic, który tego dnia zrobił podejrzaną łodzi w Barrow. Środek kartki był pusty.

Poruszając kartką nad płomieniem prymusa, spoglądał w napięciu na jej środek. Wkrótce pojawiły się delikatne linie. Potem zaczęły stawać się coraz grubsze, ujawniając detale, które kończyły schemat: dokładne odwzorowanie okrętu podwodnego klasy VII C. Wszystko zgadzało się ze szkicem, który zrobił z łódki. Okręt podwodny, zacumowany w Barrow, był bez wątpienia niemiecki.

A jedyną niemiecką łodzią, która mogła się tam znajdować, była U700.

Upuścił kartkę na syczący palnik i uśmiechnął się do głowy szczupaka, nadal szczerzącej kły spod lampy motocykla.

- Fergus, chłopcze. A jednak przyniosłeś mi szczęście.

Poklepał z uśmiechem głowę ryby i zmierzył wzrokiem olbrzymi wiaż w poszukiwaniu odpowiedniej gałęzi na zaczepienie anteny.

Jak już się stało zwyczajem, szmer rozmów umilkł, kiedy Anders pojawił się w sali jadalnej.

Żadna głowa nie odwróciła się, gdy podszedł do kolejki. Anders wziął swoją tacę z posiłkiem i odnalazłszy wzrokiem stół, przy którym na jednej z długich ławek były trzy wolne miejsca, podszedł z wahaniem w jego stronę. Siedzących przy stole sześciu oficerów Luftwaffe jak jeden mąż wstało i rozeszło się w milczeniu po sali.

Anders usiadł przy pustym stole i zaczął jeść.

Kretschmer był zły na to, jak interpretowane są jego instrukcje. Zakaz odzywania się do Andersa nie oznaczał, że należy go traktować jak trędowatego. Zastanawiał się, jak mógłby zmienić formułę swego rozkazu, wreszcie zdecydował, że nie jest to możliwe.

- Przynajmniej nikt mu nie zrobił krzywdy - zauważył Leymann, jak gdyby czytając w myślach Kretschmera.

Jedynym mężczyzną, który bardzo wstydził się tego, co przez ostatnie sześć dni zaszło w obozie, był Conrad Schulke. Wreszcie podjął decyzję, że będzie jadł przy tym samym stole, co Anders. Stwierdził, że nie będzie to wbrew rozkazowi Kretschmera. Wziął swą tacę z jedzeniem i przysiadł się do Andersa. Rzucając Steinowi harde spojrzenie, odpowiadając na jego wzrok pełen nienawiści, usiadł naprzeciwko Andersa i dokończył posiłek.

- Majorze, bardzo pan kogoś zmartwił - powiedział Stein, przyglądając się, jak Schulke wykopuje ziemniaki. Schulke przerwał pracę.

- Kogo?

Stein skinął na Kirka, który stał obok. Olbrzymi kanonier uśmiechnął się krzywo do Schulkego.

- On myśli, że specjalnie nie wykonuje pan rozkazu komendanta - zauważył Stein, strzepując pyłek z temblaka.

Schulke spojrział z nie ukrywaną pogardą na olbrzymiego kanoniera i zastanawiał się, jak taki oprych mógł zostać oficerem. Jego dłonie wydawały się móc wiązać uliczne latarnie w supły.

- Jeżeli pański przyjaciel tak sobie pomyślał, to mogę jedynie przypuszczać, że jest tak głupi, na jakiego wygląda - powiedział Schulke wracając do pracy, Kirk zrobił krok do przodu i starannie wybrał z kupki największego ziemniaka. Wysunął do przodu dłoń, która przypominała kiść bananów i zaczął zaciskać palce. Schulke patrzył jak zahipnotyzowany, jak palce Kirka bieleją z wysiłku. Po chwili woda z miazdzonego ziemniaka zaczęła ciec między palcami olbrzyma. Kirk powoli otworzył dłoń, pokazując masę, która kiedyś była ziemniakiem.

- Jeżeli przysiądzie się pan jeszcze raz do Andersa, następnym razem nie będzie to ziemniak - ostrzegł

Stein.

Major, który sam nie był zbyt imponującego wzrostu, patrząc za odchodzącymi mężczyznami musiał przyznać, że się przestraszył.

Lillian Baxter zamykała właśnie okno gabinetu, gdy zauważyła Andersa. Zwykle po dwóch więźniów pracowało na jednej działce, ale Anders był sam, sadząc zimowe sadzonki kapusty. Zorientowała się, że od kilku dni nie widziała, żeby pracował razem z kimś innym.

Z drugiego końca ogrodu wyszli Stein i Kirk. Kirk pchał taczki. Nagle obaj się roześmiali z jakiegoś żartu. Na dźwięk ich głosów Anders podniósł głowę. Ku zaskoczeniu Lillian, Stein i Kirk zeszli ze ścieżki depreczając pracę Andersa.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: Anders chwycił widły i rzucił się na Steina. Kirk odepchnął widły na bok i zamachnął się, nie trafiając w Andersa, który wziął w dłoń garść ziemi i rzucił ją w oczy Kirka. Olbrzym krzyknął ze złością i trafił swego przeciwnika pięścią w twarz. Pozostali jeńcy przerwali pracę, lecz żaden z nich nie ruszył się, by ich rozdzielić. Stein prawą ręką chwycił Andersa za gardło, podnosząc go z ziemi. Nagle jak spod ziemi wyrósł Schulke z grabiami i z całej siły uderzył trzonkiem w dłoń Kirka, która szykowała się do ciosu w twarz Andersa.

Nim Lillian doszła na miejsce zdarzenia, trzymając apteczkę, sześciu strażników prowadzonych przez sierżanta Rogersa przerwało bijatykę. Lillian dostrzegła następną kompanię strażników, z bronią gotową do strzału, wynurzającą się zza ogrodzenia, które dochodziło do jeziora. Jeńcy zamieszani w bójkę opuścili miejsce, zostawiając Andersa leżącego na środku grządki.

- Co się stało? - zapytała Lillian sierżanta Rogersa.

- Chcieli odwrócić naszą uwagę - odparł podoficer, wskazując na swych żołnierzy, sprawdzających ogrodzenie. - Dlatego moi ludzie są już na miejscu. Zawsze należy patrzeć w przeciwną stronę, kiedy dzieje się coś takiego.

- Dla mnie to wyglądało trochę inaczej. Zajmę się teraz tym - zbliżyła się do Andersa.

- Ja bym się nie przejmował. To prowodyr - powiedział Rogers, odchodząc.

Anders stanął na nogi i schylał się, by pozbierać kilka nie uszkodzonych sadzonek. Lillian schyliła się i podała mu roślinkę z jednym nadłamanym listkiem.

- Myślę, że ta też jest w porządku. Anders wziął ją i nie odezwał się.

- Czy miał pan odwrócić uwagę strażników? - zapytała.

Anders nie patrzył na nią.

- Oczywiście.

Lillian zorientowała się, że dalsze wypytywanie nie ma sensu i zmieniła temat.

- Mam nowe okładziny do hamulców. Major Veitch powiedział, że może pan je założyć, jeżeli komendant Kretschmer nie będzie miał nic przeciwko temu.

Anders nie odrywał wzroku od wyrwanych z korzonkami sadzonek.

Lillian wstała.

- Nie musi pan, jeżeli pan nie chce.

Anders spojrzał na nią.

- Chcę - powiedział niepewnie. Potem uśmiechnął się. - Tak, bardzo chcę.

W Loriencie ostry, październikowy wiatr hulał po pustej płycie lotniska, grając na drutach telegraficznych, które przebiegały za płotem ogradzającym bazę w pobliżu hangarów.

Doenitz przyglądał się przez lupę pęknięciu w podwoziu junkersa. Paliwo, wpompowane przed chwilą do dodatkowych zbiorników maszyny, było teraz odsysane na powrót przez rury do cystern.

- Zamyka się.

Kneller i Goder podeszli i spojrzeli bliżej na niknącą szparę, gdy junkers zrzucił nadmiar ładunku.

Doenitz wyprostował się i włożył dłonie do kieszeni ciepłej kurtki. Spojrzał na kilka ciężkich metalowych belek, odpowiadających wagą torpedzie, które Goder zawiesił między kołami samolotu.

- Miałeś szczęście, że usłyszałeś pęknięcie, zanim zacząłeś próby w powietrzu.

Goder przytaknął. Wolał nie myśleć, co by się stało gdyby podwozie pękło przy pełnych zbiornikach z paliwem.

- Czy macie zapasowe wsporniki? - zapytał Doenitz.

- Tak, panie admirale - odparł zasępiony pilot. Założyć nowe to żaden problem, ale nie mamy pewności, że się to nie powtórzy.

- Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciepło i porozmawiajmy o tym nad kawą - zaproponował Doenitz.

Goder z wdzięcznością zamknął dłonie wokół parującego garnuszka i czekał, aż Doenitz odezwie się pierwszy. Kneller z admirałem studiowali właśnie z uwagą plany bardzo zmodyfikowanego systemu zasilania paliwem. Minęło dobrych parę chwil, nim admirał przemówił.

- Ile mieliście jeszcze wpompować, kiedy pojawiło się pęknięcie?

Goder odłożył garnuszek i przysunął notatnik.

- Trzysta litrów, panie admirale. Doenitz potarł w zamyśleniu podbródek.

- Więc nie jest wykluczone, że gdybyście załadowali mniej o sześćset litrów paliwa, junkers miałby wystarczający margines bezpieczeństwa?

Goder uśmiechnął się lekko.

- Panie admirale, proszę nie myśleć, że sobie żartuję, ale to szaleństwo mówić w jednym zdaniu o tym samolocie i jakimkolwiek marginesie bezpieczeństwa.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - powiedział ostro Doenitz.

Goder zastanowił się przez chwilę.

- Mniej paliwa o sześćset litrów umożliwi nam oderwanie się od ziemi i to wszystko. Potrzebujemy każdej kropli paliwa, jeżeli mamy znaleźć tę łódź.

- Ale teraz macie jej dokładną pozycję - zauważył Kneller.

Goder uderzył palcem w wykres w swym notatniku.

- Obliczyłem nasze zapotrzebowanie na paliwo z dokładnością do łyżeczki od herbaty. Sześćset litrów potrzebne nam będą na niespodziewane korekty kursu. - W głosie pilota zabrzmiała nutka zdenerwowania. Rozłożył mapę i pokazał na trasę lotu, zaznaczoną grubym ołówkiem. Wyglądała jak olbrzymi półokrąg, który wybiegał na Atlantyk od północnego zachodu, opasywał Irlandię i na północ od Ulsteru zakręcał znów w stronę Anglii. Do Barlow miał dotrzeć z północnego zachodu. Gruba linia na mapie przypominała gigantyczny, odwrócony znak zapytania.

- Dwa tysiące kilometrów, panie admirale. Gdybyśmy mogli polecieć prostszą drogą...

- Nie - uciął Doenitz. - Zestrzeliłyby was myśliwce, zanim zdążylibyście dolecieć nad Anglię. Nad Irlandią nic wam nie grozi.

- Ale to bardzo trudna trasa - zauważył Goder. Przez cały czas będziemy musieli robić korekty kursu. Lot nocą, bez żadnych znaków rozpoznawczych i duże prawdopodobieństwo mgły w okolicy celu.

Doenitz nagle zdał sobie sprawę jak nieprawdopodobne zadanie postawił przed Goderem. Młody pilot marynarki wojennej miał bardzo niewiele doświadczenia w lotach nocnych i z pewnością nigdy nie leciał czterech tysięcy kilometrów bez przerwy. Ponadto będzie miał do dyspozycji bardzo niebezpiecznie osłabioną i przeładowaną maszynę, od której wymagano rzeczy zupełnie nieprawdopodobnej.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy trzej pochylili się nad mapą.

- Jest jedna rzecz. - zaczął Doenitz. - A gdyby tak udało mi się załatwić wam sygnał radiowy z okolicy łodzi z przerwami co kwadrans przez trzy godziny przed waszym spodziewanym osiągnięciem celu?

Kneller z początku wyglądał na bardzo zdziwionego, a Goder zapytał z zainteresowaniem:

- Coś jak naprowadzanie radiem?

- Czy zrobiłoby wam to jakąś różnicę?

Wtedy Kneller zrozumiał, o co chodzi Doenitzowi. Otworzył usta, lecz admirał uciszył go miazdzącym spojrzeniem.

- No cóż... - zaczął Goder, przygryzając palce. Co piętnaście minut, przez trzy godziny. Tak,

panie admirale, bardzo by nam to pomogło. Moglibyśmy lecieć prosto do celu.

- Wystarczy wam paliwa?

- Tak. Moglibyśmy zrezygnować z jednego z dodatkowych zbiorników.

- Dziękuję - powiedział Doenitz. - Czy mógłbyś nas zostawić na parę minut samych? Goder wstał i wyszedł z pokoju.

- Panie admirale - zaczął rozgorączkowany Kneller. - Czy zdaje pan sobie sprawę, na co... Doenitz przerwał mu ostro:

- Jeżeli Gallagher nie chciał ryzykować, nie podjąłby się w ogóle tej pracy.

- Ale zgadzał się tylko na konieczne ryzyko - zaprotestował Kneller. - Nie może zmieniać częstotliwości nadawania. Jediną jego nadzieją jest zdolność przemieszczania się. Rozkaz transmitowania przez trzy godziny co piętnaście minut z tego samego miejsca jest równoznaczny z wyrokiem śmierci na niego.

- Chcę, żeby U700 została zniszczona, zanim Anglicy zorientują się jak głęboko może się zanurzać, i zanim przeprojektują swoje ładunki głębinowe! Bezpieczeństwo moich łodzi podwodnych liczy się przede wszystkim!

Kneller nie odpowiedział.

- Sygnał od Gallaghery nie będzie musiał być silny, żeby go wyłapał znajdujący się blisko samolot - ciągnął Doenitz tonem perswazji. - Nie będzie potrzebował anteny, a nadawanie podczas jazdy motorem chyba nie wychodzi poza jego wyobraźnię.

Kneller, wpatrując się w ścianę po drugiej stronie pokoju, wreszcie skinął głową.

- Jeszcze dziś wieczór prześlę mu instrukcje.

Tego samego dnia, tuż przed czwartą po południu Gallagher ustawił swą radiostację na wzgórzu i usiadł na rozkładanym krześle z słuchawką przyciśniętą do ucha.

Był przekonany, że to jego ostatnie zadanie, dostarczył już przecież swoim zleceniodawcom więcej niż dość informacji. Jeżeli dopisze mu szczęście, będzie mógł spędzić resztę urlopu w Anglii i trochę po wędkować.

Gdy czekał, miał wrażenie, że głowa szczupaka przygląda mu się bacznie. Dokładnie o czwartej Lorient zaczął nadawać. Gallagher wystukał guzikiem klaksonu swój numer identyfikacyjny i przekazał meldunek.

Lecz Lorient powtarzał ciągle "555". Gallagher zmarszczył brwi. Kod ten zwiastował dłuższą wiadomość, co oznaczało, że powinien przygotować kawałek papieru i ołówek. Zaczął się denerwować, bo dłuższa wiadomość mogła oznaczać dłuższą odpowiedź, co drastycznie zwiększało

niebezpieczeństwo namierzenia go przez angielskie stacje radiolokacyjne. Po chwili był gotów. Spisanie całej treści przekazu zajęło mu trzy minuty. Gdy Lorient zaczął powtarzać wiadomość, Gallagher miał prawie całą kartkę pokrytą grupami liczb. Pozwolił im kontynuować, zaś sam zajął się odcyfrowywaniem depeszy, używając do tego celu książki o wędkarstwie, w której posiadaniu były obie strony. Kod był prosty i znacznie mniej niebezpieczny niż dawanie agentowi do dyspozycji całej strony kodowej. Gallagher przeszedł do trzeciej linijki, gdy powoli zaczęło doń docierać, czego chcą. Przestał pisać, a po plecach przebiegł mu dreszcz. Gdy kończył odkodowywanie depeszy, dłonie trzęsły mu się nie na żarty. Dźwięki w słuchawkach umilkły. Palce Gallaghiera powędrowały do przycisku klaksonu i zawahały się. Wiedział, że się nie myli: polecenie było jasne. Pozostać w pobliżu U700 i co kwadrans nadawać...

Wilgotnymi od potu dłońmi podniósł słuchawkę, która ześliznęła się na trawę i piszczała teraz rozkazująco-przynaglającym tonem. Przyłożył ją sobie do ucha. Pytali, czy zrozumiał, czy wykona rozkaz. Proszę o potwierdzenie odbioru. Proszę o potwierdzenie odbioru...

Gallagher nie widzącymi oczyma przez długą chwilę spoglądał na tańczący feerią odblasków słońca strumień, po czym drżącymi palcami sięgnął do klaksonu.

Samochód radiolokacyjny znajdował się o dwadzieścia mil na wschód od Gallaghera. Kapitan odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko do kaprała Andersena.

- Mam dla pana współrzędne, kapralu: jeden siedem zero na północnej.

Andersen wyjął kątomierz, ustawił żądany kąt i dokręcił śrubę. Położył podstawę przyrządu na prostej linii marginesu mapy i przesunął go do chwili, gdy podziałka kątomierza wskazała położenie drugiego samochodu radiolokacyjnego. Potem z pomocą podstawy kątomierza nakreślił linię, która przecięła już istniejącą, pochodzącą z poprzedniego pomiaru.

Kapitan skinął głową z zadowoleniem.

- Przeszukać wszystkie domy w okolicy w promieniu dwóch mil od tego punktu. Może nam się poszczęści i znajdziemy nadajnik. Jaka jest moc sygnału?

- Siedem, panie kapitanie. Kapitan podrapał się w podbródek.

- Jedyńka dała taki sam odczyt. To oznacza., że nasz przyjaciel używa wysokiej anteny niekierunkowej. Powiedziałbym, że rozpiętej na kominie. Nie powinien być zbyt trudny do odnalezienia.

Andersen przyjrzał się kartce pokrytej cyframi.

- O co w tym chodzi, panie kapitanie?

- Prześlę to do generała Scotta, ale wątpię, czy uda im się go złamać. Używają chyba jednorazówki. Nagle uśmiechnął się.

- Jedyńka i my ruszamy bliżej do Barrow. Następnym razem, jak zacznie nadawać, będziemy go

mieli w promieniu dziesięciu metrów.

Gallagher spojrzał na głowę szczupaka. - Fergus, chłopcze mój. Patrzysz na trupa. Głos jego przepełniony był bardziej smutkiem niż strachem.

Stein powoli odliczał. Minęło siedem sekund, nim oślepiający snop reflektora powrócił do Grizedale Hall jak kometa i jasnym światłem nappełnił pralnię na parterze.

- Dwie sekundy dłużej, niż godzinę temu - zauważył Schumann. - Widzicie? Angole się zmęczyli i nie są tak dokładni, jak zwykle.

Kolejny błysk pojawił się i zniknął, pozostawiając cień w oczach Steina.

- Oszaleli, czy co? Dlaczego nie założą oświetlenia na stałe?

- Próbowali - powiedział Schumann chichocząc. Ale kradliśmy im kable. Teraz dziewięć sekund. Na co jeszcze czekamy?

Kirk podniósł się w milczeniu z podłogi, gdzie siedział, jak olbrzymi Budda. W dłoni trzymał zwój płótna, wewnątrz którego coś metalicznie zadzwieczało. Olbrzym obnażył zęby w oczekiwaniu.

Trzech mężczyzn nakryło głowy czarnymi, wełnianymi czapkami z wyciętymi otworami na oczy.

- W porządku - powiedział Stein, ostrożnie otwierając zaczep okna. - Wykończymy go.

Było już dość ciemno, gdy Anders skończył zmieniać okładziny hamulcowe na tylnym kole samochodu Lillian. Spojrzał na zegarek i zdecydował, że dziś nie powinien zajmować się zakładaniem bębna. Za pół godziny musi być z powrotem na kwaterze. Wytarł dłonie i z dumą spojrział na swe dzieło.

Oprócz posiłków, które nadal były okropne, brak towarzystwa bynajmniej mu nie dokuczał. Otrzymał to w spadku po samotnym dzieciństwie. Rodzice, zajęci od rana do wieczora we własnej piekarni, nie mieli wiele czasu na zaspokojenie potrzeb niezbyt wymagającego chłopca, który wydawał się zupełnie zadowolony z życia, jeśli tylko mógł spędzać całe godziny w bibliotece.

Anders znakomicie radził sobie w szkole, jednak trochę utrudniał mu życie brak wiary we własne siły. Wyniki w nauce uważał nie za dowód własnych umiejętności, lecz raczej za dowód niskiego poziomu nauczania w szkole. W związku z tym ustawiał sobie poprzeczkę bardzo wysoko, a potem cierpiał, myśląc, że inni po cichu naśmiewają się z niego, kiedy nie udawało mu się osiągnąć celu. Prześladował go ciągły strach przed ośmieszeniem. Nigdy nie grał w gry zespołowe obawiając się przynieść zawód swojej drużynie. Grał w szachy, ale tylko dlatego, że w samotności nauczył się na pamięć wszystkich otwarć i poczuł się pewnie, zanim wyszedł na arenę współzawodnictwa. Łatwo pokonał swego pierwszego przeciwnika - dyrektora szkoły - w piętnastu posunięciach, po czym wmówił sobie, że nauczyciel umyślnie pozwolił mu zwyciężyć, żeby ochronić jego uczucia. Dla Andersa zwycięstwa były tak samo miazdzące jak porażki.

Jego ojciec miał za sobą służbę na łodziach podwodnych w pierwszej wojnie światowej i miło wspominał atmosferę przyjaźni, jaka istniała między członkami załóg. Gdy nadeszła wojna, stwierdził, że jego wrażliwy syn będzie się czuł lepiej w nowej formacji okrętów podwodnych niż w świecie ostrej dyscypliny, którym była służba na wielkich okrętach wojennych.

List z rozkazem stawienia się w szkole w Kilonii przyszedł w bardzo nieodpowiednim momencie, bowiem właśnie nawiązywała się między nim a ojcem delikatna nić porozumienia. Wraz z powołaniem Bernarda do wojska została zerwana, zaś krótkie urlopy Andersa nie wystarczały na podtrzymaniu wzajemnego zaufania, które na tak krótko między nimi zakwitło.

Zerwanie z domem w takim momencie oznaczało, że Anders podświadomie zwróci się do Weinerja, szukając w nim utraconego po dwakroć ojca: pierwszy raz w dzieciństwie i powtórnie po wybuchu wojny.

Kim był teraz? Samotnym jeńcem w obcym kraju, wyklętym przez niegdysiejszych towarzyszy broni. Rozkaz Kretschmera wypełniany był co do joty. Jediną osobą, która odzywała się do niego, był oficer angielski wyczytujący jego nazwisko na apelach porannym i wieczornym.

Anders żył ze świadomością, że winien jest zaniedbania na stanowisku bojowym przy peryskopie U700, co doprowadziło do utraty zaufania Weinerja. A potem, wziął jeszcze ze sobą załadowanego lugera i wycelował nim w swojego kapitana. Kiedy Weiner odwrócił się i zobaczył broń, w jego oczach pojawił się dziwny wyraz smutku, który na zawsze wyrył się w pamięci Andersa i odzwierciedlał jego najskrytsze uczucia względem siebie. Naprawdę jest nieudacznikiem, godnym pogardy tchórzem i co najgorsze, zdrajcą.

Było już kilka minut po dziewiątej. Anders zadrżał, wrzucając klucze do skrzynki. Bał się nocy w baraku. Dlatego zawsze musiał być pierwszy w swoim łóżku, skulony, z nogami pod brodą i kocem naciągniętym na głowę.

Nagle od strony strychu rozległo się skrzypienie. Dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejsze. Anders podszedł ku stromym schodom, prowadzącym na strych. Po kolejnym skrzypnięciu rozległ się stłumiony dźwięk, jakby przesuwania czegoś ciężkiego. To nie mogły być szczury. Puls Andersa przyspieszył.

- Kto tam?

Odpowiedziała mu cisza. Miał właśnie zamiar postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy rozległ się świst przecinanego powietrza. Koniec szabli domowego wyrobu uderzył w stopień na wysokości jego oczu i wbił się w drewno.

Nim Anders zdążył zareagować, olbrzymi kształt przewrócił go na ziemię. Nie mógł też krzyczeć, bo olbrzymia dłoń nakrywała mu usta.

- Jeden dźwięk, a wykrwawisz się na śmierć jak świnia - usłyszał przy uchu gardłowy głos. - Rozumiesz? To Kirk przykładł mu do szyi swój paznokieć.

- Tak - zdołał wycharczeć Anders.

Potężne pchnięcie posłało go pod chłodnicę samochodu. Trzech ubranych na czarno, zamaskowanych mężczyzn podeszło powoli do niego. Sylwetka w środku była niższa od pozostałych

i miała lewą dłoń na temblaku. W prawej trzymała dwie szable, z których jedną rzuciła na betonową płytę koło Andersa.

- Podnieś.

Anders potrząsnął głową, rozpoznając napastników.

- Nie będę z tobą walczył, Stein. Stein podszedł do przodu i przycisnął stal szabli do skroni Andersa.

- Będiesz. Wszystko przemawia na twoją korzyść Stein pokazał mu temblak. - Warunki w sam raz dla tchórza.

Anders spojrział z pogardą na Kirka i Schumanna, stojących po obu stronach stajni. Wyglądali jak dwa goryle, gotowe rozedrzeć go na strzępy pod byle pretekstem.

- Masz sekundantów... - wykrztusił Anders. Stein pomachał ostrzem pod brodą Andersa.

- Nie będą się wtrącać.

- Nie będę z tobą walczył - powiedział Anders z uporem. Oparł dłonie na kamiennych płytkach, by się podnieść i palce prawej dłoni dotknęły broni.

Był to błąd. Pojedynek zaczynał się w momencie gdy przeciwnik dotyka broni. Anders spojrział w górę i zobaczył, jak stalowe ostrze nieubłaganie zbliża się do jego gardła.

Lillian wydeła wargi do lustra opartego o szafkę z lekarstwami i stwierdziła, że szminki zostało jej zbyt mało, żeby marnować ją na udoskonalenie łuku ust. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. David, jej narzeczony, obiecał zabrać ją po drodze do Barrow. Bardzo dokuczał jej brak własnego auta - oznaczał bowiem niemal codzienne spory z Davidem. Trudno... Ostatni sprawdzian, czy szwy leżą równo na ostatniej parze pończoch i można zamknąć za sobą drzwi. Słyszała ciche brzmienie chóru, który odbywał próbę w głównym holu. Niemcy potrafili jednak śpiewać. Wysokie obcasy zastukały na lśniącej czystością linoleum. Na zewnątrz było ciemno. Przez moment żałowała, że nie posłuchała rozkazu i nie poprosiła o eskortę do głównego wyjścia, lecz z niemieckimi jeńcami nigdy nie było żadnych kłopotów. Zawsze traktowali ją z szacunkiem. Sierżant Rogers twierdził, że żołnierze niemieccy zachowują znacznie dalej idącą dyscyplinę wobec kobiet, niż Anglicy.

Anders rzucił się na bok i ostrze szabli Steina zazgrzytało na betonowych płytach, gdzie przedtem leżał. Odpowiedział mu szybkim ciosem nóg i ku swemu zaskoczeniu poczuł, że trafił w łydki Steina.

Stein potknął się i zaczął upadać, nagle zdając sobie sprawę, że temblak przeszkadza mu bardziej, niż się spodziewał. Próbował się podeprzeć, jednak koniec ostrza zaklinował się w pęknięciu płyty, i nie wytrzymując jego ciężaru, odłamał się o piętnaście centymetrów od końca. Zraniona ręka trafiła w reflektor. Ból, który przeszył mu ramię, był tak intensywny, że myślał, iż zemdleje. Odzyskał świadomość na czas, by odparować nieudane pchnięcie Andersa. Szybkość, z jaką Anders doszedł do siebie, zaskoczyła Steina. Nim stanął pewnie na nogach, musiał odeprzeć

jeszcze dwa uderzenia. Martwiła go krótkość własnej broni - Anders miał przewagę piętnastu centymetrów, co dla doświadczonego szermierza praktycznie przesądzało wynik walki.

Stein znalazł lukę w obronie Andersa, lecz ten odbił jego ostrze na bok. Było to znakomite cięcie. Gdyby Anders był lepszym szermierzem, Stein byłby skończony. Mimo, że górował nad nim techniką, przestraszył się nie na żarty.

Odskoczył do tyłu, pracując lekko na palcach nóg, i szybko markował ciosy, chcąc zbić Andersa z tropu i dać sobie czas na zastanowienie. Zauważył, że Anders nie trzyma prawidłowo broni, i podjął próbę rozbrojenia przeciwnika. Zrobił ruch, umyślnie otwierając się na sztych. Anders zauważył to i rzucił się do przodu. Stein uchylił się zgrabnie i z całej siły uderzył z góry na wysuniętą daleko do przodu szablę Andersa.

Ramię Andersa zdrętwiało jak rażone prądem, i szabla upadła mu na kamienną podłogę. Próbował ją podnieść, lecz Stein przesunął ją kopniakiem w stronę samochodu. Gdy Anders rzucił się za nią, potknął się i upadł koło drzwiczek samochodu.

Stein zdjął maskę i uśmiechnął się wąskimi bladymi wargami. Rzucił Kirkowi swoją złamaną szablę i podniósł broń Andersa.

- Nawet nieźle walczysz jak na tchórza - powiedział i dał znak Kirkowi i Schumannowi. - Biercie go.

Dwóch wielkich jak niedźwiedzie oficerów zdjęło czapki. Uśmiechając się szeroko, Kirk podszedł powoli do Andersa, przebierając olbrzymimi palcami.

Anders wstał i zaczął się cofać przed olbrzymem, nie widząc, że od tyłu zachodzi go Schumann. Gdy chwycił go za ręce i wykręcił, było już za późno.

- Na maskę - polecił Stein sucho.

Kirk rzucił Andersa na samochód, z głową koło chłodnicy. Schumann założył nogi ofiary za zderzak. Okrzyk bólu Andersa został stłumiony przez dłoń Kirka.

Stein stanął nad Andersem i oparł ostrze szabli na jego brzuchu.

- Nie martw się, Anders - powiedział z chłodnym uśmiechem. - Nie zabiję cię. Ale będziesz ostatnim z rodu tchórzy.

Z tymi słowy przesunął w dół poszczerbionym ostrzem szabli.

Lillian przechodziła koło drzwi stajni, gdy usłyszała jęk. Marszcząc brwi podeszła do podwójnych drzwi. Były zamknięte. Zajrzała przez szparę w drzwiach. Minęło parę sekund, nim zorientowała się, co dzieje się w środku.

Dwóch mężczyzn stało po obu stronach samochodu i wydawało się trzymać coś na masce. Trzeci był do niej odwrócony tyłem i miał w dłoni szablę.

Nie namyślając się dłużej, Lillian zaczęła walić pięściami w drzwi i wzywać pomocy.

Major Veitch wziął ze stołu dwie szable i ze złością podetknął je pod sam nos Kretschmera. Niemiecki oficer nie poruszył się, mając oczy wbite w Anglika.

- A co pan powie na to? - zapytał Veitch . - Czy wie pan, jakie są ostre? Czy naprawdę oczekuje pan, że uwierzę...

- Panie majorze - przerwał mu spokojnie kapitan. Jest to nasz wewnętrzny problem dyscyplinarny i daję panu słowo, że nie ma w obozie miejsca na żadne terroryzowanie jeńców ze strony byłych nazistów.

Veitch z pogardą rzucił szable na stół.

- Jeden z nich o mało nie został wczoraj zabity.

- To był pojedynek. Nic więcej.

- Pojedynek? Czy tak zachowują się cywilizowani mężczyźni w pana kraju?

Nawet mięsień nie drgnął na twarzy Kretschmera. Patrzył twardo bez zmrużenia powiek na majora, aż Veitch zmuszony był spuścić wzrok.

- Jest to przejaw tradycji i nikt, jak pan widział, nie został skaleczony.

Veitch potrząsnął głową.

- Siostra Baxter jest zdania, że Andersowi stałoby się coś złego, gdyby nie zaalarmowała straży.

Kretschmer nie odezwał się. Veitch znów spojrzał mu w twarz.

- Mówi także, że porucznik Bernard Anders jest stałym celem ataków ze strony pewnej grupy osób stwierdził ostro.

- Jeżeli ma na to jakieś dowody, bardzo proszę o udostępnienie mi ich, żebym mógł przykładowo ukarać winnych - odparł Kretschmer beznamiętnym tonem.

Było to najdłuższe zdanie, jakie Veitch kiedykolwiek usłyszał z ust niemieckiego oficera.

- Mam nadzieję, że będzie pan w stanie poradzić sobie z aktami terroru nawet bez naszego udziału i dowodów - powiedział ostro Veitch . - Jeżeli nie, Ministerstwo Wojny na pewno się o to postara. Mam nadzieję, że wyrażam się wystarczająco jasno. Wstał, salutując Kretschmerowi. - Do widzenia, panie kapitanie.

Kretschmer oddał honory, odwrócił się na pięcie i wyszedł z biura. Leymann czekał na zewnątrz. Przysadzisty prawnik musiał szybko przebierać nogami, by nadążyć za szybkim, nerwowym krokiem Kretschmera.

- Zgodził się przenieść Andersa? - zapytał.

- Nie.

- Dlaczego? - zdziwił się Leymann. Kretschmer zatrzymał się, by odwinąć cygaro z celofanu.

- Bo nie prosiłem go o to. Nie zamierzam nikomu innemu zwać na głowę tego kłopotu.

- Więc pozwolisz, żeby Anders został? Stein, czy jakiś inny i tak go dopadnie i zabije. Zresztą on na to zasługuje - Leymann wzruszył ramionami.

- Przede wszystkim zasługuje na sprawiedliwy proces - chłodno powiedział Kretschmer.

- A my, w oczekiwaniu na inwazję Anglii, co mamy robić?

- Masz wyznaczyć mu dwóch strażników, żeby pilnowali go przez cały czas. Chłopcy z Luftwaffe będą najlepsi.

- Nie rozwiąże to samego problemu. Kretschmer wydmuchał w powietrze chmurkę rzadkiego dymu.

- Wiem, Willi. Dlatego będziemy musieli wymyślić coś, co rozwiąże go raz na zawsze.

Fleming zaparkował bentleya obok U700, przebiegł zgrabnie przez trap łączący nabrzeże z pokładem okrętu i znikł we włazie. Brice był zbyt zajęty pracą, by zauważyć jego przybycie.

- Dzień dobry, Alan - powiedział ze zwykłym sobie animuszem i położył się na koi. Wskazując na oprawione w ramkę zdjęcie, wiszące na zamku wyrzutni torped, zapytał:

- Kim jest ta urocza dama? Twoją żoną? Brice przytaknął, potem ziewnął potężnie.

- Wysłałem jej telegram i dałem słowo, że będę w domu na Święto Dziękczynienia.

- Wyglądasz na zmęczonego - przyznał z nie udawanym współczuciem Fleming.

Brice uśmiechnął się i sięgnął po termos.

- Bar w stoczni zrobił dla mnie tę specjalną miksturę, żebym nie zasnął przy pracy. Spróbujesz? Fleming powąchał podejrzliwie zawartość kubka.

- Jak smakuje?

- Jak żołądzie. Oni zaś twierdzą, że to kawa. Tymczasem ja rzeczywiście nie mogę zasnąć, bo przez cały czas martwię się, co zostanie z mojego żołądka.

- Nie, dziękuję - powiedział Fleming. - Wracam właśnie do Londynu, a skoro nie chcesz się ze mną zabrać, muszę się z tobą na razie pożegnać.

- Dzięki za propozycję, ale nie chciałbym opuścić próbnego zanurzenia. We wtorek załoga i dwóch chłopaków z mojej branży zabierają ją na wycieczkę.

- Jak głęboko?

- Na początek dwieście stóp. Subtelne rysy Fleminga skurczyły się w grymasie udawanego przerażenia.

- Wolę, żebyś ty tam siedział.

- Ta kruszyna może zejść na sześćset stóp - powiedział Brice z uśmiechem.

- Wracajcie w jednym kawałku - powiedział Fleming zeskakując z koi. - Jest propozycja, żeby za parę dni otworzyć ją dla zwiedzających. Poza tym tak czy owak spotkamy się w Londynie.

- Miejmy nadzieję - odmruknął Brice przyjaźnie. - Muszę się odegrać.

Fleming roześmiał się, przechodząc przez okrągłe, wodoszczelne drzwi.

- Chcesz się założyć?

- Poczekaj chwilę, Ian - powiedział Brice, przedzierając się na czworakach przez cały stos papierów i wykresów, zaścielających podłogę przedziału torpedowego. Po chwili wyprostował się i podał Flemingowi papierową torbę.

- Mały wyraz mojej wdzięczności. Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Fleming przyjął podarunek, otworzył opakowanie i wyjął książkę, zatytułowaną "Ptaki Indii Zachodnich".

- Mówiłeś, że po wojnie chcesz zamieszkać na Jamajce - wyjaśnił szybko Brice. - Myślałem, że ci się przyda. Dziewczyna w sklepie powiedziała, że James Bond jest światowym autorytetem w dziedzinie ornitologii.

Fleming, wzruszony prezentem, potrząsnął dłonią

Brice'a.

- Dziękuję ci, Alan. Bardzo dziękuję - przerwał i spojrzał na częściowo rozebraną torpedę. - Jak ci idzie szpiegostwo przemysłowe?

- Świetna torpeda - przyznał Brice. - Przez ostatnich kilka dni wiele się dowiedziałem. Ale o jakie szpiegostwo ci chodzi? - uśmiechnął się. - Przecież z formalnego punktu widzenia jestem na służbie Jego Królewskiej Mości, nie?

Jadalnia zmieniła się w salę rozpraw sądu honorowego, a pierwszą rzeczą, jaką Anders zauważył, była zawieszona na ścianie, wykonana domowym sposobem flaga Kriegsmarine z czarną swastyką pośrodku.

- Też mi sąd honorowy - kpił poprzedniego dnia Schulke. - Nielegalny sąd wojenny, o to im chodzi.

Podwójne drzwi zamknęły się za Andersem, a dwóch oficerów Luftwaffe, jego ochrona osobista od czasu wypadku w warsztacie, szło obok niego przez kilkanaście rzędów siedzących jeńców. Anders domyślił się, że cały obóz przyszedł na tak zwaną rozprawę.

Faulk siedział za stołem pod flagą. Przed nim znajdował się długi stół z Conradem Schulke na jednym końcu i Willim Leymannem na drugim. W pierwszym rzędzie krzeseł siedzieli kapitan Kretschmer, wystrojony w galowy mundur, z Żelaznym Krzyżem pod szyją, i podporucznik Richard Stein.

Anders zajął miejsce obok Schulkego. Faulk wstał, czym dał znak wszystkim obecnym, żeby podnieśli się z miejsc.

- Porucznik Anders, panie przewodniczący - zapowiedział jeden z oficerów Luftwaffe.

- Dziękuję.

Oficerowie trzasnęli obcasami jak umówieni, zasalutowali i odmaszerowali w stronę drzwi. Ich zadaniem było ostrzec wszystkich przed ewentualnym zbliżaniem się Anglików.

Anders spojrzał na Schulkego. Cała sprawa przybierała jeszcze bardziej farsowy obrót, niż którykolwiek z nich mógł przypuszczać.

- Poruczniku Anders, proszę pozostać w pozycji stojącej - powiedział Faulk siadając i dając innym znak, by uczynili podobnie. - Istnieją przeciwko panu dwa zarzuty. Po pierwsze, jako faktyczny dowódca łodzi podwodnej zademonstrował pan tchórzostwo w obliczu wroga. Po drugie, nie wykonał pan rozkazu nie zatapiając łodzi, na której pan służył i nie zapobiegł pan jej wpadnięciu w ręce wroga. Czy przyznaje się pan do winy?

Anders posłuchał rady Schulkego i nie odpowiedział.

- Czy przyznaje się pan do winy?! - powtórzył

Faulk.

Conrad Schulke wstał.

- Przeczytałem Konwencję Genewską, panowie. To bardzo ciekawy dokument. Nie tylko podaje zasady traktowania jeńców wojennych przez zwycięzców, lecz także wymienia obowiązki jeńców.

Jeńcom między innymi nie wolno organizować sądów wojennych.

- Jeżeli zwraca się pan do mnie, proszę mnie tytułować panie przewodniczący, bo inaczej będę zmuszony wyznaczyć kogoś innego do reprezentowania porucznika Andersa w obronie.

- Niemcy są sygnatariuszem Konwencji - przypomniał Schulke kwaśno.

Leymann wstał. Obozowa dieta poprawiła mu figurę, lecz bardzo niekorzystnie wpływała na dopasowanie munduru.

- Panie przewodniczący, wyjaśniłem majorowi Schulke, że to jest sąd honorowy, a nie wojenny. Po wysłuchaniu argumentów może jedynie zalecić wyrok, ale nie jest on wiążący. Potem porucznik Anders dołączy we wszystkich zwykłych czynnościach obozowych do nas, a wspomnienie w jakiegokolwiek formie czy powrót do sprawy U700 zostanie zabroniony do chwili zdobycia Anglii przez nasze wojska.

- Jeżeli mam bronić porucznika Andersa, jest moim obowiązkiem zakwestionowanie legalności tego zebrania powiedział Schulke. Faulk skinął głową.

- W porządku. To już pan zrobił. Teraz kontynuujmy. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

- Nie - wymamrotał Schulke pod nosem i usiadł.

Leymann zerwał się na nogi. Tłusty Bawarczyk najwyraźniej dobrze się czuł w swej roli. Przeczytał zeznanie Andersa i streścił okoliczności, w jakich doszło do poddania U700. Potem zwrócił się do Faulka.

- Na swego pierwszego świadka, panie przewodniczący, chcę powołać podporucznika Richarda Steina.

Stein stał wyprostowany. Tego dnia nad wyraz zatroszczył się o swój wygląd - jego jasne włosy były starannie zaczesane na bok, a koszula wykrochmalona w wywarze z ziemniaków. Odpowiadał na pytania Leymanna dźwięcznym, zdecydowanym głosem, nie spoglądając w stronę Andersa. Końcowe pytania dotyczyły dokumentu, który Stein kazał podpisać wszystkim marynarzom U700, zanim przybyły trawlerzy i niszczyciel.

- Czy to prawda, że wszyscy członkowie załogi przyrzekli posłuszeństwo porucznikowi Andersowi, jeżeli aresztowałby kapitana i odwołał poddanie okrętu?

- Tak - odparł Stein. - Wszyscy podpisali petycję. Anders nie miałby z nikim kłopotu, gdyby aresztował Weinera.

Leymann opadł całym ciałem na krzesło.

- Nie mam więcej pytań, panie przewodniczący. Schulke wstał i zajrzał do swych notatek.

- Twierdzi pan, że RAF nie posiada na wyposażeniu bomby głębinowej, tylko zwykłą bombę

przeciw łodziom podwodnym, która jest bezużyteczna, chyba że trafi bezpośrednio w okręt. Czy tak?

- To prawda - odparł krótko Stein.

Schulke uśmiechnął się.

- Nie wszyscy tu obecni walczyli w marynarce, więc winien tu jestem parę wyjaśnień. Zwykła bomba eksploduje na powierzchni wody i musi trafić w okręt, żeby mogła uczynić mu jakieś szkody, zaś bomba głębinowa wybucha pod powierzchnią i może go poważnie uszkodzić, nawet jeżeli nie trafi bezpośrednio. Czy tak?

- Zgadza się - powtórzył Stein. - Lecz RAF nie ma bomby głębinowej, którą można by zrzucić z samolotów.

Schulke odprężył się - Stein dał się złapać w pułapkę.

- Teraz zapewne już mają. Nasi koledzy, którzy przybyli tu dzisiejszego ranka, są rozbitkami z okrętu podwodnego, który został zniszczony bombami głębinowymi, zrzuconymi z sunderlanda. Jeżeli to będzie konieczne, powołam ich na świadków.

Stein milczał, więc Schulke poczuł się pewniej w swej roli przesłuchującego.

- Czy widział pan, jak spadała ta bomba? - zapytał. Stein zawahał się przez chwilę. Potem odparł:

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Ukryłem się. Zwykle tak się robi, kiedy spada bomba. Zwiększa szansę przeżycia.

Rozległ się śmiech niektórych oficerów, który Faulk uciszył zrobionym przez jeńców drewnianym młotkiem.

Schulke pozostał niewzruszony.

- Czy kapitan Weiner również się ukrył?

- Nie sędzę.

- Nie sądzi pan - ton Schulkego zwiastował dezaprobatę. - Więc nie ma pan pojęcia, czy hudson zrzucił bombę czy coś nieskończenie bardziej niebezpiecznego, jak na przykład kilka ładunków głębinowych. Pan się skrył, a Weiner odważnie przez cały czas patrzył na hudsona.

- Odważnie? - zawtórował jak echo Stein. - Był sparaliżowany ze strachu!

- Czy zaczął wymachiwać swoją koszulą po tym, jak hudson zrzucił bomby głębinowe?

- Tak.

- Zaraz potem? Zanim bombowiec miał czas zawrócić?

- Tak. Zdarł ją z siebie w przerażeniu. Schulke zmarszczył brwi.

- Ale przed chwilą sam pan powiedział, że Weiner był sparaliżowany ze strachu! Jeżeli rzeczywiście tak było, a mimo to udało mu się ściągnąć kurtkę i pomachać koszulą do hudsona, możemy wysnuć wniosek, że pan mu w tym pomógł!

Był to czysty domysł, nie poparty żadnymi faktami, i wśród jeńców rozległ się pomruk zaskoczenia.

- Pomogłem mu, bo sądziłem, że jest ranny odłamkiem bomby.

- Niemniej jednak pomógł pan Weinerowi i w ten sposób odegrał pan poważną, jeżeli nie kluczową rolę w poddaniu U700!

Stein pobladł.

- To wierutne kłamstwo! Byłem jedynym marynarzem, który próbował walczyć z hudsonem! Patrzcie! Podwinął rękaw odsłaniając zabandażowane ramię.

- Dostałem pociskiem ze sprzężonych działek hudsona.

- Dokładnie, panie poruczniku! - krzyknął Schulke. - Zniesiono pana nieprzytomnego na koję, więc po ataku nie był pan na stanowisku dowodzenia. Jak więc może pan oczekiwać, że ktokolwiek tutaj panu uwierzy w to, co pan zeznał przedtem, iż okręt nie został uszkodzony po ataku i mógł zejść w zanurzenie? I dlaczego, jeżeli wolno spytać, mielibyśmy wierzyć słowu człowieka, który potrzebuje pomocy dwóch osiłek, żeby zaatakować porucznika Andersa pracującego samotnie w stajni?!

Jeńcy zaczęli gwizdać i krzyczeć na Schulkego, a Leymann zerwał się na równe nogi.

- Panie przewodniczący! Wydaje mi się, że sąd powinien pouczyć majora Schulke, żeby trzymał się sprawy i nie obrażał świadka, wspominając o okolicznościach, które nie mają z nią związku.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Schulke siadając i zakładając ręce na piersi.

- W takim razie chciałbym wezwać następnego świadka - oznajmił Leymann. - Proszę porucznika Bernarda Andersa.

Prawnik wyglądał na bardzo pewnego siebie, gdy Anders podszedł do stolika dla świadków i złożył przysięgę. Poprawił notatki, zanim zwrócił się do Andersa.

- Czy słuchał pan z uwagą zeznań porucznika Steina?

- Tak.

- Doskonale. Czy jest coś w zeznaniu, czemu chciałby pan zaprzeczyć?

- Nie - odparł Anders.

- Dlaczego po poddaniu okrętu nie aresztował pan Weinerja? - zapytał łagodnie Leymann. - Wiedział pan o poparciu załogi.

- Takie postępowanie oznacza bunt - powiedział

Anders zdecydowanie.

- Chodził pan do szkoły oficerskiej, prawda?

- Tak. - Anders wyczuł nadchodzący atak prawnika.

- Czy nie uczono pana różnicy pomiędzy buntem a uzasadnionym pozbawieniem kapitana dowództwa?

- Uczono.

Leymann założył kciuki za pasek i uważnie patrzył na

Andersa.

- Proszę opisać sądowi różnicę.

- Nie pamiętam dokładnych sformułowań.

- Więc proszę opowiedzieć własnymi słowami. Anders zastanowił się przez moment.

- Bunt jest odmową wykonania rozkazu prawowitego dowódcy. Uzasadnione pozbawienie dowództwa jest...

W chwili gdy Anders przerwał, Leymann podchwycił:

- Uzasadnione pozbawienie dowództwa ma miejsce, gdy dowodzący oficer ukazał przez swój czyn lub jego zaniechanie, że fizycznie lub umysłowo nie jest zdolny do wydawania rozkazów! Czyż nie tak?

- Tak.

- Po ataku hudsona, powiedział pan w zeznaniu, że wyszedł pan na mostek i odnalazł kapitana Weinerja w stanie szoku. Stan szoku! To pańskie własne słowa. Więc dlaczego natychmiast nie pozbawił go pan dowództwa?

Anders patrzył na Leymanna i zastanawiał się, czy będzie miał odwagę wyznać coś, o czym nie

wspomniał w swych zeznaniach: że w kluczowym momencie wynurzenia na chwilę spuścił wzrok z peryskopu.

Lecz Leymann nie czekał na odpowiedź.

- Czy porucznik Stein nie próbował pana gorąco przekonać, żeby objął pan dowództwo?

- Nie ufałem mu.

- Nie ufał mu pan - powtórzył z sarkazmem Leymann. - A przecież wszyscy członkowie załogi podpisali dokument. Co się stało, panie Anders? Czy to panu nie wystarczało? Chciał pan mieć podpisy krwią?

Schulke podniósł się, żeby zaprotestować, lecz Leymann był zdecydowany zapędzić Andersa w ślepy zaułek.

- Odmawiał pan podjęcia działania. Nie zareagował pan nawet wtedy, gdy Weiner zszedł z pokładu i popłynął na niszczyciela. Technicznie rzecz biorąc, pan był wtedy dowódcą!

Anders spojrzał na swego ciemiężyciela.

- Nie. Po poddaniu okrętu kapitan angielskiego niszczyciela przejął dowodzenie.

- Zastanawiał się pan nad subtelnościami prawnymi, w obliczu niebezpieczeństwa wpadnięcia okrętu w ręce nieprzyjaciela?

- Leżało mi na sercu dobro załogi.

Leymann nie ustosunkował się do odpowiedzi.

- Dlaczego nie wydał pan rozkazu opuszczenia łodzi, żeby pan mógł ją zatopić? Było wystarczająco dużo czasu.

- Jak mogłem, skoro Anglicy zagrozili, że otworzą ogień, jeżeli na pokładzie pojawi się ktoś z załogi? - zapytał Anders.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że chcieli zapobiec zatopieniu?

- Myślałem, że bardziej obawiają się działa przeciwlotniczego.

- I zabronił pan porucznikowi Steinowi wskoczyć do wody, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście tak chcą zrobić?

- Leżało mi na sercu dobro całej załogi, włącznie z porucznikiem Steinem. W tym momencie czułem tak samo jak kapitan Weiner, że życie załogi jest ważniejsze od losu łodzi.

Leymann powiedział tonem zaskoczenia:

- Z pewnością zdawał pan sobie sprawę, że tajemnice konstrukcyjne okrętu, kiedy pozna je wróg, mogą doprowadzić do śmierci niezliczonej ilości naszych marynarzy w przyszłości? Że cała ofensywa na Wyspy Brytyjskie może zostać postawiona pod znakiem zapytania?

- Powiedziałem panu, co wtedy czułem. - powiedział Anders. - Poza tym wszystko, co było wartościowego na łodzi, zostało zniszczone.

- Z wyjątkiem torpedy magnetycznej w wyrzutni dziobowej! - ryknął Leymann. - A o to najbardziej chodziło wrogowi!

Leymann spojrzał z pogardą na swą ofiarę.

- Więc myślał pan tylko o skórze swojej i załogi? Anders nie zauważył kryjącej się w pytaniu pułapki i dał się złapać.

- Tak - zaczął. - Ale...

- Tak! - wykrzyknął tryumfalnie Leymann, patrząc na zebranych, jakby szukając potwierdzenia winy Andersa.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, co oznacza pańska odpowiedź? - zapytał miękko. Anders wzruszył ramionami.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Cokolwiek powiem, pan to tak przekręci, że będzie znaczyć coś innego.

- Czy chce pan zastanowić się nad pytaniem?

- Chcę, żeby się to wszystko wreszcie skończyło. Powiem tylko, że o ile wtedy nie widziałem sensu w śmierci wielu ludzi, i nie miałem zamiaru sam umierać, teraz nie obchodzi mnie zbytnio, czy umrę, czy nie. Powtarzam, nie widziałem nic złego w poddaniu okrętu.

Leymann pozbierał notatki.

- Nie mam więcej pytań do tego tchórza. Faulk spojrzał na majora Schulke.

- Majorze?

Schulke powoli wstał i powiedział, ważąc słowa:

- Moja definicja tchórza jest trochę inna: tchórz to ktoś, kto ma odwagę się przyznać, że nie jest bohaterem. Zaległa cisza, przerwana przez Faulka.

- Bardzo dobrze. Sąd honorowy ogłasza teraz przerwę na naradę.

Wszyscy w sali podnieśli się. Faulk, Kretschmer, Stein, Leymann i Schulke wyszli bocznymi drzwiami. Nikt się nie poruszył. Schulke odwrócił się i uśmiechnął do Andersa, nim zamknął za sobą

drzwi.

Anders wyczuł, że nadszedł dla niego czas kolejnej próby. Przed nim znajdowało się morze milczących twarzy bez wyrazu. Nikt nie odzywał się, nikt się nie poruszył. Żaden z nich nie wykonał gestu, który mógłby oddzielić go od tłumu. Bo właśnie tym byli. Kontrolowanym, manipulowanym, zdolnym do wszystkiego tłumem.

Wtedy ktoś zaczął syczeć. Jak zwykle bywa w tłumie, był to sygnał dla innych, żeby zaczęli robić to samo.

Szum wzrastał się, jak wyraz nienawiści do czegoś, czego żaden z nich nie rozumiał ani nie chciał zrozumieć.

Nagle trafiła Andersa w policzek kula z papieru. Druga trafiła w czoło. Dwie kolejne minęły go. Następna, trafiwszy boleśnie w oko, załzawiła je.

Hałas urwał się raptownie, gdy otworzyły się drzwi, sąd powrócił i zajął swoje miejsca. Nie było ich w sali przez niecałe trzy minuty. Jeńcy czekali, że Faulk usiądzie, lecz on stał z posępnym wyrazem twarzy. Nagle odchrząknął i zaczął:

- Poruczniku Bernardzie Anders. Został pan uznany winnym niezatopienia okrętu, który przez to dostał się w ręce wroga. Został pan również uznany winnym tchórzostwa w obliczu wroga. - Faulk przerwał i zajrzał do kartki. - Z jednym głosem przeciw, sąd honorowy zaleca karę śmierci przez powieszenie. Do wykonania w stosownym czasie po zakończeniu wojny.

56.

Następnego ranka Lillian zastała Andersa pracującego nad ostatnim kołem swego samochodu.

- Dzień dobry, Bernardzie - powiedziała radośnie, przyklękając koło niego. - Jak leci?
- W porządku - odparł Anders nie patrząc na nią.
- Jutro wieczorem jestem umówiona z narzeczonym i zastanawiałam się, czy skończysz na czas.
- Na pewno będzie gotowy.
- To samo mówiłeś wczoraj - uśmiechnęła się

Lillian.

- Po południu nie miałem zbyt wiele czasu. Lillian spoważniała.
- Dzisiaj rano będę się widziała z majorem Veitchem. Chcę mu podziękować za to, że zgodził się pozwolić ci naprawić mój samochód. Chciałbyś, żebym mu coś przekazała od ciebie?

Anders założył klucz na śrubę regulującą długość linki hamulcowej.

- Na przykład?
- Na przykład prośbę o przeniesienie do innego obozu.
- Mnie tu dobrze. Lillian zmarszczyła brwi.
- Nie jestem ślepa, Bernardzie.
- To był pojedynek. Taka gra na szable. Stara tradycja.
- Nie o to mi chodzi - nie wytrzymała Lillian. Mówię o U700.

Anders omal nie upuścił klucza.

- W gazetach nie było nazwisk załogi, ale to była twoja łódź, prawda?
- A nawet gdyby, to co?
- Poddała się. Wszystko opisali w gazetach. Nie potrzeba zbyt wiele domyślności, żeby odgadnąć, że Kretschmer nie będzie zbyt przyjaźnie nastawiony wobec kogoś, kto miał udział w poddaniu okrętu.

Anders wzruszył ramionami.

- Nie, jeżeli poddanie nie było do uniknięcia. Lillian zaczęła tracić opanowanie.

- Nie traktuj mnie, jakbym była zupełnie głupia, Bernardzie. David, mój narzeczony, pracuje u Vickersa w Barrow. Za dwa tygodnie będą otwierać U700 dla zwiedzających. Mówi, że uszkodzenia były tak niewielkie, że nie rozumie, dlaczego się poddała.

Anders obrócił bęben.

- Nie byłem kapitanem. Poddanie U700 nie ma nic wspólnego ze mną.

Lillian spojrzała na niego, a potem westchnęła.

- Nie mam ci za złe, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Przecież jestem twoim wrogiem. - Wstała i podeszła do drzwi. - Ale gdybyś potrzebował pomocy, nie bój się i przyjdź do mnie.

Po wyjściu dziewczyny, Anders przyglądał się bębnowi hamulcowemu, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Przypomniawszy sobie, że jeden strażnik mówił coś o swej dziewczynie w Barrow. To oznaczało, że miasto, czy cokolwiek to było, nie mogło znajdować się zbyt daleko.

Mapa północnej Anglii znajdowała się wciąż w samochodzie, w schowku na rękawiczki. Bez wątplenia major Veitch dostałby szafu, gdyby wiedział o nieostrożności Lillian. Anders rozłożył mapę na ziemi i od razu znalazł

Barrow.

Było oddalone od Grizedale Hall o mniej niż dwadzieścia mil.

- Barrow? - powtórzył jak echo Leymann, a jego okrągła jak księżyc w pełni twarz skurczyła się. - Czy jest tego pewien?

Kretschmer przytaknął.

- To ma sens, Willi. Wielka stocznia, która może dokładnie ocenić zdolność bojową okrętu podwodnego. Można się było domyślić, że Anglicy ją tam przyholują.

Leymann spojrzał na mapę.

- Jakies dwadzieścia mil. Ile to w kilometrach?

Trzydzieści?

- Pięć godzin spaceru polami. - Kretschmer rozsiadł się wygodnie i zapalił cygaro.

- Wysłalbyś go?

- To jego pomysł, Willi. - Kapitan wydmuchnął pod sufit chmurę niebieskiego dymu.

- To jego wina, że ta cholerna łódź znalazła się w stoczni - warknął Leymann.

- Dlatego powinien mieć szansę ją zniszczyć.
- Nie wytrzyma nawet pięciu minut. Prawie nie zna angielskiego - zaprotestował Leymann.
- Schulke zgodził się go podciągnąć. Leymann wbił wzrok w oficera.
- Naprawdę myślisz, że mu się uda? Kretschmer uśmiechnął się zagadkowo.
- Jeżeli przeżyje. To, co zaproponował, ma sens. Ale będzie potrzebował bomby. I to na tyle potężnej, żeby rozwalić U700 na pół.

Stein zaczął liczyć, jak tylko promień reflektora wpadł do pralni. Dał znak Andersowi i Kirkowi. Oficer wsadził narzędzia do kieszeni i wziął pod pachę zwiniętą rolkę dywanu, który jeszcze niedawno wyścielał schody w pałacu.

- Teraz! - szepnął Stein i pchnął okno.

Anders z Kirkiem przypadli do ziemi i poczołgali się za krzaki. Kirk mocniej przycisnął dywan do siebie, gdy nad ich głowami przemknął snop światła z reflektora. Poderwał się, jakby chcąc go dogonić, a za nim skulony biegł Anders. Gdy światło zawróciło w drugą stronę, znów przyłgnęli do ziemi. Kirk szturchnął Andersa w żebro i pobiegł w stronę budynku administracji, chroniąc się za rzadko posadzonymi drzewami. Anders, idący tuż za nim, był zdumiony zwinnością olbrzyma.

Pod ogrodzeniem z drutu kolczastego, które otaczało magazyn broni, Kirk wyjął dwie pary twardych skórzanych rękawic. Obaj z Andersem stanęli na dywanie i rzucili rolkę wysoko w powietrze, tak, że wylądowała łagodnie po drugiej stronie obok jednego z betonowych słupków. Dywan ułatwiał wspinaczkę, chronił ich przed ostrymi jak szpilki kolcami ogrodzenia i jednocześnie dawał pewność, że w zwojach drutu kolczastego nie pozostanie wiele mówiące wgłębienie. Założyli rękawice i za chwilę byli już po drugiej stronie. Odczepiwszy dywan od kolców, ukryli go w stosie jesiennych liści na drogę powrotną. Zostawiać go na miejscu, przerzucony przez druty, było zbyt niebezpiecznie.

Magazyn z bronią mieścił się w betonowym bunkrze dość sporych rozmiarów, chronionym stalowymi drzwiami, które zamykane były na olbrzymią kłódkę. Kirk zbadał ją przy bladej poświacie świeczki, trzymanej w dłoniach przez Andersa. Potem wtykał do środka różne niewielkie narzędzia, na koniec wreszcie zachrząścił w zamku kawałek sztywnego drutu. Świeca zaczęła parzyć Andersowi dłoń.

- Pospiesz się.

Minęły jeszcze trzy minuty, nim Kirk mógł mruknąć z zadowoleniem. Rozległ się metaliczny szcęk i kłódka była otwarta.

Anders poszedł za Kirkiem do magazynu i zamknął drzwi. Podniósł świeczkę i westchnął ze zdumienia. Znajdowali się w prawdziwej zbrojowni, pełnej broni maszynowej, sprzętu do tłumienia zamieszek, broni krótkiej i amunicji. Kirk zachichotał i podetknął pod zaskoczony nos Andersa granat ręczny.

- Nie ma trzonka, ale i tak robi niezłe bum - zachichotał cicho. - Ile chcesz?

Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin, planowanie i wykonanie skoku na bunkier z bronią, przywróciło Andersowi wiarę we własne siły, dając mu pewność siebie, jakiej nie zaznał od dawna.

Położył skrzynkę przed Kretschmerem i nie spuścił wzroku przed spojrzeniem jego uważnych,

zimnych oczu.

- Macie wszystko? - zapytał kapitan.

- Wszystko - odparł Anders, otwierając skrzynkę i kładąc jeden po drugim przedmioty na biurku Kretschmera. - Dwa kilo wilgotnej gliny, budzik, pudełko po butach, sznurek i te maleństwa.

Anders ułożył w rzędzie sześć granatów na blacie. Kretschmer wziął jeden z nich w dłoń i przyjrzał mu się uważnie.

Nie przypominał w niczym niemieckich granatów. Zamiast pustego w środku trzonka, który miał zapalnik czarny, angielski granat miał zawleczkę, przechodzącą między dwoma uchami poniżej przewężenia korpusu. Zawleczka przytrzymywała zakrzywioną, poruszaną sprężyną dźwigienkę.

- Po wyciągnięciu zawleczki dźwignia uruchamia ośmiosekundowy zapalnik. Nie są takie dobre jak nasze, bo nie da się włożyć po kilka do cholewek butów, ale są doskonałe do robienia bomb.

- Proszę mi pokazać. - powiedział Kretschmer przesuwając granaty w stronę Andersa.

Anders wcisnął kilka garści miękkiej gliny do pudełka i wziął do ręki jeden z granatów. Przytrzymując dźwigienkę wyciągnął zawleczkę i wcisnął bokiem dźwigienkę w glinę, potem otoczył granat gliną jeszcze ciaśniej.

- Teraz najtrudniejsza część - uśmiechnął się.

Powoli puścił granat. Tężejąca glina zatrzymała w miejscu dźwigienkę. Anders rzucił zawleczkę na biurko.

Pięć minut później na biurku Kretschmera znalazło się pięć zawleczek i pięć granatów zapakowanych w glinie, wyścielającej dno pudełka na buty.

W wolnej przestrzeni z boku pudełka zmieścił się swobodnie budzik. Anders usunął dzwonki, a do klucza nakręcającego mechanizm zegarka przywiązał sznurek, którego drugi koniec przymocował do zawleczki na szóstym granacie. Był jedynym, którego zawleczka była na miejscu. Ostrożnie położył go na wierzchu.

- Gotowe - oznajmił, wycierając dłonie z gliny. Budzik dzwoni, a klucz, kiedy się obraca, nawija na siebie sznurek i wyciąga zawleczkę z granatu. Ten wybucha, rozwała glinę wokół pozostałych granatów, które w osiem sekund później wybuchają razem.

- Ładnie - powiedział Kretschmer. - Jest pan pewien, że sprężyna budzika ma dość siły, żeby wyrwać zawleczkę?

- Wystarczająco - zapewnił go Anders. Kretschmer otworzył szufladę i wyjął z niej rewolwer Webleya kaliber 0.38.

- Kirk zabrał go z sobą z magazynu. Przyda się panu na pokładzie - pchnął go w stronę Andersa.

Anders pokręcił głową.

- Nie sądzę, panie kapitanie.

- Proszę go zabrać! - powiedział Kretschmer. - Bo pošlemy kogoś innego.

Anders przyjrzał się broni. Była bolesnym przypomnieniem chwili, w której wymierzył lugera w plecy kapitana Weinerja na pokładzie U700. Potem przełamał się, wziął go do ręki i powiedział[^]

- Nie mam nic do stracenia, prawda? Jeżeli mnie złapią, zanim podłożę bombę, Anglicy mnie powieszają. Jeżeli złapią mnie potem, i tak mnie powieszają. A jak uda mi się uciec do Irlandii po zniszczeniu łodzi, nasza marynarka wojenna powiesi mnie po wojnie.

- Bardzo prawdopodobne - zauważył Kretschmer. Anders uśmiechnął się lekko.

- Przynajmniej wiem, na czym stoję. Kiedy mam ruszać?

- Czy uprzęż gotowa?

- Tak, panie kapitanie.

Kretschmer zastukał palcami w blat biurka.

- Mamy papiery, jakieś ubranie, ale bardzo mało pieniędzy. Z drugiej strony nie widzę sensu odwlekania misji. Wyruszy pan jutro wieczorem.

W Loriencie admirał Doenitz kończył właśnie inspekcję zmodyfikowanego junkersa. Stał w pewnej odległości od maszyny i przyglądał się jej z satysfakcją. Wskazując na torpedę zawieszoną między kołami maszyny, zapytał:

- Bezpiecznie ją tak zostawiać?

- Całkowicie, panie admirale - powiedział Goder. Paliwo zatankujemy dopiero na pół godziny przed odlotem. W ten sposób zmniejszamy do minimum naprężenia w kadłubie.

Doenitz wrócił do mercedesa i przez chwilę siedział w milczeniu. Kneller wiedział, że lepiej było mu nie przeszkadzać w takiej chwili.

- Czy są jakieś zmiany w prognozie pogody, Johann?

- Żadnych, panie admirale.

- Znakomicie. Dopilnuj, żeby Gallagher dostał dziś swoje instrukcje. - Admirał poklepał kierowcę po ramieniu, i gdy samochód ruszył, powiedział:

- Goder i Hartz jutro wieczorem polecą do Barrow.

Następnego dnia, po wieczornym apelu, Anders wśliznął się do stajni, służącej jako garaż i pod ręczny warsztat. Obawiał się tylko tego, że Lillian mogła wyjechać wcześniej niż zwykle.

Kilka minut po tym, jak Anders wszedł do stajni, mała grupka jeńców, uzbrojona w wiadra, szmaty i miotły, zaczęła myć okna pałacu, które wychodziły na stajnię i podjazd do niej. Jeden z oficerów Luftwaffe zajął się plewieniem grządek na wprost okna gabinetu Lillian. Jego zadaniem było gwizdząc przejść przed stajnią, gdy pielęgniarzka zamknie okno i przygotuje się do wyjścia. Faulk i Schulke chodzili po placu zajęci rozmową. Wtem jeden z obserwatorów, zajętych myciem okien, dwukrotnie zaskrzypiał wilgotną irchą po szybie. Obaj oficerowie rzucili się do stajni i zamknęli za sobą drzwi. Anders z trudnością wciskał się w prymitywną uprząż, podobną do spadochronowej.

- Pasuje - powiedział, gdy Schulke mu pomagał. Nie miałem czasu sprawdzić linek, ale jeżeli nie będzie jechać zbyt szybko, może wytrzymają.

- Będzie jechać szybko - rzucił Faulk.

- Psst! - Schulke przyłożył palec do ust. Na zewnątrz rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Kretschmer.

- Wszystko gotowe? - zapytał.

- Prawie - powiedział Anders. - Bomba i kurtka są na miejscu.

Kretschmer przyklęknął i zajrzał pod spód samochodu. Bomba wisiała w angielskiej torbie wojskowej, przymocowanej do podwozia auta, podobnie jak angielski płaszcz wojskowy.

- Znakomicie - zawyrokował Kretschmer. - Mapa i papiery?

- Wszyte w podszewkę płaszcza - powiedział Anders, zaciskając uprząż na sobie. - W porządku, jestem gotów.

Kretschmer podał Andersowi dziesięć funtów w banknotach i drobnych. Monety zapakowano osobno, żeby nie dzwoniły. Anders wsunął do kieszeni to, co mu podano.

- Każdy się dorzucił - powiedział Kretschmer. Włącznie z porucznikiem Steinem. I niech pan nie zapomni, Anders, jeżeli nie uda się panu dostać do środka, niech ją pan położy na pokładzie.

Anders skinął głową.

- Panie komendancie... - zaczął z wahaniem. - Zastanawiałem się, czy...

- Nie mogę nic obiecać - przerwał Kretschmer. Potem wyraz jego twarzy złagodniał. - Ale wstawię się za panem, na ile to będzie możliwe.

Podał mu dłoń.

- Powodzenia, poruczniku. I niech pan do nas napisze z Irlandii.

- Weź to - powiedział Schulke, podając mu mały srebrny medalik ze św. Krzysztofem.

- Dziękuję ci, Conrad - powiedział Anders z wdzięcznością. - Byłeś dobrym przyjacielem.

Potem dodał:

- Jestem gotów.

Pięć minut potem Anders leżał zawieszony na uprzęży pod samochodem, czując się jak świąteczna szynka. Policzek miał przyciśnięty do baku na benzynę, jedną nogę opierał o wał korbowy, a druga znajdowała się o parę cali nad tłumikiem. Plecy wisały najniżej - około dwudziestu centymetrów nad ziemią. Pasy uprzęży zaczynały mu się powoli wrzynać w ciało i czuł, że utrudniają krążenie krwi. Modlił się, żeby Lillian nie zwlekała z odjazdem.

- Jakie ma szansę? - zapytał Schulke, gdy razem z Faulkiem i Kretschmerem wychodzili ze stajni.

- Wysadzenia łodzi? - zapytał Kretschmer, zaciągając się dymem resztki cygara. - Jakieś pięćdziesiąt procent.

- Dotarcia do Irlandii - powiedział Schulke.

- Zero - odparł komendant. Rzucił niedopałek na ziemię i wdeptał go w żwir piętą buta.

Lillian zamknęła okno izolatki, zaciągnęła czarną zasłonę i przekręciła klucz w zamku. Zdjęła mundur i smutnie spojrzała na swe pończochy. Ostatnia para. Spodnie rozwiązałyby problem, ale David był wprost uczulony na ich punkcie. Zbliżał się dzień, gdy będzie zmuszona nosić fasowane ciuchy, oczywiście kiedy nadejdzie jej kolejka. Westchnęła i ściągnęła pończochy.

Na stole leżała jedna z broszur Olivera Lytteltona z cyklu "Jak sobie radzić z niczym". Jego rady dotyczące "zadziwiających efektów stosowania kredki do oczu" były tak zabawne, że nie powstrzymała się od śmiechu. Po chwili jednak ustawiła lusterko i z niesłychaną dokładnością zaczęła rysować kredką do oczu czarną linię, mającą imitować szew pończoch z tyłu nogi.

Minęło kolejne pięć minut, nim Anders usłyszał pogwizdującego sprzątacza, który pogwizdywał przebój tamtych dni: Baaardzo mi się podobasz, dziewczyno.

Uprząż wrzynała mu się głęboko w nogi, a rąk prawie już nie czuł. Ze wszystkich mężczyzn, którzy wtedy czekali, aż przebierze się najważniejsza w ich życiu kobieta, on niecierpliwiał się najbardziej.

Lillian krytycznie/przyjrzała się szwom. Nieźle. Ubrała parę zniechędzonych rajstop, które jej matka uszyła z jedwabiu spadochronowego. Nigdy nie czuła się w nich

\ zbyt dobrze, a jasnoniebieskie iskierki podczas ich ściągnięcia niepomiernie ją denerwowały.

Kretschmer z poirytowaniem spoglądał na zegarek. Została jeszcze godzina dziennego światła. Im później dziewczyna wyjedzie, tym lepiej, lecz z drugiej strony obawiał się, jak Anders wytrzyma w uprzęży.

Pot zalewał Andersowi oczy, lecz nie mógł nic na to poradzić. Próbował otrzeć twarz o bak z benzyną, lecz pogorszyło to jeszcze jego samopoczucie. Może zdecydowała, że nie pojedzie - mimo tego, że wieczór tak dobrze się zapowiadał...

Nagle jego uszu dobiegł cichy dźwięk. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Tak, to był odgłos wysokich obcasów na płytkach chodnika. Kroki stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie przystanąły. Rozległ się odgłos klucza wkładanego w zamek. Serce Andersa przestało bić. O Boże! Drzwi! Zapomnieli zamknąć! Z ust Lillian wyrwał się okrzyk zdumienia, kiedy okazało się, że obrócenie klucza zamknęło drzwi, zamiast je otworzyć. Ponownie obróciła klucz i otworzyła szeroko oba skrzydła. Gdy szła obok samochodu, Anders kątem oka dojrzał jej łydki, po czym z zaskoczeniem stwierdził, że nawet przy jej niewielkiej wadze pióra resorów dość sporo osiadły, kiedy usadowiła się we wnętrzu pojazdu.

Rzęzeniu rozrusznika odpowiedziało skrzypienie wału korbowego. Za trzecim razem silnik zaskoczył. Ze skrzynki zmiany biegów rozległ się chrzęst. Anders musiał szybko uciec z prawą dłonią, by palce nie zaczepiły o linkę hamulca ręcznego, gdy poruszyła się uwalniając tylne koła. Jego ciało doznało nagłego wstrząsu, gdy samochód na wstecznym biegu wyjechał ze stajni. Rwący ból w łydce przypomniał mu, że nie powinien zbyt blisko przysuwać nogi do wału napędowego. Ze skrzyni biegów doszły

Andersa kolejne zgrzyty, gdy Lillian usilnie przekonywała samochód do włączenia pierwszego biegu. Dodała gazu i puściła sprzęgło. Stare kombi zostawiło ślady opon na kocich łbach podjazdu, po drodze mało nie trafiwszy w jeńca o słabszym niż inni refleksie.

Gwałtowne przyspieszenie poddało uprzęż, przytrzymującą Andersa, znacznemu przeciążeniu. Przerażony patrzył bezradnie, jak prawy zaczep zaczyna się powoli rozwierać. Desperackim rzutem przesunął ciało na bok, chcąc ulżyć połączeniu, lecz Lillian swym gwałtownym zakrętem na drodze prowadzącej do bramy wyjazdowej zniweczyła jego wysiłki. Anders nie czuł ostrych kawałków żwiru bijących go w twarz. W tej chwili bał się, że uprzęż nie wytrzyma i puści jego umęczone ciało na drogę.

Leymann i Schulke udawali, że zajęci są sprzątaniem liści w pobliżu bramy, gdy usłyszeli długo wyczekiwany dźwięk silnika samochodu Lillian. Samochód zatrzymał się przed stalową bramą, lecz oni nie przerywali pracy. Z budki wyszedł żołnierz.

Schulke tymczasem schylił się i ujrzał, ku swemu przerażeniu, że jeden z pasów uprzęży wlecze się po drodze za samochodem. Co gorsza, Anders miał jedną dłoń na ziemi, próbując desperacko zmienić swą pozycję.

- Dobry wieczór, moja droga - powiedział żołnierz do Lillian, opierając się o drzwiczki

kierowcy. Trzy razy wcześniej próbował się z nią umówić i trzy razy spotkał się z negatywną odpowiedzią. Ale nie dawał łatwo za wygraną.

- Naprawił już hamulce, prawda? Powinny dobrze działać.

- Działają bez zarzutu - powiedziała Lillian. - Tylko z tyłu trochę piszcza.

Żołnierz wyglądał na zatroskanego.

- Chyba klocek ociera o bęben. Nie powinnaś dopuścić do przegrzania.

Podszedł na tyły samochodu i przykląkł obok koła.

- Jestem już spóźniona - powiedziała niecierpliwie Lillian.

- Zajmie mi to tylko sekundę.

- Posłuchaj, nie pierwszy raz jestem za kierownicą tego auta, więc gdybyś łaskawie otworzył bramę...

Żołnierz zdecydował, że traci czas. Po krótkim, pobieżnym obejrzeniu wnętrza samochodu, dał znak kapralowi, by otworzył bramę.

Lillian znów wzbudziła poruszenie w skrzyni biegów i wyskoczyła za bramę ostro przyspieszając po czterystumetrowym odcinku szerokiej ścieżki, która prowadziła wprost na główną drogę. Wprost uwielbiała szybką jazdę, zwłaszcza po polnych drogach, gdzie, nie zdejmując nogi z pedału gazu musiała nagle zakrecać, by ominąć wyboje czy kamienie. Pamiętała zwłaszcza jedno takie miejsce. Tuż przed główną drogą znajdował się kamień, wystający nad powierzchnię drogi przynajmniej o dwadzieścia centymetrów. Od czasu kolizji z nim i kosztownej naprawy uszkodzenia, nauczyła się tak najeżdżać na niego, by zmieścił się między wewnętrzną stroną kół i pękatym tylnym mostem.

Popołudniowe słońce załśniło na skrzydłach junkersa, gdy czterech mechaników wytoczyło maszynę z hangaru w Lorienzie. Po chwili samolot znalazł się na miejscu tankowania, gdzie czekały na niego dwie cysterny.

Goder i Hartz skrupulatnie sprawdzali wskaźniki poziomu paliwa w dodatkowych zbiornikach, musieli bowiem dokładnie wiedzieć, ile paliwa mają na pokładzie. Dodatkowe zbiorniki przymocowane do podłogi wyglądały bez zarzutu, a ręczne zawory i pompy działały normalnie. Niestety nie mieli czasu zainstalować zaworów elektromagnetycznych, które można by obsługiwać z kabiny pilota, więc od czasu do czasu podczas lotu będą musieli wchodzić do przedziału i ręcznie spuszczać paliwo do głównych zbiorników.

Goder wyskoczył z maszyny na beton. Słońce świeciło jasno i jak na tę porę roku było niezwykle ciepło. Stał w cieniu jednej z cystern i przyglądał się mechanikowi, stojącemu na skrzydle, który pilnował gumowego węża zanurzonego w zbiorniku, kontrolując jednocześnie działanie dystrybutora.

Goder był zdenerwowany. Przez całe popołudnie prześladowała go myśl, że coś przeoczył. Wiedział, że prędzej czy później zorientuje się, w czym rzecz, lecz teraz, gdy do odlotu zostały niecałe dwie godziny, za nic nie był w stanie nawet w przybliżeniu stwierdzić, co jest powodem jego zaniepokojenia.

Nad wzgórzami Cumberland zapadł już zmierzch, gdy Gallagher, zadowolony z przeróbek, jakich samodzielnie dokonał w motocyklu, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Teraz będzie mógł nadawać sygnały naprowadzające junkersa bez konieczności zsiadania z maszyny. Jedną ze swych wędek przymocował do plecaka w taki sposób, że rozpięta na niej antena znalazła się w pozycji pionowej.

Co prawda takie rozwiązanie znacznie zmniejszyło zasięg radiostacji, lecz junkers powinien bez kłopotów odebrać z powietrza nawet taki sygnał.

Sygnał naprowadzający, pomyślał z kwaśną miną Gallagher. Kiepski żart. Nie tylko naprowadzi na niego junkersa, lecz także każdego cholernego angielskiego żołnierza z okolicy! Jeździć po Barlow o trzeciej nad ranem! Nie musi nawet używać radiostacji, żeby wzbudzić podejrzenia.

Sprawdził jeszcze, czy akumulator motoru jest wystarczająco naładowany, nie chciał bowiem, by zawiódł go w ostatniej chwili, bo byłby wtedy zmuszony nadawać z pracującym silnikiem. Wiedział doskonale, że w tej okolicy słuch jest jego najważniejszym zmysłem.

Szybko spakował namiot i menażki, chowając je w wykopanej do tego celu dziurze. Dziś wieczór miał zamiar zjeść kolację w Barrow, u jakiejś dziewczyny z ciepłym sercem i ciepłym łóżkiem do wynajęcia.

Fleming poznał stare kombi, które wyjechało na drogę dwieście metrów przed jego bentleyem. Należało przecież do szalonej pielęgniarki, która próbowała go wyprzedzić, gdy razem z Brice'em jechali do Barrow.

Stopa Fleminga wgniotła pedał gazu w podłogę. Silnik firmy Amherst Villiers, w który wyposażony był bentley, ożywiony dodatkową dawką paliwa, przesłał odpowiednią moc na tylne koła.

Lillian usłyszała ryk zbliżającej się maszyny i spojrzała w lusterko. Uśmiechnęła się. To był ten pyszałkowaty marynarz, którego widziała wcześniej. Przyspieszyła i skierowała się na środek drogi. Nie miała zamiaru dać się tak łatwo wyprzedzić jakiemuś wymoczkowi z Londynu.

W Loriencie zbliżał się zachód słońca, gdy na biurku Knellera odezwał się natarczywym dzwonkiem telefon. Doenitz stał kilka kroków od swego adiutanta, wyglądając przez okno, lecz nawet tam doszedł go wyraźnie podenerwowany głos telefonującego.

- Co?! - zapytał z niedowierzaniem Kneller. Położył dłoń na mikrofonie.

- To Goder, panie admirale - powiedział z napięciem.

- Czego chce?

- Chce, żeby natychmiast przysłać mu wszystkie elektryczne wentylatory z kwatery głównej.

Doenitz wziął jeden z nich z szafki Knellera i owinał drut wokół podstawy.

- Powiedz mu, że za dwadzieścia minut będzie miał wszystkie, jakie damy radę znaleźć. Kneller przełknął ślinę.

- Mam go zapytać po co?

- Będzie na to czas później. - powiedział Doenitz, ruszając szybko do drzwi. Tym prostym gestem zademonstrował dobitnie, dlaczego jest admirałem, a Kneller nie.

Gdy wyprzedzał ją Bentley, Lillian pomachała do Fleminga, który zsalutował jej od niechcenia. Po chwili tył olbrzymiego samochodu zniknął za najbliższym zakrętem drogi. Ona sama skręciła kilkaset metrów dalej i pojechała pod górę wąską ścieżką, prowadzącą do miejsca, w którym zwykle spotykała się z narzeczonym.

Nad krzewami janowca widziała wyraźnie dach austina, samochodu Davida. Gdy usłyszała nadjeżdżający samochód, otworzył drzwiczki i uśmiechnął się na powitanie.

O godzinie szóstej mercedes Doenitza przybył na lotnisko i zaparkował obok junkersa, skapanego w powodzi świateł. Zaskoczony Kneller gapił się z rozdziawionymi ustami na samolot, zaś Doenitz zmierzał zdecydowanym krokiem w stronę maszyny przez betonową powierzchnię lotniska, przestępując czasem przez ciężkie i grube kable, które wijąc się jak węże łączyły samolot z zaparkowanym w pobliżu generatorem prądu.

Wszędzie znajdowały się wentylatory, wymierzone w stronę cystern z benzyną obok junkersa. Niektóre stały pod skrzydłami, w których mieściły się główne zbiorniki paliwa, dmuchając chłodnym powietrzem na skrzydła. Pozostałe znajdowały się w pobliżu kabiny pilotów, wdmuchując strumienie powietrza prosto na otwartą deskę rozdzielczą.

- Co się tu dzieje? - wymamrotał Kneller.

- Chyba wiem, Johann - odparł Doenitz.

Któryś z mechaników poinformował Godera, że zjawił się admirał. Pilot stanął w drzwiach samolotu i zeskoczywszy na płytę lotniska zsalutował, lekko speszony.

- Dziękuję za szybkie przesłanie wentylatorów, panie admirale.

Doenitz ostrożnie prześliznął się poprzez groźnie wyglądającą płataninę przewodów i nachylił się do kabiny. W środku zauważył kolejnych kilkanaście wentylatorów, umieszczonych w pobliżu dodatkowych zbiorników z paliwem. Jeden z mechaników kładł nawet mokre szmaty na samych zbiornikach.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi?

- poprosił Kneller.

Strapiony Goder zaczął wyjaśniać:

- To moja wina. Cysterny przez cały dzień stały w słońcu, a dzisiaj było przecież bardzo ciepło. Benzyna bardzo się nagrzała i chociaż napełniliśmy maszynę po brzegi, nie udało nam się napompować tyle paliwa, ile potrzeba.

Kneller od razu zrozumiał. Po starcie samolotu, w wyższych, chłodniejszych warstwach atmosfery objętość benzyny zmniejszyłaby się znacznie, pozbawiając maszyny paliwa z równą skutecznością, co dziura w każdym ze zbiorników.

- Jak długo jeszcze? - zapytał Doenitz.

- Chyba już wystarczy - powiedział Goder i dał znak do samochodu, że mogą wyłączyć prąd.

Mechanicy zaczęli odkręcać korki wlewu paliwa i wsuwali do wnętrza zbiorników końcówki węży dystrybutorów. Włączono pompy i wyraźnie dał się słyszeć bulgot wlewane do środka

paliwa.

- Dziesięć minut temu drugi raz napełniliśmy zbiorniki po same brzegi - dodał Goder.

Pięć minut upłynęło, nim Goder oznajmił, że maszyna jest już w pełni zatankowana. Przenośne reflektory i wentylatory załadowano na samochód, za którym udały się cysterny i generator prądu. Zapalono światła na pasie startowym, zaś Goder i Hartz uścisnęli dłonie Doenitzowi.

Samochód straży pożarnej podjechał mniej więcej do połowy pasa startowego i czekał. Doenitz i Kneller odsunęli się, patrząc, jak Goder i Hartz po raz ostatni przed odlotem sprawdzają stan maszyny. Goder zwrócił szczególną uwagę na gigantyczne szczęki, przytrzymujące torpedę między kołami podwozia.

- Powinniśmy byli napisać coś na niej - skomentował Goder, wchodząc do środka za Hartzem i zamykając drzwi.

Obaj usadowili się wygodnie na swych siedzeniach. Goder upewnił się, że hamulce na wszystkich kołach są zaciągnięte. Otworzył zawór paliwowy i nacisnął przycisk rozrusznika.

Uśmiechnął się do Hartza, gdy przechodzili przez całą procedurę startową.

- Zdenerwowany?

- Przerażony - przyznał młody pilot.

- Jak będziesz miał coś do roboty, przestaniesz się bać.

Silnik zakasłał i za kilka sekund dziewięć cylindrów BMW zerwało się do równej pracy.

- Znakomicie - powiedział Goder, powtarzając to samo z pozostałymi silnikami - lewym i dziobowym.

Gdy upewnił się, że wszystkie trzy silniki pracują równo, natychmiast zwiększył obroty, by niepotrzebnie nie tracić paliwa. Zwolnił dźwignie hamulców, lecz nic się nie wydarzyło. Dopiero gdy wszystkie trzy silniki osiągnęły po sześć tysięcy obrotów na minutę, przeładowany i obciążony samolot zaczął się leniwie toczyć przed siebie.

Od strony podwozia rozległo się złowieszcze skrzypienie, gdy koła trafiły na pierwsze załamanie w betonowej płycie lotniska.

- O Boże - wyszeptał do siebie poblady Hartz. Doskonale czuł samolot i był przekonany, że tak obciążona maszyna nie będzie w stanie poderwać się do góry.

Zwykła prędkość startowa Ju-52 wynosiła około stu kilometrów na godzinę. Obaj z Goderem wyliczyli, że z obciążeniem będzie go trzeba rozpędzić przynajmniej do stu trzydziestu kilometrów. Wcześniej, na dwóch trzecich długości pasa startowego, Goder zaznaczył białą linię. Jeżeli do tego czasu nie wzbiją się w powietrze, zostawało jeszcze dosyć miejsca, żeby wyłączyć silniki i

wyhamować.

Po czterystu metrach prędkościomierz wskazywał marne czterdzieści pięć kilometrów. Po pięciuset - o dwadzieścia więcej. Rozległ się kolejny zgrzyt, gdy maszyna trafiła kołami w następne szerokie połączenie płyt, a Hartzowi zadrżało serce.

Siedemdziesiąt pięć kilometrów. Goder mógł już podnieść ogon w górę, by zredukować opór powietrza. Z drugiej strony zmniejszał się przez to kąt natarcia skrzydeł, co osłabiało siłę wznoszenia. Jedyne ratunek pozostawał w ciągłym zwiększaniu prędkości.

Dziewięćdziesiąt kilometrów. Samochód straży pożarnej jechał krok w krok za junkersem. Cała konstrukcja maszyny drżała, gdy koła trafiały w przerwy między płytami.

Sto dziesięć kilometrów. Przepustnice szeroko otwarte. Wszystkie silniki dają z siebie najwyższą moc - po 675 koni mechanicznych. Dłoń Godera powędrowała na dźwignię lotek. Opuścił je i poczuł znajomą reakcję w brzuchu, która mówi pilotowi, że samolot zaczyna się wznosić.

Sto trzydzieści kilometrów. Szpary między płytami waliły teraz w kadłub w trzysekundowych odstępach niczym młoty parowe. Odchylić ster wysokości. Ogon za wysoko. Trochę niżej. Sto pięćdziesiąt kilometrów. Mignął znak dwóch trzecich długości pasa. Wznios albo hamujemy. Jeszcze trochę klapą...

Walenie ucichło. Junkers zaczynał wznosić się w powietrze. Goder wypoziomował maszynę, żeby zwiększyć prędkość, potem delikatnie skierował dziób olbrzymiego samolotu do powolnej, lecz koniecznej wspinaczki na wysokość dwóch tysięcy sześciuset metrów.

Było już ciemno, gdy Anders powoli wyczołgał się spod samochodu Lillian i położył wyczerpany na trawie. Piętnaście minut zajęło mu wyplątanie się z uprzęży cały kwadrans nieopisanej męki. Gdy leżał, ciężko oddychając, wydarzenia ostatniej godziny nie uporządkowaną masą atakowały jego umysł. Na początku udało mu się w ostatniej chwili zwinąć wlokący się za samochodem fragment uprzęży, nim zdążył go zauważyć strażnik, potem okropny kawałek polnej drogi, gdzie minął go o centymetry wystający kamień, wreszcie śmiertelny pościg, gdy jego bezwładne ciało zwisało na drodze olbrzymiego bentleya, siedzącego na ogonie kombi.

Anders nasłuchiwał przez chwilę. Lillian i David zniknęli za małym pagórkiem.

Wsunął się z powrotem pod samochód i odwiązawszy torbę z rzeczami wciągnął ją za sobą w poszycie. Po krótkim odpoczynku czuł się przyzwoicie i udało mu się nawet zauważyć Gwiazdę Północną przez szparę w chmurach. Rozwinął płaszcz i ubrał go na siebie. Krój i kolor upodabniał go do angielskich płaszczy marynarki wojennej. Pasował całkiem dobrze i przykrywał jego potargany mundur.

Wytarł twarz kępką trawy, zarzucił torbę na ramię i poszedł w ciemności w stronę drogi.

Podczas gdy Anders próbował odnaleźć swe położenie na Cumberland Fells, Alan Brice przykręcał pokrywę wziernika na torpedzie magnetycznej w przedziale torpedowym U700. Drugi oficer Evans wszedł do przedziału przez wodoszczelną grodz, trzymając w dłoni dymiący garnuszek.

- Kawa, panie Brice.

Brice z wdzięcznością przyjął napój i spróbował ostrożnie, bardzo starał się nie skrzywić.

- Zrobiłem dokładnie według pana wskazówek, panie Brice - oznajmił dumnie Evans. - Dobra, prawda? Brice odłożył garnuszek.

- Powiedzmy, że obaj uczyniliśmy pewien postęp: ja z moją torpedą, a pan z pańską kawą. Evans uśmiechnął się.

- Zostaje pan na próbny rejs?

- Za nic na świecie nie chciałbym go opuścić.

- Czy sądzi pan, że może zejść tak głęboko, jak wyskalowane są wskaźniki?

- Dlaczego nie? Spawany kadłub, nie ma żadnych nitów, które ciśnienie wody mogłoby wcisnąć do środka. Poza tym zrobiony jest z najlepszej stali Kruppa.

Evans nie dowierzał.

- Nasze skrzypią i jęczą jak obdzierane ze skóry na niecałych stu metrach.

- Nasze też - uśmiechnął się Brice. - Niech się pan nie przejmuję, jeszcze będziemy się mieli czym pochwalić wnukom. O której wychodzimy?

- Siódma zero zero.

Gallagher obudził się i natychmiast strach chwycił go za gardło. W ciemności poszukał zegarka, strącając z nocnego stolika książkę, lecz śpiąca dziewczyna nie poruszyła się. Było wpół do trzeciej. Z radością opadł na poduszkę. Nie sądził, że uda mu się zasnąć. Odsunął kołdrę i przyjrzał się dziewczynie. Znalazł ją w pubie koło doków. Jej męża powołano do wojska, a ona sama nie pałała chęcią wstąpienia do korpusu kobiet, nie mówiąc o pracy w fabryce. Ciekawe, ile mogła wydawać na życie. Gallagher zastanawiał się, ile mogła płacić za obskurny, mały pokój z podłogą nakrytą wytartym linoleum i ścianami pokrytymi niemodną, brązową tapetą.

Zwinął banknot pięcioletni w rurkę i nakrył dziewczynę, po czym delikatnie obudził ją dotykiem banknotu. Otworzyła oczy i starała się odepchnąć jego dłoń. Rozwinął banknot i pokazał jej. Jęknęła.

- Nie miałaś dosyć na jedną noc?

Lecz pieniądze wzięła.

- Sklepiarze nie chcą przyjmować piątek. Nie masz czegoś drobniejszego?

Gallagher uśmiechnął się i zrobił wulgarny żart. Dziewczyna westchnęła i zebrała siły.

Hartz odmierzył cyrklem odległości na mapie i obliczył pozycję samolotu: trzysta kilometrów na zachód od Irlandii i pięćdziesiąt stopni i dwadzieścia minut na północ. Sprawdził jeszcze raz wykorzystując antenę kierunkową na kadłubie junkersa. Zgadza się. Zapisał pozycję, wrócił na swoje siedzenie i podał Goderowi kawałek papieru.

- W porządku - powiedział starszy pilot. - Czas na zmianę kursu.

Goder wszedł w głęboki zakręt i wziął kurs na północ. Byli w połowie drogi do miejsca przeznaczenia.

Ulice szarego, kamiennego miasta były puste. Anders wszedł do bramy, która prowadziła chyba do nie oznakowanego sklepu, i uważnie rozejrzał się dookoła, nim rozwinął mapę i zapalił zapalniczkę. Mapa drogowa nie na wiele się przydała do zidentyfikowania miasta, lecz musiało to być Ulverston, bowiem w okolicy nie było żadnej innej miejscowości o podobnej wielkości.

Nagle usłyszał warkot silnika i szybko zgasił zapalniczkę. Był to samochód dostawczy piekarni z reflektorami, które miały bardzo wąskie wycięcia na strumień światła. Nazwa piekarni z boku samochodu była zamalowana. To samo dotyczyło tablic z nazwami miejscowości i numerów telefonów. Anglicy byli bardzo dokładni.

Szedł przez następne dziesięć minut, od czasu do czasu zatrzymując się, by spojrzeć w okna sklepów za śladami wskazówek. Zauważył dom, przy którego wejściowych drzwiach znajdowała się jakaś tablica. Zbliżył się, lecz na tablicy zamontowanej przez dumnego właściciela domu widniała tylko informacja, że w tym właśnie domu urodził się Stan Laurel, partner Olivera Hardy'ego ze słynnego duetu Flip i Flap.

Minął budkę telefoniczną. Po około stu metrach zorientował się i pobiegł z powrotem. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Z przejścia omal nie rozsypał zapalek. Oryginalna naklejka ze środka tarczy została usunięta i zastąpiona kawałkiem impregnowanego papieru, na którym widniał napis: ULYERSTON 234. Był w połowie drogi do Barrow.

Gallagher usiadł na krawędzi łóżka paląc papierosa. Dziewczyna znów zasnęła, ściskając w dłoni banknot. Spojrzał na zegarek. Była trzecia trzydzieści, co oznaczało, że do pierwszej transmisji zostało mu jeszcze pół godziny. Wstał i ubrał się, starając się nie obudzić dziewczyny. Spojrzał na nią i sięgnął do kieszeni kurtki, skąd wyjął portfel. Miał w nim sto funtów w używanych banknotach o niewielkich nominałach. Zawahał się. Dlaczego miałby jej pomagać? Co zrobili dla niego Anglicy, prócz tego, że zabili mu ojca? Lecz dziewczyna starała się mu dogodzić i nie usłyszał od niej ani słowa skargi. Wyjął z portfela wszystko, co miał, i rzucił na poduszkę. Nie poruszyła się nawet, gdy okrył ją kołdrą i delikatnie pocałował w policzek.

Cicho zszedł po schodach i tylnymi drzwiami opuścił budynek. Motocykl stał oparty o ścianę ubikacji. Dziesięć minut zabrało mu podłączenie anteny do wędki i przypięcie jej do plecaka. Wyprowadził maszynę na ulicę i pchał ją przez jakieś sto metrów, nim odważył się usiąść w siodełku i kopnąć starter.

Anders zorientował się, że jest blisko kresu swej wędrówki. Na dokładnej mapie północnej Anglii było zbyt wiele cech charakterystycznych, stosunkowo łatwych do zidentyfikowania w rzeczywistości, żeby mógł się pomylić. Mimo, że na zewnątrz miasto, podobnie jak Ulverston, wyglądało anonimowo, tym razem Anglicy zapomnieli o jednej rzeczy - ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia w oknie sklepu z gazetami podawały w większości adresy w Barrow.

Jakieś dwadzieścia metrów przed nim stał zaparkowany samochód. Z początku Anders sądził, że nikogo w nim nie ma, lecz nagle drzwiczki otworzyły się i ujrzał mężczyznę w czerwonej poświacie wnętrza. Barwa oświetlenia była mu znajoma, używano jej bowiem na łodziach podwodnych na stanowiskach dowodzenia, by nie oślepiac idących na nocną wachtę marynarzy. To oznaczało, że ma do czynienia z samochodem wojskowym. Wzdrygnął się, jednak szedł przed siebie, nie zmieniając rytmu kroków. Po chwili zauważył na samochodzie pętlę radiopelengatora, ale było już za późno, by zawrócić. Żołnierz, którego zauważył, usiadł na schodach i trzymał w dłoniach garnuszek z gorącym napojem, obserwując Andersa z zainteresowaniem.

Hartz przeszedł na tył samolotu i otworzył zawór u spodu dodatkowego zbiornika z paliwem. Poziom benzyny w okienku kontrolnym zaczął opadać. Mężczyzna ziewnął i przetarł oczy. Lecieli już ponad dziewięć godzin.

- Ten ma dobrze. - wymamrotał kapral Andersen, patrząc na Andersa, mijającego samochód. - Wyspał się, a teraz wraca na śniadanko na statek.

Kapitan ściągnął z ucha jedną z słuchawek.

- Mówił pan coś, kapralu?

- Jak długo będziemy tu jeszcze stali, panie kapitanie? Może nasz człowiek pojechał sobie do domu albo zmienił częstotliwość?

- Jeżeli tak, z pewnością namierzy go Charlie 1, kapralu - brzmiała odpowiedź.

Po chwili minął ich motocyklista z plecakiem i wędką.

Jeszcze wędkarzy tu brakowało, pomyślał kapral i ze smutkiem stwierdził, że jest jedynym żołnierzem w północnej Anglii, któremu nie była pisana ani chwila wytchnienia tej nocy.

Gallagher zauważył pętlę na dachu samochodu. Modlił się, żeby Anglicy tej nocy prowadzili nasłuch na innej częstotliwości, lecz znając swe szczęście, nie miał złudzeń. Spojrzał na zegarek w marnym świetle zasłoniętego reflektora. Za kwadrans czwarta. Całe piętnaście minut na dotarcie do doków i rozpoczęcie pracy.

Hartz usiadł przy radiostacji, założył słuchawki i dostroił odbiornik na falę 48.1 metrów. Zastanawiał się, kim jest tajemniczy radiooperator w Barrow, który ma ich naprowadzić na cel.

Mapa, którą miał na stoliku pod ręką, pokazywała, że okrążyli już prawie całą Irlandię. Za kilka minut Goder znów zmieni kurs na wschód. Hartz wyrztał przez okno, lecz nie widział nic poza chmurami. Od wybrzeża Francji przez cały czas lecieli w takich samych warunkach.

Gallagher zatrzymał maszynę i nasłuchiwał. Znajdował się w dokach, na typowej uliczce otoczonej z obu stron smętnymi rzędami krytych łupkową dachówką domów i sklepów, wybudowanych prawie dwieście lat temu, w okresie rewolucji przemysłowej. Cała okolica wyglądała tak samo - labirynt ponurych uliczek i brudnych domostw, gdzie tylko mosiężne kołatki i jasne, wypolerowane progi z piaskowca próbowały się przeciwstawić wszechobecnej atmosferze nędzy i beznadziei.

Przez dwa dni zaznajamiał się z układem ulic w tej dzielnicy, ucząc się na pamięć wszystkich nazw i sprawdzając, przez jakie zaułki zmieści się motocyklem, gdyby nagle musiał uciekać.

Po raz kolejny spojrzął na zegarek. Do pierwszego kontaktu pozostała minuta. Wyprostował się na siodełku, by antena znalazła się w dogodnej pozycji, i położył palce na przycisku klaksonu.

Hartz usłyszał delikatne dźwięki w słuchawkach i szybko sięgnął ku pokrętłu, zmieniającemu położenie anteny kierunkowej. Operator nadawał pięć impulsów z odstępami co dwie sekundy. Seria sygnałów trwała tylko tak długo, że wystarczało na ustalenie kursu. Sprawdził kąt pętli i przeliczył na współrzędne kursu. Junkers znajdował się o dwie minuty na bok od właściwego kursu. Nieźle, jak na taką odległość, pokonaną przy zerowej widoczności.

- Jest! - wrzasnął kapral Andersen, a słuchawki o mało nie spadły mu z głowy, gdy rzucił się z całej siły do pokrętła ustalającego położenie anteny.

Kapitan chwycił słuchawkę telefonu i rzucił parę szybkich słów do drugiego samochodu.

- Cholera! - zaklął Andersen. - Przestał.

- Tak szybko? - zdziwił się kapitan.

- To nie była wiadomość, panie kapitanie. Tylko pięć impulsów. Złapałem przynajmniej dwa z okolic doków. Siła sygnału osiem.

- Na pewno, kapralu?

- Tak jest. Wygląda na to, że mamy drania uśmiechnął się Andersen.

Kapitan spojrzął uważnie na podwładnego.

- Jest pan pewien? - zapytał powtórnie.

- Tak jest. Nawet usłyszałem, jaki ma nadajnik. Chyba domowej roboty, bo trzeszczy przy zamykaniu obwodu.

Kapitan potarł ołówkiem po brodzie.

- Charlie 1 nie złapał go - powiedział z namysłem. - A skoro nie nadał wiadomości, możliwe, że znów będzie nadawał.

Kapitan sięgnął po radiotelefon.

- Dam znać generałowi Bowenowi.

Dziesięć minut później dwa samochody wojskowe, z kompanią komandosów w każdym, zaczęły się przemieszczać po sennych ulicach Barrow.

Anders czuł, że się zgubił. Każda ulica wyglądała tak samo - nie kończące się rzędy domów z epoki wiktoriańskiej z taką samą łukową fasadą. Usłyszał przejeżdżające pobliską ulicą ciężarówkę i zdecydował, że lepiej będzie, gdy się ukryje, aż odjadą. Ulica, na której właśnie się znajdował, miała około trzystu metrów długości i z obu stron kończyła się skrzyżowaniem. Miała przy tym z lekka łukowaty kształt, co umożliwiało mu obserwację obu jej stron z jednego miejsca w połowie jej długości.

Odnalazł wąski przejazd między dwoma magazynami i przykucnął, nasłuchując dźwięku silników. Samochody albo odjechały, albo zatrzymały się na dłużej. Miał właśnie zamiar opuścić kryjówkę, gdy nagle na ulicy pojawił się motocykl. Anders wcisnął się w alejkę, zaś maszyna minęła go i zatrzymała się dokładnie po przeciwnej stronie ulicy.

Gallagher, nieświadom tego, że jest obserwowany przez zbiegłego niemieckiego jeńca, wyłączył silnik i nasłuchiwał. Po grzbiecie przebiegły mu ciarki, gdy śledząc pilnie wskazówkę sekundnika nie spuszczał palca z przycisku klaksonu. Podświadomie czuł, że coś jest nie tak, i musiał oprzeć się pokusie, by nie nadać sygnału tym razem lub przejechać na inną ulicę. Lecz nie, musi nadawać stąd, bo znajduje się blisko niemieckiej łodzi podwodnej, a w razie czego pozostaje jeszcze wąska alejka, którą może wykorzystać jako drogę ucieczki, gdyby oba końce ulicy zablokowano. Dokładnie w kwadrans po ostatniej transmisji nadał pięć impulsów.

Wokół panowała cisza. Po chwili starter zbudził do życia jakiś silnik w oddali. Nie było wiatru, więc równie dobrze dźwięk mógł nadejść z odległości mili. Może to przypadek, że został włączony tak szybko po skończonej transmisji, lecz tego typu zbiegi okoliczności nie wpływały korzystnie na jego pewność siebie. Zdecydował, że kolejny raz nada z przeciwnej strony ulicy, na wypadek gdyby

Anglicy dokładnie go namierzili.

Kapral Anderson zmarszczył brwi, przyglądając się mapie Barrow.

- To dziwne, panie kapitanie. Ostatnia transmisja nadeszła z zupełnie innej strony.

- Jest pan pewien, że nie pomylił się pan za pierwszym razem?

- Jak najbardziej - kapral nie spuszczał oka z mapy. - Może on się przemieszcza? Na pewno! Niech pan powie tym komandosom, żeby uważnie rozglądali się za jakimś pojazdem.

Anders powziął przekonanie, że motocyklista jest policjantem wysłanym na poszukiwania zbiegłego jeńca i doskonale wie, gdzie on się ukrywa, teraz tylko bawi się z nim w kotka i myszkę. Z całych sił próbował się przekonać, że jest po prostu przypadkowym człowiekiem, któremu zepsuł się motocykl. Tylko czy na pewno? Anders zebrał się w sobie, gdy mężczyzna ponownie zapalił silnik.

Gallagher zawrócił i pojechał ku przeciwnemu krańcowi ulicy. Znow zgasił silnik i wyteżył słuch w mrok nocy. Nic. Sprawdził na zegarku. Minuta do kolejnego sygnału. Za parę godzin zrobi się jasno. Od strony morza nadchodziła mgła. Chuchnął na zmarznięte dłonie. Przynajmniej teraz nie miało to znaczenia, bowiem nie przekazywał meldunków - tylko przekłete pięć impulsów co piętnaście minut.

Sięgnął ku przyciskowi klaksonu. Udało mu się nadać tylko dwa impulsy, bo warkot silników oznajmił mu, że ciężarówki są już bardzo blisko, może nawet na następnej ulicy.

Hartz myślał z początku, że nawalił mu odbiornik. Udało mu się odebrać tylko dwa sygnały od Gallaghery, po czym zaległa cisza. Spróbował ustawić dokładnie antenę, lecz bez rezultatu. Zmienił częstotliwość na Oslo, skąd nadawano jakiś koncert, po czym znow wrócił na czterdzieści osiem metrów. Odbiornik działał bez zarzutu.

Gallagher kopnięciem włączył silnik i z dużą prędkością przejechał na drugi koniec ulicy. Zatrzymał się, nie wiedząc, co ma robić. Nie skończył transmisji i był pewien, że samolot lecący do Barrow nadal pozostaje na nasłuchu. Teraz Anglicy z pewnością wiedzą już, że może się poruszać, więc nadawanie z tego samego miejsca może ich wprowadzić w błąd.

Anders usłyszał cichy szum od strony ulicy, na której znajdował się motocyklista. Wychylił się ostrożnie zza węgła i zobaczył samochód wojskowy, jak z wyłączonym silnikiem powoli wytraca prędkość i zatrzymuje się. Żołnierze, uzbrojeni w karabiny maszynowe zeskoczyli z platformy. Najprawdopodobniej mieli na sobie buty z miękkimi podeszwami, gdyż formując na drodze dwuszereg poruszali się niemal bezszelestnie.

Anders chwycił swą torbę z rzeczami i skulony pospieszył na drugi koniec alejki. Zastygł bez tchu, gdy doszły go stamtąd ciche głosy rozmowy. Oznaczać to mogło tylko jedno - żołnierze obstawili całą okolicę. Nie było żadnych szans na ucieczkę. Zawrócił powoli w stronę wejścia do alejki.

Gallagher włączył silnik i skierował się w stronę czekających komandosów. Nie zauważył ich

aż do momentu, gdy znalazł się u wylotu poprzecznej uliczki, w której czaił się Anders. Nagle cała ulica pogrążyła się w świetle odkrytych reflektorów wojskowej ciężarówki.

- Stać!

Gallagher podciął motocykl i zredukowawszy na drugi bieg zawrócił w miejscu i popędził w przeciwną stronę. Jednak w tej samej chwili pojawił się przed nim drugi samochód i podobnie jak pierwszy oświetlił motocyklistę.

- Stój, bo strzelam!

Alejka była jedyną nadzieją Gallaghera. Zerwał osłonę z reflektora maszyny i włączył długie światła. Zawrócił w poślizgu i kładąc się płasko na baku skierował ku alejce. Hałas motocykla pędzącego wprost na niego w wąskiej alejce był ogłuszający. Nieoczekiwany blask oślepił Andersa. Czy rzeczywiście motocyklista chce go zabić? Nie miał nawet czasu wspiać się w górę po ścianach, które otaczały obie strony wąskiego przejścia. Nagle do ryku silnika dołączył trzask ciągłego ognia maszynowego. Świszczące kule odłupywały tynk znad głowy Andersa. Rzucił na ziemię swoją torbę i przyłgnął do ściany w chwili, gdy motocyklista krzyknął i wyrzucił dłonie w powietrze. Wydawało się, że impet trafiających w cel kul wprost wysadza mężczyznę z siodełka. Ręce i nogi zamachały bezradnie w powietrzu, po czym bezwładne ciało trafiło w ziemię, przewróciło się kilkakrotnie i zatrzymało o niecałe dwa metry od Andersa. Motocykl bez kierowcy wzniecił snop iskier ocierając kierownicą o ściany, nim przewrócił się na bok z wciąż obracającym się tylnym kołem i świecącym reflektorem.

Anders stał w miejscu bez najmniejszego ruchu, nie ośmielając się nawet odдыchać. Motocyklista nie ruszał się. Szklistymi oczyma spoglądał na Andersa.

Nagle silnik maszyny umilkł i zaległa dziwna cisza. Dym z luf żołnierzy mieszał się z mgłą odchodzącej nocy, która wydawała się fosforyzować w eterycznym świetle tylnej lampy maszyny.

Czterech żołnierzy w mundurach khaki, prowadzonych przez sierżanta, podbiegło ku ciału Gallaghera. Pochylili się nad nim z karabinami gotowymi do strzału. Sierżant przyklęknął na jedno kolano przed leżącym, lecz nie musiał badać ciała zbyt dokładnie. Gdy się wyprostował, zauważył Andersa, wpatrującego się weń szeroko otwartymi ze strachu oczyma. Sierżant wyprostował się, przesunął karabin, który teraz znalazł się na wysokości piersi Andersa i ruchem głowy dał mu znak, by poszedł w stronę samochodów. Anders posłusznie poszedł we wskazanym kierunku.

- Hej, ty!

Anders zatrzymał się i obejrzał. Sierżant pokazywał na torbę, którą Anders upuścił.

Goder zaklął na cały głos, gdy Hartz powiedział mu, że sygnały z Barrow przestały nadchodzić. W chwili, gdy odebrali pierwsze dwa, przestali obliczać swą pozycję. Hartz wrócił na swoją pozycję i obliczył w przybliżeniu położenie w oparciu o sygnały z trzech pobliskich nadajników BBC. Nie mogli jednak opierać się wyłącznie na nich, bowiem BBC obok głównych stacji nadawczych wybudowała po kilka mniejszych, by uniemożliwić Luftwaffe wykorzystanie ich w

nawigacji.

Goder przez chwilę zastanawiał się, czy nie przerwać misji i nie zawrócić. Bez sygnałów naprowadzających mieli bardzo małe szansę znalezienia łodzi. Jedyne wspomnienie twardego spojrzenia szarych oczu Doenitza sprawiło, że zdecydował się lecieć dalej.

Anders stał w pobliżu samochodu, gdy komandosi ładowali ciało motocyklisty na platformę. Był zdziwiony, bo choć żołnierze go złapali, wydawali się zupełnie nim nie interesować. Bardziej zajmował ich motocykl zabitego.

- Jeszcze tu jesteś, marynarzu? - zapytał sierżant. Anders mrugnął, nie rozumiejąc.

- Z okrętu podwodnego? - zapytał ponownie sierżant.

Anders skinął głową.

Sierżant objął go przyjaźnie ramieniem i odprowadził kawałek od samochodu.

- Widziałeś chyba gorsze rzeczy. Ale wracaj na swoją łódź i zapomnij o wszystkim.

Zaskoczony Anders wolnym krokiem odszedł ze sceny wydarzenia. Sierżant patrzył na znikającą sylwetkę i smutno pokręcił głową, nim odwrócił się do żołnierzy i wydał nowe rozkazy.

Dwie ciężarówki minęły Andersa, gdy szedł w dół ulicy. Z pierwszej pomachała mu przyjaźnie dłoń sierżanta. Szedł na ślepo, jak ogłuszony, zastanawiając się, czy nie zawrócą nagle, by go arestować. Nie miał pojęcia, gdzie jest, lecz w powietrzu czuł już niepowtarzalny zapach morza. Na skrzyżowaniu samochody z żołnierzami skręciły w prawo, a wtedy ich światła trafiły na wielką tablicę, wiszącą na murze, który otaczał jakąś fabrykę.

- STOCZNIA VICKERSA - przeczytał półgłosem.

Tylko główne wejście do stoczni było strzeżone. Pogwizdując jakąś melodię, Anders minął dwóch policjantów i doszedł do końca ulicy, gdzie bocznym przejściem można się było dostać na teren zakładu. Wspiął się po ogrodzeniu i zeskoczył za stosem odlewów kół zębatach do przekładni okrętów podwodnych. Wtedy usłyszał odgłos chlupiącej wody. Kryjąc się między stosami ładunku i sprzętu stocznioowego, kierował się cały czas w stronę magicznego dźwięku. Przeszł właśnie przez szyny dźwigu dokowego, gdy obok otworzyły się drzwi. Natychmiast ukrył się za olbrzymią skrzynią. Usłyszał męskie głosy i śmiech, potem odgłosy kroków na betonie. Podniósł głowę i nasłuchiwał. Od wschodu niebo bladeło wraz z pierwszym zwiastunem świtu. Mniej niż dwadzieścia metrów od niego kilkunastu marynarzy wchodziło na pokład. Gdy poznał kształt kiosku okrętu, wiedział, że zakończył poszukiwania.

Poruszając się bezszelestnie, odnalazł śliskie stopnie wykute w nabrzeżu, które prowadziły prosto do wody. Stłumił bezwolny dreszcz, gdy zimna woda objęła mu ciało. Brezentowa torba z ładunkiem płynęła, dokładnie tak, jak zaplanował w obozie. Popychał ją przed sobą podbródkiem, pokonując krótki dystans, dzielący go od U700.

Evans wsadził uradowaną twarz do dziobowego przedziału torpedowego, gdzie pracował Brice.

- Dzień dobry, panie Brice. Kończymy okrętować załogę. Za chwilę rzucamy cumy.

- Kiedy dotrzemy na miejsce prób? - zapytał Amerykanin.

- Za jakieś cztery godziny - odparł Evans.

- W takim razie zdrzemnę się trochę - powiedział Brice, układając się wygodnie na koi. Evans uśmiechnął się.

- Powinien pan. A my nie będziemy przeszkadzali.

Anders przytulił się do wieżyczki od strony rufy, gdy dwóch marynarzy odwiązało cumy i odbili. Zawołali coś do niewidocznego mężczyzny na mostku. Silniki elektryczne zaczęły odsuwać rufę łodzi od brzegu. Anders sięgnął do torby i obok pudełka po butach wymacał rewolwer. Na szczęście marynarze wracali na mostek po pokładzie dziobowym. Anders rzucił się do przodu i przykucnął za działem przeciwlotniczym, gdy wspinali się na mostek. Gdyby go zauważył oficer, miał zamiar wycelować weń broń i uruchomić zapalnik bomby. Na szczęście nikt go nie widział. Odetchnąwszy z ulgą Anders wrócił do bezpiecznego schronienia pod kratownicą pokładu, by zastanowić się, co robić dalej. Najłatwiej byłoby oczywiście podłożyć ją w pobliżu kiosku, żeby dotykała kadłuba. Ale jeżeli Anglicy zabierali ją na próby pełnomorskie, lepiej byłoby zatopić ją na głębszej wodzie, by utrudnić jej wyciągnięcie.

Jasność poranka zdradzała, że U700 bierze kurs na zachód, wychodząc na pełne morze. Anders zdecydował, że jeszcze zaczeka.

- Co robimy? - zapytał przygnębiony Hartz.

- Musimy lecieć dalej. - powiedział Goder. - Jeżeli jesteśmy na właściwym kursie, za godzinę powinniśmy być nad celem. Za późno, żeby wracać.

Hartz spojrział w dół przez szybę na mgłę przewalającą się nad powierzchnią morza. Junkers leciał na wschód w stronę porannej zorzy.

- W takiej mgle nie znajdziemy U700 - zauważył Hartz.

Goder uśmiechnął się i wskazał gestem na dźwignię zwalniająca torpedę między ich fotelami.

- Nie zmarnujemy tej ślicznotki. Znajdziemy ją.

U700 zbliżała się właśnie do ujścia rzeki, gdy Anders postanowił, że czas działać.

Młody oficer, pochylony nad osłoną mostku, miał właśnie dać rozkaz przełączenia napędu na silniki diesla, lecz jego dłoń nie dosięgła pokrywy rury głosowej. Chłodna lufa rewolweru dotknęła nagle jego szyi.

- Nic nie mówić - powiedział chropawy głos z obcym akcentem.

Oficer spojrział na broń i zauważył błyszczące kule w komorach nabojoych.

- Rozumieć? - powtórzył głos.

Oficer skinął głową.

Anders odsunął się od oficera, trzymając broń wymierzoną w jego pierś. Przez myśl przeleciało mu wspomnienie chwili, gdy na tym samym mostku, całe wieki temu, wycelował broń w kapitana Weinerja. Tym razem nie będzie się wahał.

- Umie pływać?

Oficer zawahał się, po czym pokiwał głową. Niechętnie zszedł na kratownicę pokładu w odpowiedzi na znaczący gest Andersa.

- Czapka i kurtka.

Oficer rzucił je pod nogi Andersa. - Teraz pływać - Anders pomachał bronią w stronę brzegu. - Pływać! - powtórzył głośniejszym głosem i odwiódł kurek. Oficer spojrział na spienioną wodę za tylnym zbiornikiem balastowym i skoczył.

Anders poczekał, aż mężczyzna dopłynie do brzegu, potem ubrał czapkę i kurtkę oficera. Wspiąwszy się na wieżyczkę, otworzył skrzynkę, w której znajdowały się aparaty do oddychania Draegera, na wypadek konieczności opuszczenia łodzi przez załogę. Wziął jeden z nich i przyjrzał mu się krytycznie. Składał się z worka tlenowego, połączonego krótką rurką z gumową maską, która całkowicie zakrywała twarz noszącego. Poza tym zmieniała jego głos nie do poznania.

Jeżeli świece dymne znajdowały się jeszcze w pokładowych schowkach, powinno mu pójść łatwiej, niż przypuszczał.

Dwóch naukowców i Evans odwróciło się z zaskoczeniem, widząc młodego oficera z maską na twarzy, wpadającego niespodziewanie na stanowisko dowodzenia.

- Pożar! Szybko! - rzucił Anders. - Wszyscy na pokład!

- Gdzie? - zapytał Evans.

- Na pokładzie! Szybko!

Słowa brzmiały poważnie, więc Evans nie tracił czasu, zwołując załogę i prowadząc ku drabinie.

- W przedziale dziobowym jest jeszcze pan Brice... - zaczął.

- Na pokład! - przerwał mu Anders, nie zrozumiałszy jego słów. Evans pospieszył w ślad za

załogą pozostawiając Andersa samego. Anders ściągnął maskę i zniżył peryskop na poziom, na którym można było korzystać z niego na stanowisku dowodzenia, bez konieczności wychodzenia do kiosku. Chwycił za uchwyty i obrócił, widząc kłęby czarnego dymu, który wydobywał się spod kratownicy. Umyślnie schował świecę dymną na samej rufie, gdzie pokład zwiężał się i wchodził w pianę wodną na linii zanurzenia. Trudno będzie im sprawdzić, co się właściwie stało. Uśmiechnął się, widząc jak marynarze próbują utrzymać równowagę na wąskiej, śliskiej stalowej kładce, chcąc podłączyć oporny gumowy wąż do kranu na pokładzie.

Reszta poszła łatwo. Chwyciwszy za olbrzymie koło sterowe przekręcił nim na bok tak szybko, jak mógł, łapiąc się skózanego uchwyty, gdy łódź gwałtownie weszła w przechył. Marynarze nie mieli się czego chwycić, z wyjątkiem samych siebie. Gdy ponownie spojrzął przez peryskop, na pokładzie nie było nikogo. Na wodzie, w kilwaterze łodzi, widać było głowy mężczyzn, podskakujące na fali. Miał nadzieję, że wszyscy umieją pływać.

Przełączył peryskop na największe możliwe powiększenie i przyjrzał się z bliska linii brzegu. Pięć mil przed nim, z tyłu, po prawej stronie, porośnięte gęstym lasem zbocza stykały się ze skalistym urwiskiem. Po lewej znajdowała się mała, piaszczysta zatoczka. Anders stwierdził, że gdy zdetonuje bombę blisko brzegu, to nie dość, że skały przybrzeżne utrudnią operację wyciągnięcia, jeżeli nie całkiem ją uniemożliwią, lecz także będzie miał szansę dopłynąć do brzegu w zatoce.

Ustalił kurs na brzeg i wrócił do steru.

Kapitan jednostki straży przybrzeżnej patrzył w stronę morza przez lornetkę.

- Wezwij Barrow i powiedz im, żeby wysłali za niemiecką łodzią podwodną szybki ścigacz ze sprzętem przeciwpożarowym! Pali się! - krzyknął do swego kolegi.

W pobliżu skał woda była spokojna. Anders wszedł do maszynowni i wyłączył ślizgowe przełączniki silników elektrycznych. U700 wytracała prędkość.

Nagła cisza na pokładzie łodzi obudziła Brice'a. Usiadł na koi i ziewnął potężnie.

Przyklękawszy, Anders otworzył właz w podłodze stanowiska dowodzenia, który dawał dostęp do przedziału baterii, mieszczącego się dokładnie w połowie długości łodzi. Było to chyba najlepsze miejsce do podłożenia ładunku, który miał ją rozerwać na dwoje. Położył rewolwer na podłodze obok siebie i otworzył pudełko po butach. Sześć granatów nadal znajdowało się na swoim miejscu. Nakręcił budzik, który natychmiast zaczął tykać, i ustawił mechanizm, by za dwie minuty zaczął wyciągać zawleczkę z granatu. Miał właśnie zamiar włożyć ją przez właz, gdy padł na niego cień. Podniósł głowę.

- Kto tam jest, do cholery? - spytał zaskoczony

Brice.

Anders próbował sięgnąć po broń, lecz Amerykanin był szybszy i kopnął ją w kąt pomieszczenia. Anders wstał i zamachnął się desperacko, lecz Brice uchylił się i dłoń Andersa

trafiła w koło sterowe. Nagły dreszcz bólu sprawił, że krzyknął. Nim doszedł do siebie, Brice trafił go potężnym ciosem w brzuch, który posłał go na kolana, z trudem łapiącego powietrze.

Nagle budzik zaczął brzęczeć. Zaskoczony Brice podniósł pudełko. Jedno spojrzenie wystarczyło, by dostrzec, jak obracająca się dźwignia wyciąga zawleczkę z granatu. Wiedział, że do wybuchu zostały jeszcze tylko kilka sekund. Wybiegłszy po drabinie na mostek wyrzucił bombę na zewnątrz. Eksplozja granatu rzuciła go na peryskop i trafił głową w celownik torpedowy, po czym nieprzytomny stoczył się na dół.

Hartz w podnieceniu wskazał na fontannę wody wznoszącą się koło urwistego brzegu. Goder ustawił ostrość lornetki na czas by zauważyć drugą, znacznie większą eksplozję. Po opadnięciu piany wodnej Goder zauważył, że w pobliżu wybuchu znajduje się łódź, której profil dokładnie odpowiadał kształtowi łodzi klasy VIIC Kriegsmarine.

Z okrzykiem tryumfu Goder odłożył lornetkę i sprowadził junkersa do nurkowania. Podekscytowany Hartz chwycił lornetkę. Do łodzi podwodnej zbliżał się ścigacz torpedowy. Znajdował się o jakieś trzydzieści kilometrów od łodzi, lecz poruszał się na tyle szybko, że za kwadrans mógł znaleźć się przy niej.

- Mamy ją! - krzyknął Goder.

Trzy silniki BMW jęknęły w proteście, gdy na wysokości siedemdziesięciu metrów Goder wyrównał lot i otworzył przepustnice, by zachować tę samą prędkość w locie poziomym.

Anders nie zwracał uwagi na Brice'a, który zaczął poruszać się u jego stóp i skupił uwagę na atakującym samolocie, który leciał nad samą powierzchnią morza, prawie ocierając się o czubki fal. Nie miał zamiaru pozwolić Anglikom przeszkodzić sobie w misji zniszczenia łodzi. Nie po to zaszedł tak daleko.

Przecisnął się obok Brice'a i zeskoczył na tylny pokład, stając za celownikiem sprzężonego działa przeciwlotniczego. Dokładnie wymierzył w nadlatującą maszynę. Zaczął strzelać nieprzerwaną serią, wstrząsany siłą odrzutu skakającego działa, na poły oszołomiony gryzącym dymem prochu i ogłuszony rykiem eksplozji pocisków. Grad łusek spadał na pokład, odbijając się z brzękiem od stalowej kraty. Widział, jak pociski smugowe kreślą łuk w kierunku samolotu. Do góry i w lewo. Za dużo. W prawo. Teraz dobrze!

Junkers znajdował się sto metrów od łodzi, gdy nadział się na ścianę niklu i ołowiu. Kule rozerwały na strzępy prawe skrzydło samolotu, odrywając od niego silnik, który trafił prosto w bok samolotu. Tablica przyrządów zmieniła się w bezładną plataninę metalu i latających odłamków szkła.

Hartz zginął na miejscu, gdy kometa pocisku smugowego rozorała mu pierś. Goder przeżył go zaledwie o kilka sekund - ale zdążył jeszcze zwolnić zaczep torpedy, nim jego bezwładne ciało pochyliło się do przodu.

Brice wstał niepewnie i patrzył na wpadające do wody szczątki junkersa, wzniesioną fontannę wody. Lewe skrzydło maszyny wspięło się leniwie w górę, a dwa czarne krzyże kpiąco

mignęły w stronę Andersa, jakby machając mu na pożegnanie.

- Nie! - krzyknął poblady z rozpaczy Anders. - To niemożliwe!

Brice wskazał palcem na wodę.

- Torpeda!

W ułamku sekundy dostrzegł, że zmierza ku nim stary typ torpedy, zwanej pogardliwie grzejnikiem, bo zostawiał za sobą ślad w postaci pęcherzyków sprężonego powietrza.

Brice przygotował się na eksplozję, jednak nic takiego nie nastąpiło. Odwrócił się i zobaczył, że torpeda przeszła pod nimi i gnała w stronę zatoczki o sto metrów za nimi. Gdy patrzył w ślad za nią, nagle wynurzyła się na powierzchnię. Brice domyślił się, że masa pocisku, zrzuconego z samolotu, ściągnęła go zbyt głęboko pod wodę i dopiero teraz osiągał właściwą głębokość. Torpeda, przeorawszy fale trafiła w brzeg i wryła się na kilka metrów w stromą plażę, pokazując bezradne śmigła kręcących się w przeciwne strony śrub.

Niewypał, pomyślał Brice. Gdyby miała głowicę magnetyczną, wybuchłaby tuż pod nimi.

W ciszy, która potem nastąpiła, Brice usłyszał ryk ścigacza i przypomniał sobie o drugim mężczyźnie na pokładzie. Odwrócił się, lecz było już za późno. Poczł, jak pada na pokład pchnięty przez Andersa, który po chwili zniknął we wnętrzu łodzi i zamknął za sobą właz.

Po kilku minutach miotania się na stanowisku dowodzenia, Anders zdał sobie sprawę z tego, że to, co robi, nie ma najmniejszego sensu. Załamując ręce ukląkł na podłodze, pośród zniszczonych czujników i zegarów. Wtedy kątem oka dostrzegł małą tabliczkę z napisem: STAN UZBROJENIA.

Przez chwilę patrzył na nią.

- Głowica - wyszeptał do siebie.

Brice zarzucił bezowocne próby otwarcia włazu i odwrócił się w stronę zbliżającego się ślizgacza, który pędząc przed sobą dwie chmury rozbryzgiwanej wody znajdował się o jakieś cztery mile od U700.

Anders przestał kręcić korbą podnośnika, gdy był pewien, że głowica pocisku znajduje się na tyle wysoko nad podłogą przedziału torpedowego, że zdetonuje upadając. Potem ułożył pod nią prawdziwą piramidę zasłon, materaców, koców i papierów - wszystkiego, co mogło się palić. Pracował zawzięcie, wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu. Gdy włożył ostatni materac, z jego koi spadło cygaro, подарowane mu przez Kretschmera podczas imprezy na cześć przyjęcia U700 na służbę. Rzucił na nie okiem i odruchowo wsunął do kieszeni. Potem znalazłszy duży pojemnik z rozpuszczalnikiem, polał nim obficie przedział torpedowy i stos pod pociskiem. Sprawdził, czy ma zapalniczki i sięgnął w górę, otwierając właz luku załadunkowego.

Gdy Brice ujrzał, jak Anders wychodzi przez właz dziobowy i stara się zapalić zapalniczkę, przeskoczył przez barierkę na tylnym pokładzie i rzucił się w jego kierunku.

Wpadając na Niemca z impetem, rozrzucił wkoło zapaliki na mokrym pokładzie. Z wściekłością Anders wyrwał zza pasa rewolwer i nie celując oddał strzał. Brice uchylił się, lecz kula przeszła mu ramię pod łokciem. Krzyknął z bólu i ledwo utrzymał się na pokładzie, przytrzymując się zdrową ręką relingu.

Ślizgacz oddalony był o niecałe ćwierć mili i dokładnie widać było na jego pokładzie grupę marynarzy wraz z częścią załogi U700, których podniósł z morza.

Na poły przeklinając, na poły płacząc, Anders odnalazł pudełko z zapalnikami. W środku została tylko jedna.

- Proszę, żebyś była sucha. Boże, pomóż mi, spraw, żeby była sucha i żeby mi się tak ręce nie trzęsły!

Potarł zapalnik i wrzucił ją przez właz do środka, rzucając się na bok od otworu, by uniknąć potężnego języka ognia, który po chwili pojawił się na zewnątrz. Za kilka minut ogień przepali linę, na której wisiała głowica.

Brice patrzył na płomień nie dowierzając własnym zmysłom. Zapomniał o bólu zranionej ręki i krwi, wsiąkającej w rękaw.

- Moje notatki! - zawołał, rzucając się do przodu, jakby miał zamiar jakimś cudem zgasić szalejące wewnątrz okrętu piekło.

Anders chwycił go za ramiona i wskazał w stronę zatoczki.

- Na brzeg!

Brice potrząsnął głową, jakby nic nie zrozumiał. Anders wsadził rewolwer głębiej za pas, objął Amerykanina ręką i odbił się od pokładu, ciągnąc go za sobą do wody. Obaj wypłynęli plując wodą.

- Moja ręka! - krzyknął Brice, walcząc z falą o oddech. - Nie dam rady pływać!

Anders chwycił Brice'a za kołnierz i pociągnął w stronę brzegu.

Ślizgacz ostrożnie zbliżył się do płonącej łodzi. Grupa marynarzy skierowała ostry strumień wody na języki płomieni, wydobywające się z luku dziobowego U700. Kolejny strumień wody zdusił płomień do dymu, a ten z kolei do syczącej pary. Kapitan dał rozkaz przybicia do okrętu, lecz nie ryzykował - kazał nadal pompować wodę przez otwarty właz.

Anders przestał płynąć, gdy zorientował się, że może swobodnie iść po dnie. Pomógł Brice'owi stanąć na nogi i obaj przebrnęli kilkanaście ostatnich metrów przez spienione fale do brzegu i zmęczeni padli na plażę. Brice trzymał się za rękę próbując zatamować upływ krwi, zaś Anders, dostrzegłszy plamę krwi na piasku, powiedział:

- Przepraszam.

Wstał przygnębiony i popatrzył w stronę okrętu podwodnego. Z włazu wydobywała się tylko wąska smużka dymu. Jakiś marynarz z pokładu ślizgacza przeskoczył na okręt podwodny i zbliżył się do otwartego włazu.

Brice zawołał na Andersa i pokazał mu na szczyt klifowego wzgórza nad zatoką. Dwa samochody wojskowe, które Anders widział tego ranka w Barrow, wynurzyły się zza drzew. Uzbrojeni żołnierze prowadzeni przez znajomego sierżanta wyskakiwali na trawę. Anders był przekonany, że tak samo jak motocyklistę, czeka go śmierć. Zapominając o Amerykaninie, rzucił się pędem w stronę wzgórza, potykając się o stos kamieni, który niedawna lawina usypała pod wzgórzem.

- Stój! - krzyknął głos z góry, lecz Anders dalej wspinał się w kierunku skalnego nawisu. Kula odłupała grad kamieni od pobliskiego głazu, gdy Anders dawał nura za krawędź skały, wyciągając rewolwer. Zostało mu jeszcze pięć nabojów, dzięki którym będzie mógł udowodnić, kim naprawdę jest. Zauważył cień munduru khaki pod samym szczytem wzgórza i strzelił w jego stronę.

Kolejne dwie kule odbiły się od głazu, za którym się ukrywał. Nie słyszał, jak sierżant zeskoczył na półkę nie opodal.

- Rzuć broń!

Anders błyskawicznie skierował broń w kierunku głosu, lecz sierżant pierwszy nacisnął spust. Kula przebiła brzuch Andersa i opryskała skały krwią i szczątkami kości.

Marynarz znalazł się w przedziale torpedowym U700 i w niemym zdumieniu patrzył na czarny pocisk wiszący głowicą w dół na poczerniałych resztkach liny. Jeden po drugim, ostatnie włókna splotów rozchodziły się pod półtonowym ciężarem. Marynarz rzucił się na torpedę, objął i przytulił w ostatnim uścisku.

Lecz nie udało mu się. Torpeda upadła.

Anders żył jeszcze, gdy potężna eksplozja rozerwała dziób U700 i rzuciła Ślizgacz burtą o powierzchnię morza, jakby był dziecinną zabawką. Śruby U700 znalazły się wysoko w powietrzu. Wieżyczka z peryskopami zniknęła pod wodą, potem widać było już tylko wir leniwych baniek powietrza na środku plamy oleju, która wskazywała miejsce, gdzie U700 zanurzyła się po raz ostatni.

Żołnierze kończyli właśnie rozbierać przenośny dźwig, z którego pomocą wyciągnęli ciało Andersa na szczyt, gdy na miejsce przybyli wprost z obozu siostra Lillian Baxter i major Veitch . Sierżant zaprowadził ich do samochodu i odsłonił koc, nakrywający nosze.

- Tak - powiedziała cicho pobladła Lillian. To on.

- Miał broń - powiedział sierżant, usprawiedliwiając się. - Nie miałem wyboru - albo on albo ja.

- Rozumiem - skomentował Veitch . Sierżant podał im dużą, szarą kopertę.

- Rzeczy, które przy nim znaleźliśmy. Głównie osobiste. Była też mapa, ale wysłaliśmy ją do kwatery głównej.

- Dopilnuję, żeby dotarły do jego rodziny - powiedziała Lillian, biorąc kopertę.

Major Veitch nie znośił kłamać. Z wzrokiem wbitym w notatnik, by nie musiał skrzyżować go z przenikliwym spojrzeniem Kretschmera, zaczął mówić, niezgrabnie dobierając słów:

- Ukrywał się w szałasie. O jakieś trzy mile od obozu. Znalazło go tam dwóch ludzi ze straży cywilnej.

- Uzbrojonej straży cywilnej? - przerwał z niedowierzaniem kapitan.

- Tak. Ale uciekł im. Wołali za nim kilkakrotnie, żeby się poddał, ale nie zwracał na nich uwagi. Jeden z nich strzelił, chcąc go zranić, lecz kula poszła wyżej. Veitch zamilkł na chwilę. - Umarł, zanim przybył doktor. Pogrzeb odbędzie się w wiosce Hawkshead. Tym oficerom, którzy zechcą wziąć udział w pogrzebie, jestem gotów dać przepustki, pod warunkiem, że zgodzą się ubrać na swoje mundury płaszcze marynarki brytyjskiej, żeby nie drażnić mieszkańców wsi.

- Dziękuję, panie majorze - powiedział beznamiętnie Kretschmer.

- Siostra Baxter przekaze panu jego rzeczy, żeby przesłać rodzinie.

Po chwili major dodał:

- Nie oczekuję, że mi pan powie, jak uciekł, więc nie będę pana obrażał pytaniem.

Obaj mężczyźni wstali, oddając sobie honory. Kretschmer miał zamiar otworzyć drzwi, kiedy Veitch przemówił:

- Panie kapitanie... Kretschmer odwrócił się.

- Porucznik Anders był bardzo dzielnym człowiekiem.

Lillian usiadła na krześle w swym gabinecie i wysypała na biurko zawartość koperty z rzeczami po Andersie. Oczom jej ukazał się srebrny medal św. Krzysztofa i portfel, w którym znajdowały się rozmiękłe na skutek działania wody zdjęcia i resztki nie wypalonego cygara. Widok tego ostatniego zaskoczył ją, bo nigdy nie widziała, żeby Anders palił. Podniosła wzrok i ujrzała szczupłą sylwetkę Kretschmera idącą przez trawnik w stronę domku. Odgadła, że przychodzi po rzeczy Andersa i szybko wsunęła je do szuflady, nie chcąc dać mu poznać, że przyglądała się jego zdjęciom.

Usłyszała kroki na korytarzu i wzięła głęboki oddech. Bała się Kretschmera, a on chyba zdawał sobie z tego sprawę.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym w gabinecie pojawił się Kretschmer.

- Przyszedłem po rzeczy porucznika Andersa - zaczął.

- Prześlę je do pana biura, kapitanie - odpowiedziała Lillian nie podnosząc głowy.

Gdy Kretschmer miał zamiar zamknąć drzwi, zebrała się na odwagę:

- Przykro mi z powodu tego, co przytrafiło się Bernardowi... To znaczy porucznikowi Andersowi - poprawiła się niepewnie.

Spojrzała na niego i gdy napotkała zdecydowane spojrzenie jego oczu, opuściły ją zupełnie resztki odwagi, więc żeby pokryć zmieszanie wykrztusiła:

- Jest pan marynarzem, żołnierzem... więc chyba... jedna śmierć więcej nie robi panu... - zająknęła się, szukając właściwego słowa, lecz przerwał jej Kretschmer.

- Jedna śmierć to już o jedną za dużo. Bez względu na to, czy spotyka kobietę, mężczyznę, czy dzieci. Czy też pielęgniarkę w szalupie.

Lillian wpatrzyła się zdecydowanym wzrokiem w przenikliwe oczy, szukając dostępu do myśli, jakie się za nimi kryły.

- To znaczy, że wiedział pan cały czas? Kretschmer pokiwał głową.

- Była pani siostrą?

- Tak. Skąd się pan dowiedział?

- Jest pewne podobieństwo. Poza tym dostała się w nasze ręce lista pasażerów z "Walvis Bay." Była wśród nich sanitariuszka, Elaine Baxter.

- Zmarła z wyziębienia organizmu - powiedziała głucho Lillian.

- Przykro mi - powiedział Kretschmer.

- Cały czas pan wiedział - powtórzyła Lillian z niedowierzaniem.

- Jej twarz jest wśród żywych, tak samo jak porucznika Andersa - powiedział Kretschmer. - Takimi zawsze będę ich pamiętał.

Przerwał na chwilę, jakby zastanawiając się nad czymś.

- Musi mi pani wybaczyć, ale muszę zająć się pogrzebem.

Lillian wsłuchiwała się w jego cichnące kroki. Otworzyła szufladę i wróciła do smutnej kolekcji pamiątek po Andersie. Przez chwilę była niezdecydowana. Wzięła do ręki resztki cygara i przyglądała się im uważnie, nim podjęła ostateczną decyzję.

Wyciągnąwszy z biurka papier i kopertę, napisała na niej: "Kapitan Otto Kretschmer" i położyła notes przed sobą.

Spisanie pełnego sprawozdania o tym, co wiedziała o zniszczeniu U700 zabrało jej niewiele

ponad dziesięć minut.

Stein pobladł na twarzy. Stał na baczność i z pogardą patrzył na Kretschmera, Leymanna i Schulkego.

- Proszę siadać, Stein - powiedział cicho Kretschmer.

Stein wsunął krzesło pod stół.

- Mam nieść trumnę tchórza? Nie zgadzam się.

- Powiedziałem, żeby pan usiadł - głos Kretschmera był bardzo spokojny i bardzo groźny.

- Niech Anglicy niosą trumnę. Dla nich zrobił więcej, niż dla Niemiec.

- Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za jego śmierć, Stein.

- Nie ja - powiedział Stein. - Żył jak tchórz i zginął jak tchórz, w czasie ucieczki. Niech pan mnie nie oskarża o jego śmierć, kapitanie.

- Nie chcę, żeby Anglicy domyślili się przyczyn jego ucieczki - wyjaśnił Kretschmer. - A tak może się stać, gdy nie okazemy wszyscy szacunku należnego oficerowi.

- Czego się mają domyślić? - zadrwił Stein. - Anders zakopał bombę, jak tylko wydostał się z obozu. Był tchórzem, a ja nie chodzę na pogrzeby tchórzy.

Kretschmer podniósł się z fotela i stanął twarzą w twarz ze Steinem.

- Jeżeli nie zrobi pan tego, co panu każę, Stein, nie zawaham się przed powiadomieniem majora Veitch a co do pańskich poglądów politycznych, z którymi lepiej się pan poczuje w obozie prowadzonym przez Polaków.

- O jakie poglądy panu chodzi? - zapytał uprzejmie Stein.

- Te, które dzielił pan ze swoimi kolegami z SS na przyjęciu z okazji przyjęcia U700 na służbę.

Stein spojrział na Kretschmera z błyskiem zrozumienia w oczach.

- Miałem służyć na pana łodzi...

- To prawda - przyznał Kretschmer. - Ale ja poprosiłem admirała, żeby mi znalazł kogoś innego. Nie chciałem pana wtedy mieć w swojej załodze. Dokładnie tak samo, jak nie chcę pana teraz mieć w obozie, którego jestem komendantem, jeżeli nie będzie pan słuchać moich rozkazów.

Gdy trumna Andersa spoczęła w grobie, major Veitch rozejrzał się wokół i dał znak kapelmistrzowi, który wraz z orkiestrą stał nie opodal. Dwóch kobziarzy odłączyło się od reszty i stanęło przy grobie. Orkiestra zaczęła grać melodię, którą trudno się było spodziewać usłyszeć na cmentarzu w małej angielskiej wiosce podczas ponurych dni października 1941 roku, gdy Wielka Brytania sama stawiała czoła wrogowi.

Rozległy się pierwsze takty niemieckiego hymnu. Major Veitch postąpił krok do przodu i ostrożnie zdjął z trumny kir z emblematem Królewskiej marynarki Wojennej. Spod niego wyłonił się emblemat niemieckiej Kriegsmarine. Kretschmer był głęboko wzruszony prostym gestem majora. Stał przed grobem z gołą głową, trzymając w ręku czapkę. Tak jak pozostali oficerowie, był zaskoczony faktem, że Anglicy zadali sobie tyle trudu, by oddać Andersowi pełne honory wojskowe.

Pastor zaintonował krótką modlitwę i rzucił na trumnę garść ziemi.

Kretschmer wziął do ręki łopatę i pomógł zasypać grób. Czekala go jeszcze jedna niespodzianka, gdy sześciu komandosów, prowadzonych przez sierżanta, podeszło do grobu i sformowało dwuszereg. Na rozkaz sprezentowali broń i oddali trzy salwy nad grobem.

Kretschmer odwrócił się do majora Veitch a. Słowa z trudnością przeciskały mu się przez gardło.

- W imieniu wszystkich oficerów z Grizedale Hall chciałbym panu podziękować, panie majorze, za to, co pan zrobił dla porucznika Andersa.

Założył czapkę i zsalutował. Tak zakończył się pogrzeb.

Szary bentley zatrzymał się przy wejściu na cmentarz. Komandor Ian Fleming wysiadł i otworzył drzwi przed Alanem Brice'em. Prawa ręka amerykańskiego naukowca spoczywała na temblaku. Fleming wyjął z bagażnika sporych rozmiarów wieniec i podał go koledze. Obaj stali przed furką, czekając, aż grupa oficerów opuści cmentarz.

Kretschmer był ostatnim, który wspiął się na platformę wojskowej ciężarówki. Strażnik zatrzasnął klapę i zamknął zasuwę. Gdy kierowca zapalił silnik, Lillian podeszła do samochodu, trzymając w dłoni kopertę, którą podała kapitanowi.

- Tu są rzeczy Bernarda, panie kapitanie. Wszystkie, które przy nim znaleziono.

Samochód powoli ruszył z miejsca.

- Dziękuję pani - powiedział Kretschmer, zaskoczony wyrazem twarzy kobiety.

Lillian szła krok w krok za pojazdem. Jej twarz była ściągnięta smutkiem.

- Powinnam była je panu oddać wcześniej, ale proszę nikomu nie mówić, że się spóźniłam - powiedziała drżącym głosem.

- Oczywiście - obiecał Kretschmer, nie patrząc na kopertę.

Lillian musiała przyspieszyć kroku, w miarę jak samochód nabierał prędkości.

- Nie powie pan nikomu? - upewniała się. - Bardzo mi na tym zależy. Mogłabym mieć kłopoty.

Z tymi słowami stanęła, spoglądając w ślad za pojazdem. Kretschmer patrzył na nią z wyrazem zaskoczenia na swej zwykle obojętnej twarzy.

Brice ostrożnie położył wieniec na grobie obok bukietu, który parę chwil wcześniej umieściła tam Lillian. Cofnął się o krok i zasalutował. Fleming stał z boku i przyglądał się.

Mężczyźni odezwali się do siebie dopiero po powrocie do samochodu.

- Leży dość płytko - powiedział Fleming. - Dzisiaj mają się jej dobrze przyjrzeć i niewykluczone, że ją podniosą. Ale z torpedy nic nie zostało. Ani z twoich notatek.

- Pamiętam najważniejsze szczegóły - odparł Brice.

Ciężarówka wspiwała się powoli na wzgórze, dominujące nad wioską i jej małym cmentarzem.

Kretschmer otworzył kopertę i zajrzał do środka. Rzuciły mu się w oczy resztki cygara, które natychmiast rozpoznał jako swoje. Wytrząsnął zawartość koperty na kolana - oprócz cygara kilka zdjęć, portfel i list. Zaadresowany do niego dłonią kobiety.

Otworzył kopertę i wyjął pojedynczą kartkę papieru. List był nie podpisany. Leymann, siedzący obok Kretschmera, zauważył, że kapitan blednie. Kretschmer podniósł głowę i spojrzał w stronę oddalającego się cmentarza. Przez chwilę wydawało mu się, że nie jest w stanie wymówić ani słowa. Potem krzyknął:

- Zatrzymać samochód!

Kierowca zahamował. Nie zwracając uwagi na strażników, Kretschmer zeskoczył na drogę i z jej skraju popatrzył na oddalony grób, na którym wyraźnie odcinała się zieleń świeżego wieńca. Powoli przyłożył prawą dłoń do czoła.

Chociaż chłodny, październikowy wiatr, nadlatujący od strony wzgórz, łopotał połami jego płaszcza, Kretschmer długo stał bez ruchu. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie potrafi płakać.

POSŁOWIE

Ósmego czerwca 1962 roku, trumna ze zwłokami porucznika Bernarda Andersa została w obecności jego rodziny przeniesiona z cmentarza w Hawkshead na Niemiecki Cmentarz Wojskowy w Channock Chase.

Ian Fleming zmarł dwa lata później jako jedyna ofiara Jamesa Bonda.

Otto Kretschmer po wojnie ożenił się i w 1957 roku przeszedł na emeryturę z zachodnioniemieckiej Marynarki Wojennej w stopniu wiceadmirała.

Karl Doenitz został po Hitlerze głową państwa na dwadzieścia dni przed ostatecznym upadkiem Trzeciej Rzeszy. On i jego ukochane łodzie podwodne zostali oczyszczeni z zarzutów o zbrodnie wojenne, lecz on sam odpowiadał w Norymberdze za prowadzenie przygotowań wojennych w czasie pokoju i uznany winnym. Do dziś nie wiadomo, czy słusznie. Odbył dziesięcioletni wyrok w Spandau.

Alan Brice jest na emeryturze i mieszka z żoną na Long Island. Jego trzech wnukowie uważają, że najlepiej na świecie gra w baseballa, chociaż miewa kłopoty z formą, kiedy dokucza mu prawe ramię.

Koniec